

Anna Kłodzińska

Grzędawisko

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

ROZDZIAŁ 1

- Więc kto?

Pytanie zawisło w powietrzu i wyraźnie czekało na odpowiedź. Ale trzech mężczyźni, siedzący w pobliżu dyrektorskiego biurka, nie śpieszyli się. Ich skupione twarze wyrażały głęboki namysł. W rzeczywistości myśleli tylko o tym, jak urwać się z narady w to sobotnie popołudnie. Jednakże zwierzchnik od pewnego czasu wymagał, aby dzielili z nim odpowiedzialność za decyzje. Ktoś kiedyś takich jak oni nazwał decydentami.

- Panowie! - zniecierpliwiał się dyrektor Zdzierski. Był to mężczyzna wysoki, o ciężkiej, zwalistej postaci, głowę z krótko na jeża ostrzyżonymi włosami nosił lekko uniesioną, często przy tym poprawiając zsuwające się - okulary w złoczonej oprawie. Zdjął z ręki zegarek, położył przed sobą na biurku. - Daję wam cztery minuty, ani sekundy więcej. Czy naprawdę mamy wracać do tej sprawy w poniedziałek?

- Sikorecki - powiedział naczelnik. - Ma duże doświadczenie.

Zdzierski pomyślał, skrzywił się.

- Za stary, po pięćdziesiątce.

- Górnjak - bąknął radca. - Oblatany, sprytny. Da sobie radę.

- Górnjaka zabiera nam Zjednoczenie. Poznali się na nim wcześniej niż my.

- Lisowski? - spytał nieśmiało zastępca naczelnika. Był wiecznym zastępcą, już przy piątym naczelniku, i miał z tego powodu kompleksy.

- On jest jakiś taki... niemrawy. Ja potrzebuję człowieka na poziomie. No, więc? - Dyrektor rozejrzał się po obecnych, jakby teraz dopiero zobaczył swoich „decydentów”.

Nagle radca ożywił się, poruszył w fotelu.

- Mam! - powiedział z zadowoleniem. - Barański.

Zapadła cisza. Naczelnik uniósł w górę brwi, jego zastępca chciał gwizdnąć wymownie, ale się powstrzymał.

- Barański - powtórzył Zdziński wolno, z zastanowieniem.

- Tak. Zdzisław Barański, starszy referent w wydziale organizacyjnym. Młody, ale nie za młody, bo ma trzydzieści sześć. Inteligentny, umie się zachować, ma dobrze w głowie.

- Co skończył?

- Ekonomię. Energiczny, pracowity.

- A jeżeli chodzi o... - Zdziński spojrzał na niego przelotnie, porozumieli się wzrokiem i widać oczy radcy powiedziały to, czego nie chciały lub nie mogły usta, dość że dyrektor uśmiechnął się. - No, tak. Więc Barański? - Popatrzał na tamtych.

- Chyba za młody - mruknął naczelnik. - W ogóle, nie wydaje mi się odpowiedni.

Radca zaczerwienił się, nie lubił opozycji.

- A pan go zna? - rzucił zaczepnie. - Barański od początku jest u

mnie. To znaczy - poprawił się szybko - pod moim kierownictwem, chociaż formalnie przydzielono go do organizacyjnego. Mam o Zdzisławie najlepszą opinię.

Dyrektor spojrział jeszcze na zastępcę naczelnika, ale ten schylił głowę i poprawiał sznurowadło. Nie chciał sobie zrażać bezpośredniego szefa, a tym bardziej dyrektora. Przezorniej było przeczekać ten moment w pobliżu nogi od krzesła.

- Decydujemy, że Barański zostanie kierownikiem filii w Gniewczycach - powiedział Zdzierski. - Kadry... z kadrami załatwię. Ze Zjednoczeniem również, zresztą zostawili mi wolną rękę.

Podniósł się z fotela, tamci też wstali. Kiedy naczelnik ze swoim pechowym zastępcą opuścili gabinet, radca roześmiał się cicho.

- Wiesz, Kaziu, ja od początku o nim myślałem - rzekł do dyrektora, zapalając papierosa. - Tylko byłem ciekaw co tamci powiedzą.

- Trzeba było mnie uprzedzić. Sam bym wysunął jego kandydaturę.

Radca zaprzeczył ruchem głowy. Miał sępią twarz, trochę poźólkłą, dolna warga szła w górę, a czubek nosa w dół, co robiło wrażenie, że się stykają. Niedbale strzepnął popiół na podłogę i odparł:

- Byłoby to niewskazane. Z różnych względów.

Zdzierski przyglądał mu się chwilę w zadumie.

- Więc jaki ten Barański jest naprawdę?

- Taki, jakiego nam trzeba. Ja się znam na ludziach.

- Gniewczyce to niełatwy teren. Mam na myśli załogę.

- Jak to rozumiesz?

- Za mądra. Pytanie, czy Barański da sobie radę.

- O to bym się nie obawiał. Raczej, jeżeli już... - zawahał się.

- No?.
- Że kiedyś on będzie za mądry.
- Wobec załogi? - zdziwił się dyrektor.
- Nie. Wobec nas.

Zdzierski roześmiał się, wzruszył ramionami. Zamknął biurko i szafę pancerną, w której przechowywał najważniejsze dokumenty, mimo iż część z nich powinna była znajdować się w tajnej kancelarii. Kiedy wychodzili z gabinetu, radca zauważył:

- Nie odpowiedziałeś na moje zastrzeżenie.
- Bo nie wymaga odpowiedzi. Jest bezsensowne.
- Tak sądzisz?

Dyrektor przystanął w progu, sekretariat był pusty od godziny. Popatrzał na radcę trochę z góry, był o głowę wyższy, i spytał:

- Znasz człowieka, który by mnie przechytrzył?
- Owszem, znam.
- Bzdura! Któż to jest?
- Ja.

Roześmieli się, ale oczy radcy pozostały chłodne. Był w nich wyraz ogromnej pewności siebie, czego Zdzierski nie zauważył. Ani w tej chwili, ani przedtem.

*

Sekretarka spóźniła się kilka minut, czego Zdzierski nie lubił i w zasadzie nie tolerował. Tłumaczenie, że znowu jakiś berliet zepsuł się po drodze, było banalne.

- Wymyśl coś ciekawszego - mruknął. W gruncie rzeczy był ze swoją sekretarką zaprzyjaźniony nie tylko służbowo, co osłabiało nieco jego

autorytet naczelnego dyrektora FIREX-u.

- Kiedy naprawdę te cholerne autobusy... - zaczęła, ale machnął ręką niecierpliwie.

- Nudzisz. Wezwij do mnie Zdzisława Barańskiego. Pracuje w organizacyjnym. Jak przyjdzie, chcę z nim porozmawiać bez telefonów i interesantów.

- Zrobić kawy?

- Zrób.

- Koniak też podać? - Nie znała Barańskiego, może był to ktoś, komu w gabinecie dyrektora koniaku się nie podaje, ot, taki tam zwyczajny urzędas. Ku jej zdziwieniu Zdzierski odparł, że owszem, może być.

- Ale nie francuski? - wolała się upewnić.

- Francuskie są dla gości - pouczył ją. - Ważnych.

W kilka minut później Zdzisław Barański, magister ekonomii, starszy referent, żonaty, bezdzielny, zajął krzesło po drugiej stronie dyrektorskiego biurka i trochę niespokojnie czekał wyjaśnienia, po co go tu wezwano. Jak dotąd nie miał zaszczytu pić kawy ani alkoholu w tym gabinecie. Zdzierskiego znał właściwie tylko z twarzy i z dość rzadkich zebrań załogi FIREX-u. Sumienie urzędnicze miał czyste, nigdy nie wiadomo jednak, co szefom przyjdzie do głowy i czego się uczepią.

- Jak długo pan u nas pracuje? - spytał Zdzierski, przyglądając się człowiekowi siedzącemu przed nim i niepewnie mieszającemu kawę.

- Dwa lata i miesiąc, panie dyrektorze - odparł. Nieznacznie uniósł się przy tym na krześle, jakby odpowiadanie najwyższemu zwierzchnikowi wymagało pozycji stojącej:

- Gdzie pan przedtem pracował? Niechże pan siedzi!

- W Energopolu. Również w wydziale organizacyjnym.

- A jak pan się dostał do FIREX-u?

- Staralem się, panie dyrektorze. Tutaj lepsze warunki i... pan radca Waliński mi pomógł. Tam nie miałem szansy na awans, wszystkie wyższe stanowiska były zajęte. Nie wydawało mi się, żebym mógł... - zająknął się, umilkł. Jego okrągła, rumiana twarz miała wyraz zatroskania.

- Sądzi pan, że u nas jest taka szansa? - uśmiechnął się Zdzierski.

- Cóż, staram się, panie dyrektorze, dobrze pracować.

- Owszem, opinie o panu są pozytywne. Dlatego chcę panu dzisiaj zaproponować kierownictwo naszej filii w Gniewczycach. Co pan o tym myśli?

Barański poczerwieniał, a później zbladł. Na czole wystąpiły mu kropelki potu.

- Pan nie żartuje? - spytał naiwnie.

- Mówię zupełnie serio - odparł Zdzierski ubawiony. - Ale muszę pana uprzedzić, że to stanowisko wymagać będzie dużego wysiłku, po prostu ogromnej pracy twórczej. Zakład jest dość zaniedbany przez poprzedniego kierownika, który odszedł na emeryturę. Zastanawiam się więc, czy pan podoła.

- Na pewno, panie dyrektorze! Będę się bardzo starał. Tylko - zafrasował się - czy ja tam znajdę jakieś mieszkanie? Bo dojeżdżać się nie da, za daleko. I... ja jestem żonaty, nie chciałbym rozstawać się z żoną. Samochodu jeszcze nie mamy.

- Dostaniecie służbowe mieszkanie po dawnym kierowniku, on wyjechał z Gniewczyc. To są, jeżeli pamiętam, trzy pokoje z wygodami, w parterowym domu, może jest tam i ogród. Otrzyma pan uposażenie, z

wszystkimi dodatkami - zerknął do notesu - dziesięć tysięcy sześćset. Na początek. Jak się pan wciągnie, podwyższymy do czternastu. Wszystkie sprawy administracyjne, przewóz mebli i tak dalej trzeba załatwić z naszym wydziałem. Tak. - Zamyślił się, a Barański patrzył na niego wzrokiem rozradowanego psa i czekał cierpliwie. - Do Gniewczyc pojedę z panem, powiedzmy, w piątek. Zna pan ten zakład?

- Nie, panie dyrektorze. Tylko ze słyszenia i sprawozdań. Ale orientuję się, co produkują, jakie plany i program rozwoju. Zdaje się, że w grę wchodzi również eksport?

- Wchodziłby. A raczej: musi wejść po uporządkowaniu zakładu. Przewiduję modernizację filii, zakup maszyn za granicą. Może licencji. Zna pan obce języki?

- Niemiecki, trochę rosyjski. Angielskiego nie.

- Angielski będzie panu potrzebny. Wstał, wyciągnął rękę do oszołomionego wciąż jeszcze starszego referenta, a in spe dyrektora zakładu. Uśmiechnął się i dodał: - Jutro proszę tu, na miejscu, zapoznać się z filią w Gniewczycach na ile się da. Resztę omówimy w trakcie wyjazdu. No, do zobaczenia!

*

Irena Barańska najpierw z radości rzuciła się mężowi na szyję, a zaraz potem wpadła w rozpacz.

- Przecież my nic nie mamy! - krzyknęła, rozglądając się po pokoju. - Te stare graty będziemy zabierać? Tę szafę po dziadkach? - Kopnęła mebel i syknęła z bólu. - Tę komodę z odłamaną listwą, te fotele z wytartym pluszem? Jeżeli tam są trzy pokoje, to co wstawimy do dwóch?

- Trzeba będzie kupić nowe meble - mruknął z wahaniem. - Wezmę

pożyczkę.

Trochę uspokojona, otworzyła szafę i zaczęła lamentować od nowa.

- A ubrania? Przecież ty nie masz nawet porządnego czarnego garnituru, bo ten od pogrzebów za krótki i rękawy przetarte. Nie masz futra, a widziałeś dyrektora bez futra?

- Widziałem. Latem.

- Nie żartuj! To są poważne sprawy. Musisz mieć kilka ubrań, może nawet frak. A ja? - Zajrzała w głąb szafy i załamała ręce. - Nie mam ani futra, ani ucziwego kostiumu, prawie żadnej biżuterii poza obrączką i pierścionkiem. Jak ja się pokażę tym ludziom w Gniewczycach?

Zdzisław nagle rozgniewał się.

- Moja droga, nie zawracaj mi głowy takimi duperelami. Akurat miałbym się zajmować twoją biżuterią czy moim frakiem. Czegoś takiego nigdy na sobie nie miałem i jakoś żyję. Najważniejsze, żebym dał sobie radę z zakładem. Żebym się tam utrzymał. Parę lat chociaż.

Usiadła przy nim, westchnęła ciężko.

- Co oni produkują?

- Obróbka drewna. Płyty pilśniowe, sklejki, okleiny. Takie różne.

- Duży zakład?

- Średni. Dwa tysiące pracowników. Zdziński chce, żebym przeprowadził modernizację, przywrócił eksport. Mamy kupić za granicą licencje na linie produkcyjne. Szykują mi się wyjazdy.

Poweselała. Przyszło jej na myśl, że oto czekają ich piękne, chociaż niełatwe dni. Dorobią się, może kupią samochód, przecież wszyscy dyrektorzy mają samochody. A ona sprawi sobie porządne futro, oczywiście nie to najdroższe, nie tchórze czy karakuły, ale, powiedzmy,

elegancki kożuszek.

- Więc czego się martwisz? - Objęła go za szyję, przytuliła się. - Będzie nam dobrze. Nauczę cię angielskiego, przecież skończyłam kursy. Słuchaj, jutro święto. Pojedźmy do Gniewczyc, obejrzymy sobie nasze przyszłe mieszkanie!

Wyjechali z samego rana pekaesem. Był letni dzień świąteczny, pogoda w sam raz na wycieczkę. Barański nie chciał jeszcze pokazywać się wartownikom jako dyrektor zakładu, chociaż ciągnęło go do hal produkcyjnych i budynku administracji. Obeszli więc tylko dokoła rozległy teren, co zabrało im prawie godzinę, a potem wrócili do miasteczka. Na jednej z bocznych uliczek, w ogrodzie, stała parterowa willa. Tu mieli zamieszkać.

- Ciekawe, kto ma klucze - mruknął. Nacisnął klamkę furtki, była otwarta. Weszli do ogrodu.

- Ktoś jest w domu - zauważyła Irena. - Jakaś kobieta. Może sprząta.

- E, w święto?

Kobieta wyjrzała tymczasem z sieni, aby wytrzepać ściereczkę, i popatrzyła na stojących przed progiem. Wyraz twarzy miała niepewny.

- Państwo do kogo? - spytała. - Tutaj nikt nie mieszka.

- My tu niedługo będziemy mieszkać - powiedział Zdzisław z uśmiechem. - Jestem nowym kierownikiem zakładu FIREX-2. Nazywam się Barański.

- No, to proszę do środka. Pewnie chcą państwo obejrzeć pokoje.

Były cztery, nie trzy. I duża jasna kuchnia, łazienka z piecykiem gazowym - przez Gniewczyce przebiegał rurociąg - od tyłu taras. W piwnicy urządzono pralnię, na strychu suszarnię. Irena oglądała wszystko

fachowym okiem przyszłej pani domu, rozradowana, ale znów niespokojna: czym zapełnią te obszerne pokoje, tę kuchnię, w której można by ustawić cały komplet mebli i jeszcze zostałoby sporo miejsca?

- Kiedy państwo się wprowadzą? - spytała kobieta, jak się okazało sprzątaczką z zakładu, specjalnie wynajęta do zrobienia porządków na przyjazd nowego dyrektora.

- Nie wiem jeszcze - odparł ostrożnie. - Trzeba urządzić mieszkanie, sprowadzić meble. Ale chyba wkrótce.

Następnego dnia Barański siedział obok dyrektora FTREX-u w służbowym samochodzie i z nerwowym niepokojem rozmyślał nad tym, co go czeka. Zdzierski sam prowadził wóz. Do Gniewczyc było ponad sześćdziesiąt kilometrów i na dziewiątą znaleźli się na miejscu. Dwóch dawnych zastępców nowego dyrektora, uprzedzonych telefonicznie, czekało przed budynkiem administracyjnym.

Barański nie znał żadnego z nich, co zwiększało jego niepokój. Pracowali w Gniewczycach od dawna, wyrosli z załogi i z pewnością świetnie orientowali się w zagadnieniach produkcji. Z całą pewnością też liczyli, że jeden z nich zostanie mianowany następcą dyrektora, który odszedł na emeryturę. Ten fakt nie mógł usposobić ich życzliwie do „nowego”.

Zdzierski jakby odgadł jego myśli, bo kiedy wysiedli z samochodu, życzliwie położył mu rękę na ramieniu i tak poprowadził do tamtych. Można - było rozumieć ten gest jako wzięcie go pod kuratelę centrali. Dwaj zastępcy przyoblekli więc twarze w miłe uśmiechy i, choć ich brała cholera, powitali przybyłych niemal z radością. Jak zwykle w takich przypadkach podano im kawę i koniak w dyrektorskim gabinecie, gdzie

Barański, nabrawszy śmiałości, rozglądał się już okiem przyszłego gospodarza.

Zwiedzanie zakładu trwało kilka godzin. Zdziński stwierdził, że nowy kierownik filii nieźle orientuje się w zagadnieniach produkcyjnych, co go mile zaskoczyło. Barański fachowo określał różnego typu płyty wiórowe i paździerzowe, bezbłędnie odróżniał jesion od wiązu i buk od topoli, chociaż drewno było już Obrobione i przycięte, w deszczułki, obłogi i galanterię drzewną. Trochę się zastanowił nad maszynami do toczenia i szlifowania, co natychmiast wykorzystał zastępca do spraw technicznych. Kiedy jednak jego wyjaśnienia nabrały tonu ironicznej wyższości, Zdziński z naciskiem zwrócił mu uwagę, iż dyrektor zakładu nie musi znać się na wszystkim, od tego ma zastępców, a jego obowiązkiem jest dobrze kierować całością. Tak upomniany inżynier Gawroński zmieszał się, umilkł i postanowił mieć się na baczności. Wsadził tu swego szpicla - pomyślał o Barańskim. Targnął nim strach, bo z różnych względów zależało mu na tej posiadzie.

Drugi zastępca, magister ekonomii Grządek, rzadko się odzywał, natomiast bacznie obserwował wszystko to, co się przed jego oczami rozgrywało. Szybko rozszyfrował pozycję nowego zwierzchnika, dostrzegł przyjazny stosunek Zdzińskiego i wyciągnął właściwy wniosek, który zachował dla siebie. Od tego momentu zaczął odnosić się do Barańskiego z szacunkiem, wszelkie inne myśli upychając głęboko w pamięci. W odpowiedniej chwili mogły się przydać.

Późnym popołudniem, pożegnawszy zakład, obaj dyrektorzy wsiedli do samochodu. Zdziński ruszył jednak nie w kierunku Warszawy, lecz skręcił na peryferie Gniewczyc, gdzie mieściła się służbowa willa. Miał

przy sobie - klucze, które wręczył Barańskiemu mówiąc:

- Gospodarzu, otwórz i wpuść!

Barański, zaaferowany i zmęczony nieustannym napięciem nerwów, długo nie mógł sobie poradzić z zamkiem. W końcu jednak weszli.

Zdzierski pospacerował po pustych pokojach, w których mocnym echem odbijały się jego kroki, a potem rzekł:

- Jednak cztery pokoje, nie trzy. Ładny lokal.

- Bardzo ładny - odparł Zdzisław cicho. Dyrektor przyjrzał mu się uważnie.

- Nie jest pan zadowolony?

- Ależ tak! Tylko że nie mam co tu wstawić - roześmiał się z przymusem. - Mieszkaliśmy do tej pory w dużym co prawda, ale jednym pokoju. I meble mamy stare, brzydkie.

- To doprawdy żaden kłopot - rzekł Zdzierski, przysiadając na parapecie. - Zapomniał pan, że przecież nasza filia, FIREX-3 w Kurowie, produkuje meble.

- Nie zapomniałem. Ale, panie dyrektorze, ja znam kurowskie komplety. Kosztują po kilkadziesiąt tysięcy. Część idzie przecież na eksport. To nie na moją kieszeń.

Zdzierski przyglądał mu się ubawiony.

- Widać, że nie był pan jeszcze nigdy na kierowniczym stanowisku. Człowieku, przecież ja nie każę panu płacić w cenach zbytu. Znajdą się odrzuty eksportowe, mamy trochę mebli dla... no, dla swoich; - ludzi, i dla osób wysoko postawionych. Liczymy wtedy poniżej cen kosztu. Do tych czterech pokoi - rozejrzał się dokoła - będzie pan potrzebował cztery komplety. Powiedzmy: sypialnia, stołowy, gabinet i rodzaj saloniku, zanim

dorobicie się dziecka. Będzie to - zamyślił się na chwilę, liczył w pamięci - około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu tysięcy złotych. Całość..

- Panie dyrektorze, przecież tyle kosztuje jeden komplet!

- Oczywiście, dla kupujących w sklepie. Ale nie dla nas. Dam je panu, nazwijmy to: z przeceny.

Barański milczał oszołomiony. Kręciło mu się w głowie z nadmiaru wrażeń.

- Niech pan pamięta - ciągnął Zdzierski - że jako dyrektor największego zakładu w Gniewczycach będzie pan musiał przyjmować od czasu do czasu różnych miejscowych notabli. A także gości z centrali, no i ze Zjednoczenia. Takich ludzi nie może pan posadzić na starej kanapie przy stole z koślawą nogą. No, przesadzam. W każdym razie musicie wraz z żoną dostosować się do dyrektorskich obyczajów. Tego wymaga pański prestiż, reprezentuje pan FIREX-2.

- Rozumiem. Tylko że my nie mamy żadnych oszczędności - wyjąkał Barański, do reszty zgnębiony perspektywą licznych wizyt.

- Przecież nikt nie będzie od pana wymagał spłaty gotówką. Rozłoży się to na długie raty, po, przypuśćmy, dwa tysiące miesięcznie. Na tyle będzie pana stać.

- No, tak. Oczywiście. Ale czy ja mam prawo...

Z - Panie Zdzisławie! - przerwał mu Zdzierski. - Prawo jest dla ludzi. Musi pan mieć ułatwiony start. A zresztą nie ma o czym mówić. Chyba ma pan do mnie zaufanie?

- Ależ naturalnie! - wykrzyknął Barański. - Ja po prostu jeszcze nie orientuję się w tych sprawach. I dziękuję za wszystko. Gdybym kiedyś mógł się panu odwdziżyć...

Zdzierski machnął ręką i skierował się do wyjścia. Po drodze nie było już mowy o żadnej wdzięczności i można było sądzić, że temat ten jest dyrektorowi centrali FIREX niemiły, a co najmniej obojętny.

Barańscy przyjechali do Gniewczyc ostatniego czerwca, w poniedziałek. Ciężarówka przywiozła stare meble i cały ich dobytek” a dwaj pracownicy i kierowca wyładowali wszystko do jednego pokoju. Barański dostrzegł, że porozumiewają się między sobą uśmieszkami i pomrukują, mierząc ironicznym spojrzeniem skromne mienie nowego dyrektora. Może tak było, a może mu się zdawało. Przewóz rzeczy był Opłacony w wydziale administracyjnym, dał jednak każdemu po stówie, aby nie obszczekali go za bardzo.

Ciężarówka odjechała. W godzinę później przed wilią zatrzymał się wielki ośmiotonowy TIR. Wysiadł z niego mężczyzna w granatowym kombinezonie i z plikiem dokumentów w ręku wszedł do mieszkania. Rozejrzał się dokoła, uniósł brwi w górę i pokiwał głową.

- Czego pan chce? - spytał Barański szorstko. Nie potrzebował teraz obcych.

- Pan dyrektor Barański?

- Owszem, to ja. O co chodzi?

- Przywieźliśmy państwu meble.

Irena wyjrzała z kuchni, gdzie ustawiała na półkach garnki.

- Jakie meble? - spytała ze zdziwieniem.

- Z Kurowa. Otrzymałem takie polecenie od dyrektora Zdzierskiego - uprzejmie wyjaśniał przybysz. Podał Zdzisławowi papiery. - Tu jest faktura, list przewozowy i zaświadczenie, że przywiozłem. Pan będzie łaskaw potwierdzić. Zaraz zaczniemy wyładowywać.

- Ale ja... ale myśmy w ogóle tych mebli nie widzieli! - wykrzyknęła Irena. - Co to jest?

- Cztery piękne kurowskie komplety - uśmiechnął się konwojent. - Jadalnia w mahoniu,, sypialnia na wzór francuski z białej brzozy, gabinet czarny gdański i różowy jesion do saloniku. A także wyposażenie kuchni, w trzech kolorach, takie teraz najmodniejsze.

- To znaczy, że jest pięć kompletów? - zaniepokoił się Barański. - O kuchni nie było przedtem mowy. - Chciał zapytać o cenę, ale w porę ugryzł się w język. Trudno - pomyślał. W razie czego zapożyczymy się. A wycofać się już nie można.

Rzeczywiście, nie sposób było odsyłać olbrzymią ciężarówkę, po dach wyładowaną pięknymi meblami. Ustawianie, choć sprawne i szybkie, zabrało jednak parę godzin. Irena, czerwona z emocji, potargana i spocona, wskazywała, gdzie umieścić - każdy mebel. Miała twarz tak rozradowaną, że Zdzisław zrozumiał, iż choćby tylko ze względu na żonę musi przyjąć na siebie to ciężkie zadłużenie. Westchnął, ale zaraz przyszło mu na myśl, że Zdzierski wspomniał przecież o reprezentowaniu zakładu, o dyrektorskich obowiązkach, o wizytach...

Tak czy owak, nowe meble stały już w pokojach i w kuchni. Mieszkanie natychmiast radykalnie zmieniło wygląd. Prawda, że nie było jeszcze dywanów ani firanek, ściany prosiły o obrazy, regał w gabinecie o książki. Ale te meble!

Wieczorem, po odjeździe ciężarówki, straszliwie zmęczeni usiedli w saloniku na kanapie, obitej jasnym brokatem, i popatrzyli sobie w oczy.

- Słuchaj, czy my pasujemy do tego wszystkiego? - spytał niepewnie.
- My, zwyczajni ludzie, jacyś tam Barańscy z Sandomierza.

- Ja to nawet nie z samego Sandomierza, tylko z wioski obok - mruknęła, gładząc pieszczotliwie lśniący materiał obicia.

- Nie wiem, czy potrafię być prawdziwym dyrektorem. Takim jak Zdzierski czy inni. A w ogóle to czegoś się boję.

- Przecież znasz się na produkcji..Zarządzać też potrafisz. -

- Chyba tak. Ale boję się czegoś innego. Rozumiesz, zbyt nagle wszystko na mnie spadło. Z jednej strony cieszę się, bo to jest dowód uznania. A z drugiej zaczynam podejrzewać, że... bo ja wiem, może chcą się mną posłużyć. Rozegrać coś orzy pomocy mojej osoby.

- Zdychu, to przecież bez sensu! - zaproponowała żywo. - Zastanów się, jaki mogliby mieć cel? Po prostu poznali się na tobie, a że poprzedni dyrektor odszedł, mianowali nowego. Właśnie ciebie. Dlaczego nie mieliby tego zrobić? Jesteś zdolny, młody jeszcze, masz wyższe studia, pracujesz w FIREX-ie nie od dziś. Masz poparcie tego radcy, jak on się nazywa?

- Waliński. Tak, to prawda. Chyba przede wszystkim jemu to zawdzięczam. Trzeba go zaprosić, urządzić małe przyjęcie.

Kiedy poszli spać, Irena leżąc wygodnie na francuskim łóżku, które mogło pomieścić dwie takie pary, jak oni, powiedziała w zamyśleniu;

- Wiesz, trochę mi żal tych naszych starych mebli. Jak je zabierali na ciężarówkę, to przez chwilę miałam ochotę poprosić, żeby zostawili. Można było je umieścić gdzieś w ogrodzie w altance.

- Mnie też było trochę nijako. Jakby częśćka mojej i twojej rodziny została w tych starociach po dziadkach i rodzicach. Brzydkie były, to prawda. Ale nasze.

- Te są też nasze - mruknęła sennie. - Co tam żałować! Tak nam, się

świetnie zaczyna życie układać. Powinniśmy się z tego cieszyć, a nie wspominać graty.

*

Dwa dni przed świętem lipcowym dyrektor naczelny FIREX-u wezwał do siebie Zdzisława Barańskiego na rozmowę. Trzytygodniowy dyrektor z Gniewczyc jechał do Warszawy trochę zafrasowany. Za mało jeszcze było czasu, aby zdołał we właściwy sposób ustawić sobie robotę w zakładzie, rozpocząć - może raczej: opracować program modernizacji, a także podporządkować sobie obu zastępców co zdawało się być najtrudniejsze.

Chociaż magister Grządek kłaniał mu się z widocznym uszanowaniem, a inżynier Gawroński nie wypominał już więcej braku orientacji w maszynach i urządzeniach, to przecież Zdzisław czuł przez skórę, że obaj czyhają tylko na jego potknięcie, na pierwszy fałszywy krok. Trzymał więc się od nich z daleka, wyjąwszy ściśle służbowe spotkania w dyrektorskim gabinecie czy halach produkcyjnych.

Do centrali wybrał się trochę wysłużonym, ale jeszcze na chodzie fiatem 125p, który mu prz5rdziel0.no. Nie miał prawa jazdy, musiał więc wziąć kierowcę, pogodnego chłopaka z wąsikami. W trakcie podróży dowiedział się od niego mnóstwa plotek o paniach i panach z administracji, z obu zastępcami łącznie. Pomyślał, że może mu się to przydać. Kiedyś. Zdzierski przyjął go niemal serdecznie. Wpierw rozmawiali o zakładzie w Gniewczycach, uzgadniając to i owo, Barański domyślał się jednak, że nie po to go wezwano. Te sprawy mogli załatwić za pomocą telefonu lub teleksu. Toteż czekał niecierpliwie na podjęcie właściwego tematu. W końcu naczelny dyrektor zamyślił się na chwilę, sięgnął do teczki i wyjął jakieś papiery.

- Panie Zdzisławie - rzekł z miłym uśmiechem - cieszę się, że z okazji nadchodzącego dwudziestego drugiego lipca mogę sprawić panu przyjemną niespodziankę. Otrzymałem niedawno do swojej dyspozycji kilka talonów na Samochody. Nie są to żadne luksusowe wozy

zagranicznej marki, tym niemniej jest między nimi jeden talon na poloneza. Przeznaczyłem go dla pana. Proszę!

Barański zbladł, otworzył usta i coś jakby jęk czy westchnienie wyrwało mu się z gardła. Nie wyciągnął ręki, tylko patrzył na Zdzierskiego szeroko otwartymi oczami.

- Panie dyrektorze - rzekł wreszcie głuchym głosem - ja jestem tak zadłużony, że...; Przecież płacę raty za meble, spłacam pożyczkę, którą zaciągnąłem na wyekwipowanie mnie i mojej żony w odzież, kupiliśmy też dywan, zasłony... Ja w żaden sposób nie mogę teraz kupować samochodu. Zwłaszcza tak drogiego jak polonez!

Zdzierski słuchał, nie przerywając, a potem odparł spokojnie:

- Wiem o tym. Ale wiem również, że taki talon to wyjątkowa okazja.

Następny dostanę może za rok, może za trzy lata. A chętnych w FIREX-ie jest sporo. Radzę panu z całą życzliwością, jaką mam dla pana, niech pan zamknie oczy i bierze. To tak jak skok z trampoliny: trzeba się odważyć!

- Ale za co ja go kupię:>? - wykrzyknął Zdzisław. - Talon ma określony termin, przecież pan o tym wie. Za trzy lata to ja może... Ale nie dziś.

Niech bierze ktoś inny.

- Nie dam nikomu innemu. Gdzie pan zaciągnął pożyczkę?

- W kasie zapomogowo-pożyczkowej. Trochę mi było głupio, na moim stanowisku tego na ogół się nie praktykuje.

- Doskonale - powiedział naczelny dyrektor, a Zdzisław spojrział na niego urażony. - To znaczy, że ma pan czyste konto w kasie centrali. Mamy tu coś takiego, specjalne fundusze dla specjalnych pracowników - roześmiał się. - Dlatego chciałbym, aby pan tę informację potraktował jako poufną. Między nami, dyrektorami... Dam panu pismo, a raczej list do naczelnika wydziału finansowego. On panu otworzy kredyt do wysokości, powiedzmy, trzystu tysięcy złotych. O spłaty niech się pan na razie nie martwi. Rozłożymy na długi termin. Myślę, że zacznie pan spłacać dopiero, kiedy skończy się pożyczka na meble.

Barański, zamiast się ucieszyć, zwiesił głowę i milczał. Nie potrafił wzbudzić w sobie entuzjazmu. Za wiele szczęścia - pomyślał z ironią. - O co mu tak naprawdę chodzi?

- A kontrola? - spytał w końcu, nie patrząc na tamtego. - Co ja zrobię, jeżeli przyjdzie, kontrola ze Zjednoczenia?

Zdzierski zmarszczył brwi.

- Widzę, że się wciąż nie rozumiemy - odparł chłodniejszym tonem. - Czy panu się: zdaje, że ja proponuję jakieś przestępstwo? Nadużycia gospodarcze?

- Ależ skąd! Tylko że... może byłoby mi łatwiej wszystko zrozumieć, gdyby pan postawił, sprawę jasno.

- To znaczy?

- Dlaczego pan mianował właśnie mnie? Przecież nie znaliśmy się przedtem. Skąd tyle - zawahał się, chciał powiedzieć: łask, ale pohamował się w porę - zaszczytów, ułatwień? Co tak naprawdę zdecydowało o mojej kandydaturze? I czy ja za... - znów urwał, poczerwieniał.

- Czy pan na to zasłużył, tak?

Barański nie odpowiedział. Chciał zapytać, czy on za to wszystko będzie musiał czymś zapłacić - i czym. Zdzierski zrozumiał inaczej, trudno, może to lepiej. Nagle poczuł, że nie potrafiłby sobie nigdy wybaczyć, gdyby nieostrożne słowa miały zburzyć to, co się tak pięknie zaczęło.

- No więc odpowiem panu szczerze: zasłużył pan całkowicie na moje zaufanie. I na to stanowisko. Wystarczy, nie lubię prawić komplementów. Chyba że kobietom - zaśmiał się. Wstał, raz jeszcze wyciągnął do Zdzisława rękę z talonem. - Niech pan bierze, bo się rozmyślę, a byłoby szkoda.

Barański wstał również. Schował talon do portfela, razem z listem w sprawie pożyczki, a raczej, jak to określił Zdzierski, kredytu; to brzmiało ładniej.

- Muszę zrobić prawo jazdy - mruknął, na wpół do siebie.

- Oczywiście. Nasz instruktor panu to załatwi. - A widząc zdziwione spojrzenie, dodał". - Jest przecież w centrali klub motoryzacyjny, ma swego instruktora. Dwa lata pan tu pracuje i nie słyszał pan o tym?

- Po prostu nie interesowałem się. Nie miałem przecież samochodu. Panie dyrektorze, ja... doprawdy nie wiem, czy potrafię się panu odwdzięczyć! Jest pan dla mnie tak życzliwy... nie przypuszczałem nigdy... - jąkał zmieszany.

- Dobra! Nie mówmy o tym. Jak mnie wyleją z posady, przyjdę do pana na darmową zupkę - roześmiał się na cały głos. Wrócił za biurko, spoważniał.

- Niech pan się bierze ostro do roboty. Trzeba przygotować zakład pod budowę nowej hali, bo będziemy kupować zagraniczne maszyny.

- Tokarki i frezarki?

- Nie. Przede wszystkim pilarki, wiertarki i linie obróbcze.

- Wiertarki są bardzo dobre krajowe - zdziwił się.

Zdzierski machnął ręką lekceważąco.

- Ale nie takie! Widziałem we Włoszech kapitalne wiertarko-frezarki wielowrzecionowe firmy Capucci. Złożyłem już wniosek do centrali handlu zagranicznego, aby nam przygotowała kontrakt.

Barański zaniepokoił się. Logicznie biorąc,; należało wpierw - skonsultować takie zakupy z użytkownikiem, to znaczy z jego pracownikami. Chyba że kontrakt przeznaczony jest dla: „innego zakładu, nie dla Gniewczyc. Ale przecież Zdzierski powiedział...

- To dla nas ma być? - spytał ostrożnie.

- Tak, jak najbardziej. Niedługo otrzyma pan też projekt nowej hali obróbkowej, gdzie będą pracować te maszyny.

Nagle Barański stanął okoniem.

- Wolałbym być obecny przy tworzeniu projektu, a nie oglądać gotowy - rzekł twardo. -Kto to opracowywał?

- Nasze biuro projektów, oczywiście. Zawsze tak się robi. Będzie pan mógł przecież wprowadzić jakieś zmiany, drobne poprawki. Jestem przekonany, że wspólnie dojdziecie do porozumienia.

Zdzisław wrócił do Gniewczyc z talonem na poloneza, otwartym kredytem do trzystu tysięcy złotych i chaosem w głowie. Dopiero teraz zaczął na dobre zdawać sobie sprawę, że dyrektorowanie zakładem wcale nie jest samodzielne. Wprost przeciwnie: wszystko już dawno zostało ujęte w jakiś sztywny gorset, w którym bardzo trudno się poruszać i przejawiać własną inicjatywę. Dowiedział się, że dostanie gotowy projekt nowej hali, że przyślą mu maszyny, których na oczy nie widział ani on, ani jego zastępcy...

- A jeżeli będą złe? - powiedział na głos. Kierowca usłyszał, zaciekawiał się i spytał:

- Co, panie dyrektorze?

- Nic, tak sobie myślę - burknął.

Cóż, Zdzierski zna się na tych rzeczach. Importowane maszyny i urządzenia będą najpewniej doskonałe. Tylko że z czymś takim potem są kłopoty, bo jak się zepsuje, to skąd wziąć części zamienne? Zaczął się zastanawiać, czy nowa hala w ogóle jest potrzebna. Z drewnem mieli od czasu do czasu kłopoty i bywało, że silniki maszyn milczały, a robotnicy snuli się z kąta w kąt, sarkając na bałagan. Chyba że Zdzierski jakoś załatwi surowiec.

Irena ucieszyła się bardzo, kiedy jej pokazał talon, zaraz jednak spytała przytomnie, za co wykupią samochód. Związany tajemnicą „specjalnych funduszy” odparł wymijająco, że jakoś to załatwi. Męczyła go jednak tak długo, aż przyparty do muru wyznał tajemnicę. Zdumiała się, wysokość kredytu wydała jej się ogromna. Przez jakiś czas w milczeniu przeżuwała tę wiadomość, w końcu poweselała.

- Jesteśmy zamożni ludzie! - stwierdziła. - Nareszcie.

ROZDZIAŁ 2

Gdzieś w połowie marca dyrektor Barański został uprzejmie zaproszony do wydziału finansowego w centrali FIREX. Zaproszenie, miało formę poufnego listu, pisanego odręcznie przez naczelnika wydziału, magistra Lewańskiego. Nie wyjaśniało, w czym rzecz, gdyż wyjaśnienie miało nastąpić w trakcie osobistego kontaktu.

Barański, zaaferowany tysiącem spraw bieżących i skłopotany brakiem ostatecznej zgody Zjednoczenia na budowę nowej hali, w pierwszej chwili sięgnął po telefon, aby odmówić prośbie. Zaraz jednak przyszło mu na myśl, że może to być coś bardzo poufnego, o czym naczelnik nie chce mówić przez telefon. Westchnął więc, poprosił do siebie magistra Grządka, którego wolał od Gawrońskiego i z którym jakby nawet zaprzyjaźnił się w ostatnim czasie.

- tt Słuchaj, Tadeusz - rzekł do niego - jadę do Warszawy, czegoś tam chcę ode mnie. Gdybym zatrzymał się na noc, zwróc uwagę na tę nową suszarnię komorową na B-3. Ona musi być do jutra gotowa, w przeciwnym razie zahamuje nam to plan. Niech Marciniak wreszcie ureguluje wentylator, do jasnej cholery! Grzebie się z tym jak kaczką w błocie. Tarcica sosnowa nie może leżeć, trzeba ją jak najszybciej suszyć.

- Dobra. Po co jedziesz? - spytał Grządek, dłubiąc końcem ołówka w zapchanej fajce. Zgubił gdzieś przepychacz.

- Nie wiem - odparł wymijająco. - Pewnie jakaś narada.

Nie chciał mówić o liście. Trochę polubił zastępcę, nie na tyle jednak, aby mu się zwierzać. Nie ufał żadnemu z nich.

W centrali spróbował wpierw zajść do Zdzierskiego, ale sekretarka

powiedziała, że naczelny dyrektor siedzi od rana w Zjednoczeniu i przed piętnastą nie zjawi się w FIREX-ie. Poszedł więc do finansowego. Lewański miał kogoś u siebie, kiedy jednak Zdzisław zajrzał przez uchylone drzwi gabinetu, naczelnik - przywołał go uprzejmym gestem. Pracownik wyszedł, a Barański zajął miejsce przy bocznym stoliku. Odzwyczał już się od siadania nie za biurkiem, lecz po jego drugiej stronie, jak petent.

Lewański po chwili wziął z biurka jakiś dokument i z zakłopotaną twarzą przysiadł do stolika.

- Panie Zdzisławie - zaczął, przyglądając resztki jasnych włosów, za to wąsy miał obfite - przykro mi, ale - trzeba będzie to szybko załatwić.

- Co, mianowicie?

- Za miesiąc spodziewamy się kontroli finansowej ze Zjednoczenia. Do tego czasu musimy wyczyścić wszystkie” pozycje, które, jakby tu powiedzieć, które mogłyby wzbudzić zbyteczne komentarze inspektorów.

- Nie rozumiem - zdziwił się Barański. - U mnie w Gniewczycach nie ma żadnych niedopatrzeń finansowych.. Pewnie, że czasem obejdzie się delikatnie jakies przepisy, zeby zrobić plan. Wszyscy tak robią, inaczej byśmy w ogóle nie ujechali. Ale to są drobiazgi. Zapłaciłem w lutym kary umowne za przetrzymanie trzech wagonów z drewnem. Nie było ludzi do wyładunku, zna pan przecież te historie.

Lewański smutnie potrząsnął głową.

- Ja nie to miałem na myśli - odparł. - Tu chodzi o pańskie zadłużenia.

- Moje?!

- Tak, czyżby pan zapomniał? Kredyt na poloneza. Trzysta tysięcy.

- Ale przecież te trzysta miały być rozłożone na długoletnie spłaty! - wykrzyknął Zdzisław. - I dopiero od przyszłego roku!

Lewański popatrzył na niego i coś jakby ironiczny uśmiech przesunął mu się po wargach.

- Drogi dyrektorze - rzekł cicho. - Czy pan naprawdę nie zdaje sobie sprawy, z jakich pozycji udzieliłem panu tego kredytu?

- Z jakichś specjalnych funduszy - bąknął Barański. - Tak mi wtedy mówił dyrektor Zdziński.

- Aha. No, to ja panu powiem otwarcie. He otrzymaliście na budowę nowej hali?

- Jedenaście milionów, trzys... - Zdzisław nagle zbladł i umilkł.

- Trzysta tysięcy - dokończył naczelnik.

- I to był właśnie pański specjalny kredyt. Na poloneza i na inne wydatki.

- Jak to, więc... jak wyście to mogli zrobić?! Przecież ja teraz... przecież ja się nie pozbierani przy kontroli!

- A, to już pańska sprawa. Od tego jest pan dyrektorem, żeby załatwiać takie rzeczy - odparł Lewański szorstko. Widząc jednak przerażenie na twarzy Zdzisława, dodał uspokajająco: - Musi pan się nauczyć przeprowadzania interesów. Sprawa jest w gruncie rzeczy prosta". Nie sądzi pan, że na budowę hali zupełnie wystarczy jedenaście milionów? Przecież to standardowy budynek.

- Skądże! W biurze projektów zrobili całkiem nowe opracowanie - zaprzeczył Zdzisław. - Wprowadzałem tam swoje poprawki.

Lewański roześmiał się.

- Na starym projekcie. Biuro nic nie opracowało, przepisali tylko i

przerysowali na papier. Mają gotowe takie plany od dziesięciu lat, a może i więcej.

- Więc po co ta komedia? - wybuchnął z gniewem. - Dlaczego bawili się z tym prawie pół roku?

- A cb pan myśli? Oni też muszą zarobić. Każdy chce żyć coraz lepiej. No, niechże pan się uspokoi. Trzysta tysięcy wpisze pan w kosztorys czegoś tam. Betonu, żelaza zbrojeniowego, dodatkowego transportu... albo wyposaży pan halę w podwójną liczbę wentylatorów, w tym nikt się nie połapie.

- Zaraz - rzekł Barański, próbując zebrać myśli. - Jeżeli ja te trzysta tysięcy mam upchnąć w budowę hali, to co mnie obchodzi kontrola Zjednoczenia, która ma przyjść już w maju? Budynek będzie gotowy za rok, półtora i wtedy dopiero muszę go rozliczyć. Więc o co chodzi?

- Niechże pan liczy prawidłowo! - Lewański był już zirytowany. - Tych trzystu tysięcy nie ma, rozumie pan? Nie ma, bo pan je wydał na samochód i co tam jeszcze. Gdzie pan to wpisze teraz, kiedy budowa jeszcze nie rozpoczęta, materiał nie zwieziony! Co ja powiem kontrolerom, kiedy zaczną przeglądać wydatki FIREX-u? Że ukradłem trzysta patyków? Mam im to pokazać?

Położył przed Barańskim dokument, który trzymał w rękę. Zdzisław rzucił tylko okiem, nie musiał czytać. Było to pokwitowanie na tę tak ogromną sumę, pokwitowanie, które wówczas podpisał - sam, dobrowolnie, przy Zdzierskim i Walińskim. W dodatku przez dwie kalki. Żeby mu nie przyszła teraz ochota wyrwać papierek i podrzeć.

- Co ja mam zrobić? - wyjąkał. Ścisnął głowę rękami i powtarzał na wpół przytomnie: - Co ja mam zrobić...

Drzwi gabinetu otworzyły się, wszedł radca Waliński. Na chwilę przystanął, zdziwiony tym, co zobaczył, a potem zbliżył się do Barańskiego i rzekł tonem pełnym współczucia:

- Panie Zdzisławie, co się stało? Źle się pan czuje?

Naczelnik wstał, zabrał coś z biurka, mruknął, że zaraz wróci, i wyszedł. Radca usiadł po drugiej stronie stolika i powtórzył pytanie. Barański uniósł głowę, spojrzał na niego błędnie.

- Skąd ja wezmę pieniądze?

- Jakie pieniądze?

- Trzysta tysięcy; Matko rodzona, nic, tylko się powiesić!

- No, no. Niechże pan głupstw nie mówi. Kiedy tamten uspokoił się na tyle że mógł z sensem odpowiedzieć na pytania, radca: swoim Zwyczajem wysunął dolną wargę, tak że prawie zetknęła się z nosem, pomilczał chwilę, a potem rzekł:

- Rzeczywiście, sprawa trochę kłopotliwa.: Lewański ma rację, trzeba teraz zwrócić te pieniądze do kasy, a później pan je sobie wciągnie w budowę.

- Ale ja nie mam, rozumie pan?! - Nagle coś mu przyszło na myśl. - Sprzedam poloneza.

Waliński pokręcił głową.

- Nie może, pan tego zrobić. Od kwietnia likwidujemy osobowe samochody służbowe. Czym pan będzie wtedy jeździł? Rowerem?

- No, to sprzedam meble!

- Przecież nie spłacone. Zresztą takie rzeczy trwają miesiącami. Kto ma pieniądze na; kurowskie komplety, ten woli nowe, nie używane. Nie dadzą panu ani połowy wartości. I co pan postawi w czterech pokojach?

Dyrektor zakładu nie może nagle urządzać wyprzedaży swoich mebli, jakby to wyglądało.

Więc co mam zrobić? - Podniósł na Walińskiego błagalny wzrok. - Niech mi pan coś: doradzi, musi być przecież jakieś wyjście.

Radca znów powąchał dolną wargę, a potem rzekł:

- Jest wyjście. Tylko czy pan potrafi to załatwić w odpowiedni sposób?

- Zrobię wszystko, co tylko będę mógł!

- Dobrze. Wezmę od Zdierskiego talon na fiata 125p. I dam panu..

- Po co? Nie rozumiem.

- Ależ pan naiwny! Sprzeda pan talon. Za dwieście tysięcy. Aha, to jeszcze za mało... No, więc poproszę go o drugi talon - Na malucha. Idzie po sto dwadzieścia, a jak komuś bardzo zależy, to da i sto pięćdziesiąt. Ja nawet wiem o kimś takim, mogę pana skontaktować.

Barański wyjął chusteczkę i przetarł spoconą twarz. Usta mu lekko drżały. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Radca obserwował go spod oka i milczał. Zdawał sobie sprawę, co tamten myśli, co czują w tej chwili. Nie należy go popędzać - mówił sobie w duchu.

- Jeżeli się orientuję - zaczął Zdzisław powoli - to przydział talonów jest wprowadzie w gestii naczelnego dyrektora centrali, ale ministerstwo przysyła je razem z pismem. Tam jest wyszczególnione, kto ma je dostać. Nie imiennie, oczywiście, ale po linii zawodowej. Mają dostawać ci, którym samochód potrzebny jest najbardziej. Więc inżynierowie z wydziału transportu, niektórzy technicy, zaopatrzeniowcy. Nie jestem żadnym z nich. Dostałem już talon na poloneza i nie należy mi się nic więcej. Tak czy nie?

Waliński nie odpowiedział. Patrzył na okrągłą, jeszcze niedawno rumianą i pogodną twarz dyrektora FIREX-2, dzisiaj ściągniętą zmęczeniem, poszarzałą i zatroskaną. Jasne oczy były jakieś przygasłe, kąciki pełnych warg opadły i nadawały całej twarzy wyraz żalosego zdziwienia.

- Gdybym ja wziął te talony - ciągnął dalej - zabraknie ich dla innych osób. Moich kolegów. Pewnie, że samochód to nie chleb czyi mieszkanie i oni mogą poczekać. Ale jak ja im spojrzę w oczy?

- Im, to znaczy komu? - spytał radca spokojnie.

- No, przecież mówię. Tym, którzy mają obiecane talony.

- Nikt nie ma obiecanych talonów. Nie istnieje żadna lista osób, które powinny je dostać w określonym terminie. Więc komu pan nie będzie mógł spojrzeć w oczy? Kilku tysiącom pracowników centrali FIREX-u? Razem z filiami jest ich dużo więcej. Talony są do wyłącznej dyspozycji dyrektora Zdzierskiego. Może je dostać Kowalski czy Malinowski, albo nikt. Gzy pan mnie wreszcie zrozumiał?

Barański siedział przez dłuższą chwilę jak otępiały, a potem odparł cicho:

- Staram się. - Przetarł ręką oczy. - Bardzo się staram to wszystko zrozumieć. Nigdy nie przypuszczałem, że... a zresztą mniejsza z tym.

- Drogi kolego - rzekł radca, klepiąc go po ramieniu. - widzi pan przecież, że zarówno jaj jak i Zdzierski robimy, dla pana niemało. Robimy to nie z żadnego wyrachowania, bo i cóż moglibyśmy - od pana chcieć - zaśmiał się. - Po prostu postawiliśmy na - pana jak na dobrego konia. Młody, zdolny, pracowity człowiek zasługuje na awans. To jedna sprawa. Druga to pomoc w zorganizowaniu panu - życia na dyrektorskim

poziomie. Przecież nie mogliśmy pana obciążyć nagle ogromnymi wydatkami na urządzenie mieszkania, samochód, ubranie i tak dalej. Na to wszystko musiał pan otrzymać pieniądze czy kredyt. I to jest chyba zrozumiałe.

Zdzisław pokiwał głową i westchnął ciężko.

- Dalej. Nie stać ani Zdzierskiego, ani mnie na prywatne pożyczki w wysokości setek tysięcy złotych. Dobre chęci tu nie Wystarczą. Więc urządzamy to tak, aby wymanewrować dla pana przejściowo sumy, tu pożyczyć, tam trzeba - oddać, ale potem znowu da się coś urwać, ot, taka gra finansowa. Pan się na tym nie zna, w każdym razie, nie na tyle, aby głupstwa nie zrobić p b drodze. Dlatego to i owo robimy za pana. Nikt z nas nie kradnie pieniędzy z kasy ani nie sprzedaje surowca na lewo!

Wstał, przeszedł się po gabinecie naczelnika. Widać był tu zadowolony, bo z mahoniowej szafki wyjął butelkę koniaku i kieliszki, postawił na stoliku. Nalał, przysunął jeden w stronę dyrektora.

- No, jak samopoczucie? - spytał żartobliwie.

Barański wypił, posmakował, odstawił kieliszek i odparł:

- Z pewnością pan ma rację, nie ja. Widzę, że muszę się jeszcze wiele nauczyć. - Byle nie za wiele - pomyślał Waliński przelotnie. Do gabinetu wrócił naczelnik, bez słowa sięgnął po trzeci kieliszek. Wypili we trójkę, potem Zdzisław, już spokojny, spytał, kiedy może się zgłosić po talony. Uzgodnili, że przed samą szesnastą, jak Zdzierski wróci z narady w Zjednoczeniu.

Do Gniewczyc wyjechał późnym wieczorem. Padał drobny deszcz, wycieraczki rytmicznie przesuwwały się po szybie, tam i z powrotem, tam i z powrotem... Zdzisław przetrawiał w myślach wszystko, co usłyszał. W

portfelu leżały dwa talony, kupiec na fiata miał się do niego zgłosić w najbliższych dniach. Być może kupiec, ten będzie również wiedział o amatorze na drugi talon. W ten prosty sposób Barański spłaci olbrzymi dług, a później...

Na razie nie chciał o tym myśleć. Powiedział sobie zresztą, że wcale nie będzie potrzebował kolejnych trzystu tysięcy. Tych, które mu tak; hojnie dodano na budowę hali. No, bo przecież nie będzie już nic winien do kasy FIREX-u. Zostanie tylko pożyczka na meble.

- Może nie trzysta - pomyślał nagle. - Wystarczyłoby jakieś... sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy. Tyle da się urwać z planu budowy bez żadnego trudu, bez wtajemniczenia cv to kogokolwiek. Na przykład dwa razy już przychodził prezes spółdzielni mleczarskiej, który stawia sobie dom w Gniewczycach. Brakuje mu cementu i czegoś tam jeszcze. Wystarczy wagon. No, dwa. Można skierować prosto ze stacji, nie na bocznice FIREX-2, ale kawałek w prawo, za budynki stacyjne. Tylko jak to wytłumaczyć kolejarzom? Ech, coś się wymyśli. Przypuśćmy, że w zakładzie na razie brak miejsca, magazyny pełne, a na otwartej przestrzeni źle trzymać worki z cementem, mogą zamoknąć... Nie, lepiej, żeby przysłali luzem. Wtedy z każdego wagonu łatwo odsypać pół tony. Prezes sobie zabierze własnym transportem. Musi pokwitować; w razie czego powiem, że mu pożyczyłem.

Było już ciemno. Z daleka dostrzegł światła Gniewczyc. Dodał gazu, chciał być w domu na tyle wcześnie...aby przejrzeć jeszcze dokumenty, spokojnie zjeść kolację. Przyszło mu na myśl, że zdążył już się przyzwyczaić i do cichej willi w ogrodzie, i do pięknych mebli, i do poloneza, który ze świstem opon sunął szybko po mokrej szosie.

- Miałbym teraz pozbyć się tego wszystkiego? - mruknął sam do siebie. Pewnie, do dobrego człowiek przyzwyczajają się nadzwyczaj szybko. I żał mu stracić.

Irena czekała z kolacją. Kiedy wszedł do jadalni i zobaczył ładnie nakryty stół, dużo do uśmiechniętą twarz żony, która teraz była dla niego tak miła i przyjacielska, jak nigdy dotąd, powiedział sobie, że za żadną cenę nie zrezygnuje z niczego, co zdobył.

Dopiero w nocy, bo długo nie mógł zasnąć, tak jakby ktoś drugi w nim zapytał: Za jaką cenę? Proszę dokładnie!

*

Obie transakcje z talonami załatwił w ciągu kilku dni. Ni stąd, ni zowąd poczuł w sobie żyłkę handlarza i wytargował w sumie „trzysta dwadzieścia pięć tysięcy. To niby ja jestem taki naiwny? - powiedział w myśli do Walińskiego. - Jeszcze wy mnie nie znacie!

Połowę „uzysku z targu” dał. Irenie, niech sobie kupi coś ładnego. Resztę włożył do portfela, aby w każdej chwili móc namacać w nim plik banknotów, to było uczucie nowe, przyjemne, dawało pewność siebie, Co prawda, budziło też ciągły niedosyt. Aż się zdziwił, dlaczego teraz małe sumy zupełnie go nie cieszą.

Dawniej - przecież nie tak bardzo dawno - słowo „milion” było dlań całkowicie pustym dźwiękiem; pół miliona również nie bardzo sobie wyobrażał, oczywiście jeśli chodzi o jego własny portfel. Dopiero sto tysięcy rysowało mu się przed oczami jako coś możliwego do zdobycia w najbardziej sprzyjających okolicznościach. A tak zupełnie, konkretnie myślał o dwudziestu tysiącach.

Splacając Lewańskiemu pożyczkę nie czuł już najmniejszych

wyrzutów sumienia. Naczelnik uśmiechnął się do niego wyrozumiale i rzekł:

- Widzi pan, teraz możemy spokojnie czekać na kontrolę. Jak się sprawa polonez?

- Dobrze. Jestem z niego zadowolony. Jeszcze nie nabrałem wprawy w kierowaniu, zwłaszcza miałem kłopoty zimą. Latem będę więcej jeździł. Aha, nie wie pań, co z decyzją budowy?

- Zdaje się, że naczelnik ma już dla pana gotowy projekt.

Barański, odbierając plany budowy nowej hali, nie zdradził ani jednym słowem, że orientuje się, co to za „lipa”. Pogadał ze Zdzierskim o terminach, uzgodnili kilka spraw, pożegnał się i wyszedł. Po jego odejściu naczelnik dyrektor poprosił do siebie Walińskiego.

- Był Barański - powiedział, śmiejąc się. - Zabrał plany.

Radca ciężko opadł na fotel, wysunął dolną wargę.

- On wie, że to stary projekt - mruknął. Zdzierski zmarszczył brwi.

Skąd wie?

- Od Lewańskiego.

- Po co ten stary osioł mu powiedział? Mogą być kłopoty.

- Już teraz nie. Już Barański jest nasz.

- Mów jaśniej!

Wtedy radca opowiedział o sprzedaży talonów. Dodał też, że wprawdzie Barański zwrócił trzystutysięczną pożyczkę, ale nie zaprotestował, kiedy go poinformowano o wysokości kredytu na budowę.

- Trochę się rzucał, coś tam bąknął, żeśmy go urządzili, trochę sobie popłakał z żalu, ale na tym się skończyło. Daję głowę, że wybuduje za jedenaście milionów i trzysta patyków pójdzie do jego kieszeni. Chłopak

nauczył się brać. A pieniądze, drogi Kaziu, idą do głowy niczym najmocniejszy alkohol. Sprzedał talony, tym go też trzymamy w szachu. Jakby pracownicy dowiedzieli się, że dostał trzy w ciągu niespełna roku - no, nie chciałbym być w jego skórze!

Zdzierski słuchał, uśmiechając się ironicznie.

- Świetnie wykombinowane i prawidłowo zrealizowane - rzekł.

- No, a czyj to był pomysł?

- Twój, oczywiście. Potwierdzam to w całej rozciągłości. Nie przypuszczałem, że wszystko pójdzie tak gładko. To dobrze. Barański będzie nam potrzebny już w maju.

Wstał, podszedł do okna. Dostrzegł odjeżdżającego poloneza, a chociaż nie pamiętał numeru rejestracyjnego ani koloru wozu Zdzisława, osądził, że to dyrektor z Gniewczyc powraca do swoich służbowych pieleszy.

- Las już wycięli? - spytał, zniżając głos.

- Kończą. Trochę drzew kazałem zostawić, żeby nie było takiej pustyni.

- Najtrudniej będzie z poprowadzeniem przewodów gazowych. Nie mam jak dotąd żadnego kontaktu z tymi tam...

Waliński zamyślił się, wyjął notes z telefonami i adresami. Przerzucił kilka stron, pokręcił głową.

- Ja też nie. Słuchaj, czy musi być gaz? Nie mogą być kuchnie elektryczne?

Zdzierski wrócił za biurko, poprawił okulary-

- Mogą. Ale co w takim razie zrobisz z ciepłą wodą? Ach, prawda, z kotłowni. Nie zdecydowaliśmy jeszcze, czy w każdym domu własna czy

wspólna dla, powiedzmy, połowy domów. W oddzielnie stojącym budynku. Ale wtedy byłyby potrzebne dwie. To przecież nonsens. Najlepiej jedna duża, dla wszystkich domów.

- Tak przecież było planowane - zauważył radca. - Wracając do kuchni: sądzę, że moglibyśmy dostać bardzo dobre, z importu. Włoskie. Wiem, że centrala handlowa sprowadziła dwadzieścia sztuk dla jakiegoś sanatorium czy domów wczasowych. No, może nie sprowadziła, bo Włosi podarowali kuchnie.

- Żartujesz?

- Nie, serio. Dla domów dziecka czy coś takiego. Myślę, że mógłbym postarać się o pięć, sześć sztuk. Inni niech sobie sami radzą.

Naczelny - zapalił papierosa, czas jakiś siedział w milczeniu, wreszcie, rzekł:

- Może się wydać. Przyjedzie któryś z Włochów, zacznie sprawdzać, liczyć.

- Teraz ja cię spytam: żartujesz?

- Chyba tak - odparł Zdzierski. Roześmieli się.

W połowie kwietnia roboty przy wykopach fundamentów pod nową halę zostały przerwane. Stało się to nagle, jednego dnia, z samego poniedziałku. Wykonawca - Przedsiębiorstwo Robót Przemysłowych, zwane w skrócie Perp - ustami kierownika oznajmił inżynierowi Gawrońskiemu, że otrzymał polecenie zabrania sprzętu gdzie indziej.

- Jak to: gdzie indziej? Co to znaczy? - spytał inżynier poirytowany. - Zaczęliście wykopy, jak możecie teraz przerywać?

Zanim sprawa dotarła do Barańskiego, ciężarówka z koparkami i dźwigiem odjeżdżała, już z placu budowy, Zdzisław wybiegł z gabinetu,

ucinając naradę. Wsiadł do swego poloneza, ostro zakręcił i na drodze przy bramie zajechał drogę fiatowi kierownika Perpu. Wozy o mały włos nie zderzyły się, kierowca fiata zaklął, ale zdążył wykręcić w bok. Barański wyskoczył z samochodu, podbiegł do zastopowanego pojazdu, gwałtownym ruchem otworzył drzwiczki.

- Czy pan zwariował?! - krzyknął do kierownika robót. - Dlaczego zabiera pan sprzęt?

- Dostałem takie polecenie - odparł tamten, przestraszony widokiem rozniewanego dyrektora, chociaż nie był to jego dyrektor.

- Jakie polecenie? Od kogo? Przecież ja mam plan, hala musi być gotowa, kiedy nadejdą maszyny, rozumie pan? Gdzie ja je postawię, pod gołym niebem?

- Panie dyrektorze, nasze Zjednoczenie przerywa wszystkie budowy poza jedną, priorytetową, na którą mamy przewieźć cały sprzęt. Przecież ja o tym nie decyduję. Proszę, to jest pismo, które wczoraj otrzymałem.

Wyciągnął z teczki dokument, podał Barańskiemu. Ten przeleciał go oczami i pobladł. „Priorytet” - to było słowo, które kładło niejedną budowę, spędzało sen z powiek wielu dyrektorom. Wiedział, co oznacza zabranie sprzętu do Huty. Ona miała pierwszeństwo, wszystko inne było na drugim planie. Zrozumiał, że dostanie koparki może jesienią, może za rok. Nie było o czym dyskutować - w tej sprawie, nie wygra.

Oddał pismo kierownikowi, kiwnął mu głową, nic nie powiedział. Uwolnił przejście i powrócił przed budynek administracyjny. Gawroński stał w progu, zasepiony, ale gotów jeszcze walczyć o sprzęt.

- Czemu pan go puścił?! - zawołał.

- Ma pismo Zjednoczenia. Wszystkie maszyny z ich budów mają być

odstawione do Huty. Priorytet! - odparł.

Minął inżyniera, wrócił do gabinetu i połączył się telefonicznie ze Zdzierskim, Dowiedział się, że od tego jest dyrektorem, żeby umiał sobie radzić. Zdzierski był zły, coś mu tam nie wychodziło z planem w FIREX-3.

- Co zrobimy? - spytał Zdzisław swoich zastępców. Siedzieli w gabinecie. Gawroński patrzył przez okno na rozbabrane wykopy, Grządek pykał fajkę i milczał. - Mówcie, do cholery. W lipcu przyjadą wiertarki z Włoch. Co z nimi zrobimy?

- Przechować można gdziekolwiek - mruknął inżynier. - Ale one w drugim półroczu mają już pracować, to jest w planie.

Grządek wyjął fajkę z ust, wsadził ją do bocznej kieszonki flanelowej koszuli, którą nosił na sweter, bo tak mu było cieplej, i powiedział:

- O sprzęt mogę się postarać. A przedsiębiorstwo musi dać swoich ludzi, inaczej będzie płacić za zerwanie umowy. Odliczymy im potem za koparki i dźwig.

- Skąd je weźmiesz? - spytał Zdzisław z niedowierzaniem.

Ekonomista skrzywił się, podrapał po karku.

- Pożyczy się z bazy transportu rolnego." Niedawno zakończyli budowę zlewni mleka i sprzęt stoi u nich wolny.

- Trzeba im będzie zapłacić - zauważył Gawroński. - Jak to rozliczymy? Bank może nie uznać.

- Wcale nie będziemy rozliczać. - Grządek wzruszył ramionami. - Skombinujemy dla ich dyrektora dębową klepkę na podłogę w jego willi. Od dawna suszy mi głowę, żeby mi to załatwił.

- Duża jest ta willa?

- No, spora. Chyba ze dwieście, może nawet dwieście trzydzieści metrów powierzchni. On tam z początku położył płytki pcw, teraz ma już tego dość. Obrzydliwie wygląda i odpada.

- Skąd weźmiemy aż tyle dębiny? - Zdzisław zmarszczył brwi. - Przecież cała klepka idzie po nas na eksport.

- Ojej, mówisz jak dziecko. Zrobię ci mały wykład, słuchaj uważnie. W grupie drewna tartacznego liściastego mamy trzy klasy jakości. W tej chwili w magazynach leżą deszczułki posadzkowe z dębiny. Są klasy pierwszej i trzeciej. Na eksport idzie wyłącznie pierwsza, to zrozumiałe. Ta trzecia ma częściowo zgniliznę twardą, częściowo nawet miękką, ale wewnętrzną, rozrzuconą w różnych warstwach. Tylko dobry fachowiec zorientuje się, że na klepkę tę jest do kitu.

- Wiem o tym - przerwał Barański niecierpliwie. - Chcesz dać temu dyrektorowi klepkę trzeciej klasy, tak?

- Tak. I policzę mu za pierwszą, wtedy wyrówna się pożyczka koparek i dźwigu. Poniał?

- Oszustwo będzie za to pierwszej klasy - stwierdził sucho Gawroński. - Któż ci zaręczy że facet nie znajdzie takiego posadzkarza, który zorientuje się w jakości drewna?

- Ja zaręcę. Bo posadzkarz będzie od nas - roześmiał się Grządek. - Dostanie w łapa i odpowiednie instrukcje. Będzie się rozpływał z zachwytem nad klepką, która wytrzyma może nawet rok. Co będzie potem, to już nas nie obchodzi. Nasza sprawa, żeby nie przerywać budowy hali. A koszt sprzedaży - bo tak to trzeba będzie nazwać w dokumentacji - koszt tej zmurszałej dębiny... Powiedzmy, że wliczy się w budowę. Ja to

załatwię.

- Dobrze znasz dyrektora bazy? - spytał Barański z naciskiem. - Żeby potem nie było wiesz.

- Kielańskiego? Nie bój się! Tyle wody, ile myśmy razem wychlali... Zaraz do niego pojedę, bo czas nagli.

Wstał, nałożył czapkę i kurtkę. We drzwiach i odwrócił się jeszcze, pokazał ręką, że wszystko będzie okay, i wyszedł. Za nim wysunął się Gawroński.

Zdzisław siedział w milczeniu, rysując w notatniku jakieś zawiłe esy floresy i rozważając to, co usłyszał. Już po raz drugi podsunęto mu i wyjście: wliczyć w budowę. Dwadzieścia czy nawet pięćdziesiąt tysięcy przy jedenastu milionach to nie był pieniądz.

Tak łatwo to się robi? - zdziwił się. Po trochu zaczynał rozumieć, skąd dyrektora bazy transportu rolnego stać było na dużą Willę, dlaczego Zdierski ma nie tylko białego mercedesa najnowszego typu, ale i - piękną łódź motorową klasy S-00, o pojemności silnika powyżej siedmiu tysięcy centymetrów sześciennych, łódź, której zazdrościli mu wszyscy pracownicy centrali.

Narysował - tę łódź, ale mu nie wyszła, więc zamazał. Pomyślał, że dyrektor Zjednoczenia to już z pewnością dysponuje jachtem dalekomorskim i co najmniej dwiema willami. Nagle zapragnął dowiedzieć się czegoś bliższego choćby o tym dyrektorze z bazy. Jak on to zrobił? - zastanawiał się, wychodząc przed budynek.

Grządek stał przy swoim maluchu, poprawiał wycieraczki.

- Słuchaj - zaczął Zdzisław trochę niepewnie - powiedz mi, dawno on postawił swoją willę?

- Kielański?

- Tak. Ciekawi mnie, skąd wziął tyle forsy.

Ekonomista popatrzył pa Barańskiego spod oka, uśmiechnął się ironicznie.

- Zdzisiu, kochanieńki, tobie to się na nic nie przyda. Kielański postawił chałupę z funduszu rozwoju rolnictwa, a u nas takich nie ma. U nas można by jedynie z funduszu na...

- Czekaj! - przerwał zdumiony. - Jak to, z rozwoju rolnictwa? Kpisz czy co?

- Ależ skąd. Kielański ma łeb nie od parady. Najpierw miał to być obiekt na kurso-konferencje dla młodych rolników. Rozumiesz, żeby chłopaków uczyć, jak mają siał, orać i zbierać. Rolnik przecież tego nie umie. Wiec z tych funduszy wybudowali dom, doprowadzili wodę, światło, w czynie społecznym ułożyli drogę. Potem Kielański zaczął urządzać te kursy, ale zawsze jakoś tak wypadało, że rolnicy mieli wtedy najgorętszy czas w polu. Żniwa, wykopki, siewy, zbiór buraków i tak dalej. Nic dziwnego, że kursy nie obrodziły, pies z kulawą nogą nie przyjeżdżał. No i pomalutku, pomalutku, Kielański z obiektu służbowego zrobił własną willę. Dla - kursantów wystarczały podłogi z pcw, ale dla dyrektora nie pasują. Chce mieć dębową klepkę i my mu ją damy. Tyle że nie za darmo.

Wsiadł do samochodu, zapuścił motor. Przez opuszczoną szybę wysadził jeszcze głowę i rzekł pogodnie:

- Jak będziesz chciał postawić sobie willę, to pogadamy. Jakies fundusze zawsze się u nas znajdują.

- Po co mi willa? Mam przecież ładne mieszkanie.

- Ale nie twoje. Służbowe. Jak cię zwolnią z posady, będziesz musiał oddać. Smutne, ale prawdziwe. No, cześć!

Odjechał. Barański długo w noc nie mógł zasnąć. Nie był w stanie sobie wyobrazić, że kiedyś wróci do ciasnego mieszkania w bloku. Przewracał się na łóżku, zbudził Irenę i chciał z nią o tym wszystkim pomówić, ale prychnęła gniewnie, że od rozmowy jest dzień i ona chce spać. Wstał więc, wyszedł do gabinetu. Wypił dwa kieliszki koniaku, pochodził po pokoju. Własny dom? - myślał. - Koniecznie! Willa. Ze cztery pokoje na dole, trzy na górze. Sauna, ogród. Sześć... osiem milionów? Z pensji dyrektorskiej nigdy. Grządek powiedział, że z funduszy... z funduszy na... Co za różnica, z jakichś tam. Klepka na podłogach, boazeria na ścianach. Za darmo, rzecz jasna. Robocizna też, wliczy się w pracę na drugiej zmianie, trochę zapłacę. W pokojach i w hallu - kominki. Mamy dobrego plastyka, zrobi obudowę ze specjalnie wytrawionej blachy. Ozdoby z mas żywiczych, to ładnie wygląda. Kolorowy telewizor na dole, drugi na górze. Ech, życie!

Grządek nie zawiódł. Następnego dnia rano trzy koparki i duży dźwig pracowały przy wykopach pod halę. Barański, który nie bardzo wierzył w obietnice swego zastępcy, omal go nie uściskał na oczach kilkunastu robotników z Perpu. Poszli potem we dwójkę do magazynu z klepką, długo wybierali i przebierali, podśmiewując się z dyrektora bazy, nieświadomego, co go czeka. Posadzkarz był już odpowiednio poinstruowany, pomógł też wybierać najgorsze deszczułki.

- Zgnilizna twarda to jest taka cholera - pouczał Zdzisława - że trzeba dobrego oka, aby ją wykryć. Zwłaszcza kiedy tak jak tutaj - dotknął klepek - siedzi w środku drewna, przy samym rdzeniu. Owszem, barwa

dębu jest - zmieniona, ale na tym mało kto się pozna. Zresztą znam sposób, aby ją poprawić! - Cwaniacko mrugnął okiem. - Wszystko będzie grało.

Barański powiedział potem do Grządka, że przecież posadzkarz może ich wpuścić w maliny - weźmie pieniądze od jednej i drugiej strony, zdradzi Kielańskiemu, jak to naprawdę jest z tą klepką. Ale ekonomista zaprzeczył stanowczo. Posadzkarz dobrze wie, że bardziej mu się opłaci żyć w zgodzie z dyrekcją FIREX-2 niż z bazą, która może go potrzebować najwyżej raz, bo Kielański nie miał nawet zastępcy.

Wieczorem dyrektor wybrał się z żoną do hotelowej restauracji, jedyne porządne lokalu w Gniewczycach. Zaprosił też Grządka, który był kawalerem i dobrze tańczył, czego Zdzisław nie potrafił. Chciał, by Irena dobrze się bawiła w dniu swoich urodzin. Wieczór był chłodny, ale sala restauracyjna dobrze ogrzana, z kolorowymi światłami i zespołem muzycznym, zwanym się z hiszpańska Balerros. Może zresztą nie było to po hiszpańsku.

Grządek, przyodziany na tę okazję w granatowy garnitur z miękkiej flaneli i w dobrze dobraną szaroniebieską koszulę, prezentował się dostojnie, choć nie staro. Bujne ciemne włosy, w których przeblyskiwała srebrzyście siwizna, wydatny - on sam mówił: rzymski - nos i nieodłączna fajka czyniły z niego nieomal brytyjskiego dżentelmena lub kogoś w tym rodzaju. Tańczył wytwornie, lekko tylko odstawiając mały palec u tej ręki, w której trzymał dłoń partnerki. Irenie bardzo to się podobało, sądziła, że Grządek jest elegancki i zna wielkoświatowe zwyczaje.

Do ich stolika przysiadło później paru miejscowych notabli, robiło się wesoło i coraz gwarniej. Kelnerzy nalewali wysokogatunkową wódkę i

koniak, pod koniec już tylko zwykłą czystą, wychodząc z założenia, że w tym stanie trzeźwości i tak nikt nie pozna. Irena była zachwycona nastrojem, tańcem, życiem towarzyskim, którego dotąd nie zaznała na taką skalę i w takiej oprawie. Na jej palcach połyskiwały pierścionki, błękitna suknia pochodziła z Mody Polskiej, nagie ramiona ochraniał biały puszysty lis. - Orkiestra, coraz to wspomagana banknotami przez rozochoconych tancerzy, grała raz rzewnie, raz skocznie, jak jej tam wypadło. Zdzisław jadł i pił, później już tylko pił i wodził zamglonymi oczami po sali. Było mu trochę tęskno, choć nie wiedział za czym, trochę niedobrze po grzybkach w oecie, chwilami nucił pod nosem albo próbował sensownie odpowiadać na czyjeś pytania.

- Własny dom, rozumiesz? - jęknął do kogoś, kto dolewał mu do kieliszka. Był to kelner, trzeźwy i czujny; obliczał w myślach, ile wstawić do rachunku, tak by nie przesadzić.

Orkiestra grała:

„Mały biały domek co noc mi się śni...”

Barański marzył.

*

Naczelnny dyrektor FIREX-u wraz z radcą Walińskim zjawił się w Gniewczycach zupełnie bez uprzedzenia, co było z jego strony nietaktem. Coś takiego musiało się odbić na twarzy Barańskiego, że obaj zwierzchnicy zaczęli od przeprosin. Skąpe to były przeprosiny i oschłe w tonie, ale jednak były. Westchnął więc tylko, poprosił gości do gabinetu, zarządził kawę i wyciągnął z szafki alkohol.

Zdzierski odmówił koniakowi, prowadził wóz. Radca nie miał żadnych obiekcji, sam sobie parokrotnie dolewał, uprzedzając gospodarza.

- Nie przyjechaliśmy na żadną inspekcję - powiedział Zdzierski, widząc jego niespokojny wzrok. - Chcemy pomówić zupełnie o czym innym.

Gniewczycki dyrektor zdobył się na wątyły uśmiech. Nie na inspekcję? Więc po co zawracają mu głowę, kiedy tyle jest do roboty? Odparł jednak grzecznie, że słucha.

- Panie Zdzisławie - zaczął.

Waliński. Zetknął nos z dolną wargą i za chwilę ciągnął dalej. - W pobliżu Gniewczyc, w lesie marowskim, znajduje się idealne miejsce na wypoczynek i wczasy. Jezioro, niewielkie, takie w sam raz, cisza, spokój. W tej chwili, po wycięciu kawałka lasu, powstała duża polana, która łączy się z brzegiem jeziora, i...

- Nie byłem w marowskim lesie - uprzedził Zdzisław na wszelki wypadek. Nie wiadomo, czego zażądają od niego, może koparki albo dźwigu z budowy. Postanowił, że kategorycznie odmówi.

- To nieistotne - rzekł Zdzierski. - Rzecz polega na tym, że ten teren Wykupi pan z funduszy socjalnych, względnie innych, na ośrodek wczasowy.

- Po co? - zdumiał się. - FIREX-2 ma przecież dwa domy wypoczynkowe, jeden nad morzem, drugi na Mazurach.

- Wiem o tym. I sędzę, że oba domy zupełnie załodze wystarczą.

- Więc? Nie rozumiem. Radca przejął pałeczkę.

- Teren, o którym mówimy, ma już doprowadzony prąd i rurociąg wodno-kanalizacyjny z pobliskiego miasta - wyjaśniał cierpliwie. - Jest tam chodnik, wiodący do szosy, a cały teren został ogrodzony. Od kilku tygodni trwają wykopy pod domki letniskowe, stawia się już pierwsze

fundamenty.

- Dla kogo te domy?

- Dla jedenastu osób. Między innymi dla dyrektora Zdzińskiego i dla mnie. Poza tym dla wicewojewody, kilku dyrektorów przemysłu terenowego i dla dyrektora Lipskiego ze Zjednoczenia. Oczywiście jeden domek będzie dla pana.

Barański milczał, kompletnie zdezorientowany. Wprawdzie przez blisko rok dyrektorowania zdążył już się przyzwyczaić do osobliwych sytuacji, które według jego oceny oscylowały na pograniczu prawa. Wprawdzie marzyła mu się własna willa, no, niech to będzie na razie dom letniskowy, ale propozycja kupna terenu z funduszy zakładu...

- Ile kosztuje ta polana? - spytał cierpko.

- Mało. Trzy złote za „metr kwadratowy.

- Jak to: trzy złote?! Przecież to fikcja! Zdziński roześmiał się. Dopił kawy, zapalił.

Waliński rozciągnął się wygodnie w fotelu i rzekł:

- Sądził pan, że proponujemy panu rzecz nierealną? Oczywiście, że taka wycena, to fikcja. Załatwiłem to z wicewojewodą i z jego dyrektorem gospodarki terenami i ochrony środowiska. Polana została zakwalifikowana jako nieużytek rolny. - Spojrzał na zegarek. - Żeby nie tracić czasu Pan, Zdzisławie, zaksięguje jakoś tam koszt terenu, dokładną sumę podam panu w tych dniach teleksem, nie wymieniając naturalnie, o co chodzi. Kiedy domy będą gotowe w stanie surowym, dostarczy nam pan deszczułki dębowe na podłogi i bardzo ładną boazerię.

- Do jedenastu domów? - przeraził się.

- Ach, skądże! Powiedzmy, do pięciu. Biorę pod uwagę nas trzech tu

siedzących, szefa Zjednoczenia i wicewojewodę. Reszta sobie poradzi.

- To mają być duże domki? - spytał ostrożnie.

- Nie. Mniej więcej sto czterdzieści metrów powierzchni mieszkalnej każdy.

- Toż to spora willa!

- Może pan to nazwać jak pan chce. Dacza, willa, domek. Nawet szopa.

- I ja mam w tym interesie partycypować?

- Jeżeli pan chce.

- Z jakich funduszy?

- Koszt jednego domku obliczyliśmy na około dwieście tysięcy. Bierzemy pod uwagę dostawy materiałów budowlanych z przeceny - uśmiechnął się przelotnie - i siłę roboczą z pańskiego zakładu.

- Z mojego? To wykluczone!

- Wcale nie. Przetrzyma pan dostawy drewna, klejów, lakieru i robotnicy nie będą mieli zajęcia w zakładzie. Wobec tego da im pan delegacje w teren. Do lasu. Zresztą dla rzemieślników wysokiej klasy mamy przygotowane talony na samochody.

- W ten sposób FIREX-2 nie wykona planu!

- Wykona, wykona. W sprawozdaniu na pewno. Premie będą jak należy. I załoga będzie zadowolona, i my. Obiecamy jej na przyszły rok podwójną pulę mieszkaniową.

Barański wzruszył ramionami.

- Skąd pan weźmie podwójną, jeżeli do tej pory nie dostali dwudziestu mieszkań sprzed trzech lat?

- Więc zwali pan winę na budowlanych. Zdzisławie, mam pana

uczyć, jak to się robi?

Wyjechali pod wieczór. Barański stał przed budynkiem dyrekcji i długo patrzył za niknącym w dali samochodem. Rzeczywiście - uczył się.

ROZDZIAŁ 3

Maj zaczął się upałami, potem jednak wróciły chłody i dni pochmurne, deszczowe. Barański przyjechał do Warszawy na naradę dyrektorów wszystkich przedsiębiorstw, podległych Zjednoczeniu. Było ich sporo i sala, wynajmowana na takie okazje w gmachu - resortu, zapelniała się zwykle po brzegi. Zdzisław znał już nie tylko kierowników z FIREX-u, ale kilkunastu innych, bo nie po raz pierwszy brał udział w takich konferencjach. Czuł się wśród nich niemal zdomowiony, przeżywali wiele wspólnych kłopotów i trochę osiągnięć, a to zbliżało.

Zatrzymał się w „Europejskim”, gdzie część dyrektorów miała zamówione pokoje. Odświeżony kąpielą, pachnący yardlejowską wodą, bo krajowych przestał używać, poszedł na śniadanie do hotelowej kawiarni. Siedziało tam już kilku znajomych; zaproszony, przysiadł się do ich stolika, zsuniętego z trzech. Natrafił na sam środek dyskusji na temat dyrektora Zjednoczenia Wacława Lipskiego. Ściślej mówiąc, było to zjadliwe, drobiazgowo obgadywanie, do którego coraz to ktoś dorzucał nowe i pikantne Szczegóły.

Załatwiwszy się z najwyższym szefem, zeszli szczebel niżej i dobrali się do skóry Zdzierskiemu. Tu Barański umilkł i zajął się jedzeniem. Aby zaś nie posądzili go o lizusostwo, szybko skończył śniadanie, wstał, mruknął, że ma jeszcze coś do załatwienia przed naradą, i wyszedł.

Chciał złapać Zdzierskiego, zanim konferencja się zacznie. Wiedział, że po rozwodzie z żoną chwilowo mieszka w „Forum”. Podjechał przed ten długi a wysoki „szwedzki piernik”, jak nazywano hotel. Zaparkował. Sądził, że Zdzierski będzie albo na śniadaniu, albo u siebie w pokoju. Sprawdziło się to drugie, szef przeglądał referat, który miał wygłosić na naradzie. Zdzisława przywitał z roztargnieniem, wskazał fotel.

- Za chwilę - powiedział, nie odrywając oczu od papierów.

Barański czekał, paląc papierosa i przesuwał wzrokiem po ścianach, meblach, a wreszcie po dużej, ciężkiej postaci Zdzierskiego. Dostrzegł - trochę siwych włosów w krótko strzyżonym jeżu i nowe zmarszczki na czole. Postarzał się - myślał. - Jest ode mnie prawie dwadzieścia lat starszy. Do emerytury ma jeszcze... ile to? Ponad dziewięć lat. Długo, chyba że jakiś mocny zawał. Albo lepiej dwa. Po pierwszym będzie ciągnął nogi za sobą i często brał urlop. Po drugim albo mu podziękują za owocną pracę, albo... Jeżeli w ogóle będzie jakieś „albo”.

Zdzierski przerwał te życzliwe rozważania.

- Chciałeś coś? - spytał.

Złożył referat wsunął do teczki.

- Tak. Sądzę, że znalazłem właściwe wyjście - odparł Barański.

- Wyjście, z czego? Nie mów zagadkami, śpieszy mi się.

- Dobrze. FIREX-y mają w tym roku obniżone zadania produkcyjne, tak?

- Tak. I co z tego? Brakuje surowca i niektórych materiałów z importu. Przecież wiesz o tym tak dobrze, jak i ja.

- Zaraz, nie skończyłem. Gniewczyce dostały korektę planu o osiemdziesiąt milionów złotych w dół. Wskutek tego mam przekroczony

limit zapasów materiałowych o prawie dwadzieścia milionów.

Zdzierski nagle znieruchomiał, tknięty jakąś myślą. Potem podniósł oczy na swego pupila:

- Czekaj, już chwyciłem. Chcesz upłynnić remanenty?

- Oczywiście! - roześmiał się. - Bank mnie pochwali.

- Co to jest?

- Wszystko, czego nam brakuje do budowy domów w lesie marowskim. Cement, papa, lepik, różne kleje, chemikalia i tak dalej. Mam nawet, jeszcze sprzed paru lat, piękną glazurę. Do tej pory nie udało mi się ustalić, po co mój poprzednik ją sprowadził.

Zdzierski pochylił głowę, skrył uśmiech. On wiedział, po co.

- Doskonale - powiedział. - Pozbędziesz się zbędnych zapasów, a my zabierzemy się szybko do budowy. Czas najwyższy, bo lato przed nami. Najlepszy czas na roboty. Ceny ustalimy poniżej wartości.

- Jeszcze jedno. Mam kłopoty z Gawrońskim, swoim zastępcą.

- Jakie kłopoty?

Zdzisław skrzywił się, zastanawiał chwilę nad doborem słów.

- Zaczął mi patrzeć na ręce - odparł. - Wtrąca się do różnych decyzji, czego przedtem nie robił. Sprzeciwiał się, kiedy kupno terenu pod domki kazałem wciągnąć w fundusze na propagandę i ochronę środowiska. W dodatku Gawroński ma poparcie załogi. Może nie całej, ale większości.

Zdzierski milczał czas jakiś, potem wyjął gruby, czarny notes, przejrzał parę stron.

- Więc tak - powiedział. - Zwolnisz go. Barański niecierpliwie zamachał rękami.

- Nie mam podstaw. On dobrze pracuje.

- Zwolnisz go - powtórzył tamten z naciskiem. - A ja go przeniosę Jo centrali. Tu, do mnie. Na lepsze stanowisko. Wyższa pensja i - na razie - odsunięcie od wszelkich poufnych decyzji. Rozumiesz? Nie mogę go wyrzucić na zbity pysk, choćbym znalazł dziesięć powodów, bo on za dużo wie. Wolę go mieć pod ręką! Może da się urobić, z czasem.

- Wątpię. Dlaczego: odsunięcie na razie? Naczelnny dyrektor wstał, zrobił kilka kroków do okna, przeciągnął się.

- Jest pewien kierunek działania, który obieram w stosunku do niektórych ludzi - rzekł. - Kierunek stary, ale najczęściej skuteczny. Mianowicie, dopuszczam ich do sekretów, zapraszam do współpracy, do uczestniczenia w tym, co robię. Oczywiście, do pewnych granic. Mówię, im o różnych metodach, o komplikacjach działania, wciągam ich i czyni już przez to samo współuczestnikami przekraczania prawa, bo tak to trzeba nazwać. Przeważnie zaczyna im to pochlebiać, czują się jakby windowani w górę. Zapominają o swoich świętych zasadach. Wtedy mam ich w rękę. I tak też zrobię z Gawrońskim, zobaczysz!

- To bardzo ryzykowne - zauważył Zdzisław. - A jeżeli któryś z nich jednak przekroczy zakreśloną granicę?

Zdziński uśmiechnął się lekceważąco.

- Chłopcze, nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece pieniądze wiążą ludzi. I jak bardzo one smakują, kiedy zaczną się kosztować. Zresztą od pieniądza też wiele zależy. Państwowa złotówka to szajs! Liczy się tylko forsa ulokowana prywatnie. O, właśnie coś takiego.

Wyjął z teczki jakiś dokument, potrząsnął nim w powietrzu.

- Co to jest? - spytał Barański, zaciekawiony.

- Akt kupna fermy trzody chlewnej w Lipinach.

- Kupił pan fermę? - zdumiał się Zdzisław. - Po co?

- A po co się hodzi świnie?

- No, ale... kto to będzie prowadził?

- Od roboty są hodowcy, specjaliści-świniarze. Zaangażowałem już czterech, bo ferma dosyć duża, obliczam ją na pięćdziesiąt do osiemdziesięciu sztuk. Na razie urządzam nowoczesne chlewy, magazyn paszy, kotłownię do ogrzewania budynków, parniki i tak dalej. Jak rozkręcę interes, trzody będzie więcej, ale nie przekroczy setki. Sprowadzę wyłącznie wielką białą angielską, jorkszyr. Najbardziej się opłaci typ bekonowy, bo chodzi przede wszystkim o mięso.

Barański patrzył na niego jak urzeczony. Nie mieściło mu się to w głowie: dyrektor centrali FIREX i... świnie.

- Przecież panu nie pozwolą! - wyrwało mu się.

- Kto?

- No, choćby Zjednoczenie. Zresztą urzędnicy od spraw rolnych również się nie zgodzą. Pan nie jest fachowcem, me zna pan się na hodowli.

- A ja się nikogo pytać nie będę.

- Komu pan będzie sprzedawał? Zdzierski rozsiadł się w fotelu, zapalił. Przez parę minut przyglądał się Zdzisławowi z uśmiechem doskonałej wyższości, a potem rzekł:

- Jak się skończy narada w Zjednoczeniu, zapraszam cię tu, do hotelu, na kolację. Poznasz wtedy odbiorcę moich świnek. Być może wprowadzę cię w pewne układy, które przyniosą spore pieniądze.

Dziwny był ich wzajemny stosunek. Zdzierski od jakiegoś czasu mówił tamtemu „ty” i raz czy drugi zaproponował bruderszaft, ale

Barański nie potrafił, nie przechodziło mu przez gardło. Służbowo, oczywiście, byli na pan, zachowując należne sobie tytuły. Prywatnie wytworzyła się sytuacja, przypominająca trochę pana i sługę. Wprawdzie sługa był nieco spoufały i wciągnięty w różne domowe sekrety, tym niemniej wciąż pozostawał sługą. Barański dobrze zdawał sobie z tego sprawę, odczuwał własną niższość i coraz częściej zastanawiał się nad... nazwijmy to: wypadkami losowymi, którym jego pan może kiedyś wreszcie ulegnie.

- Gdzie są te Lipiny? - spytał, kiedy wychodzili na naradę.

Zdzierski obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Panie dyrektorze, nie czas już teraz na prywatne rozmowy - osadził go. - Nic nie wiem o żadnych Lipinach. - Zniżył głos i szepnął: - Zobacz, durniu, na mapie.

*

Barański stawił, się w holu hotelowym ubrany w ciemny garnitur, śnieżnobiałą koszulę i pąsowy krawat w srebrny rzucik. Usiadł w głębokim fotelu-klubie, przyglądał się z roztargnieniem gościom, którzy kręcili się tu i tam, ale najczęściej patrzył w stronę wind, bo Zdzierski spóźniał się na kolację, a Barańskiemu mocno już kruczało w brzuchu. Kiedy był głodny, trzęsły tnu się ręce i zaczynała boleć głowa.

Wreszcie z którejś windy wyszedł naczelny FIREX-u. Rozmawiał z ożywieniem z wysokim, chudym mężczyzną o gęstych włosach koloru siana. Miał niewielką brodawkę na policzku i oczy bystre, jasne, patrzące uważnie - dokoła. Obaj panowie tak byli zajęci rozmową, że zatrzymali się w przejściu” przeszkadzając trochę innym gościom.

Barański na ich, widok zerwał⁷ się z fotela, ale nie podszedł. Wahał

się, czy nie mają ze sobą jakichś sekretów, przy których jego - wciąż jeszcze wobec Zdzierskiego skromna - osoba nie okaże się zbyt cenna. Ukłonił się tylko i czekał.

- Chodźże, Zdzisławie - rzucił dyrektor przez ramię, bo dojrzał go w końcu. - Poznajcie się. Pan Barański, dyrektor zakładu w Gniewczycach, i pan...

- Maleszak - przerwał tamten, wyciągając do Zdzisława dużą, mocną rękę z wyraźnie zarysowanymi żyłami. I dodał trochę kpiącym tonem: - Przedsiębiorca prywatny.

Barański chciał zapytać, czy to oznacza odbiorcę świnek, ale nie odezwał się, gdyż to, co według niego miało być dowcipne, mogło wydać się bezczelne, a w każdym razie nietaktowne. Zdzierski otoczył obu panów ramionami i poprowadził do sali restauracyjnej. Był w doskonałym humorze, mimo iż na naradzie FIREX został przez Lipskiego potraktowany oziębłą. Dwa zakłady miały kłopoty z planem. Zdzierski wysłuchał słów krytyki z kamienną twarzą, potem bronił się mężnie i z tupetem. Dobrze pamiętał, że jeden z letniskowych domów w lesie marowskim przeznaczony jest dla dyrektora Zjednoczenia.

Restauracje w hotelu były dwie: rotisernia „Soplica” i, po prawej stronie, sala „Maryla”. Mieli zarezerwowany stolik, w „Soplicy”, pod oknem. Zdzisław rozglądał się dokoła z zainteresowaniem, był tu po raz pierwszy. Podobała mu się brązowa boazeria na ścianach i złociste lampy, gęsto rozwieszane. Podobali również zwinni, uprzejmi kelnerzy w czerwonych marynarkach ze złotymi guzikami. Menu było już widać zamówione przez gospodarza biesiady, bo dwaj kelnerzy bez pytania przynieśli zakąski - i dobrze oziębiony alkohol. Na stole znalazło się

salami, szynka z dzika z chrzanem i sandacz „Specjał” z sosem remoulade lub tatarskim, do wyboru.

Maleszak jadł w milczeniu, od czasu do czasu obrzucał wzrokiem salę, parę razy też przyjrzał się Barańskiemu, jakby taksował jego osobę, możliwości i układy. Zdzisław ze swej strony obserwował go ciekawie, próbując umieścić tego człowieka w jakiejś znanej mu przegródce społecznej, ale Maleszak nie pasował mu ani na rzeźnika, ani na kupca.

- Obwąchujecie się jak obce pieski - rozeźmiał się nagle Zdzierski, który zauważył tę wymianę spojrzeń. - Poczekajcie, zaraz sytuacja się wyjaśni. Najpierw, zjedzmy, co nam podają.

Kelnerzy sprzątnęli talerze po przekąskach, przynieśli drugie danie. Do wyboru był sznycel Malander z frytkami i tortoletką z groszkiem, sola w sosie winnym ze szparagami, a z rusztu - filety z polędwicy, schabu i cielęciny na szpadzie Zdzierski był smakoszem. Lubił zjeść nie tyle dużo, ile wykwintnie; pił z umiarem, jak znawca alkoholu, którym zresztą był od dawna. Barański był trochę skrepowany, starał się jeść elegancko, nie potrafił jednak pohamować ostrego apetytu na widok tylu wspaniałości „forumowskiej” gastronomii. Maleszak jadł z roztargnieniem, choć dwukrotnie pochwalił to, co miał na talerzu. W przeciwieństwie do tamtych pił sporo.

Na koniec kelnerzy przynieśli kawę, koniak i migdały w soli, ulubiony przysmak Zdzierskiego. Barański przez grzeczność spróbował, ale mu to nie pasowało do kawy. Maleszak odmówił, poprosił natomiast o lody.

- Wracając do naszej rozmowy - zaczął naczelnny FIREX-u - myślę, że Large White najbardziej będzie panu odpowiadała. Grubość słoniny na

grzbiecie wynosi u tych sztuk trzy i pół do czterech centymetrów.

Maleszak podłubał w zębach, westchnął i odparł:

- W zasadzie ma pan rację. - Głos miał głuchy, dudniący, ale mówił cicho. - Sądzę jednak, że byłoby dobrze, gdyby pan zajął się również duńską Landrace, długouchą. Ma najwyższe na świecie walory mięsne. Może na początek z dziesięć sztuk. Ta odmiana była kiedyś hodowana również w Polsce.

- Nie wiem, czy uda mi się sprowadzić z za granicy - odparł Zdzierski. Pogryzł szybko migdałek, przełknął i dodał: - Chyba że wskaże mi pan, gdzie w kraju mógłbym kupić takie prosięta.

Barański pił kawę, pociągał drobnymi łykami koniak i słuchał, Chciało mu się śmiać, tak dalece potężna, dostojna postać naczelnego FIREX-u nie pasowała do rozmowy o grubości słoniny na świńskim grzbiecie czy o prosiakach. Nie bardzo wiedział, jaka byłaby jego rola w tym interesie, czuł jednak, że mogą być z tego grube pieniądze. A te od czasu, kiedy związał się ze Zdzierskim i FIREX-em w ogóle, pociągały go coraz mocniej...

Tymczasem naczelnym nie po raz pierwszy odgadł jego myśli, bo zwrócił ku niemu swoją dużą, mocno zarysowaną twarz, na której pobłyskiwały złoczone okulary i rzekł:

- Pytałeś wtedy, czy mi pozwolą. Ferma jest zapisana na nazwisko mego siostrzeńca, inżyniera rolnictwa i on tam będzie od czasu do czasu zaglądał, żeby przepisom stało się zadość. Ale to jest moja ferma, kupiona, za moje pieniądze i ja będę miał z niej dochód. On dostanie tylko pensję. A ty... ciebie też potrzebuję.

- Ja się nie znam na świnia! - zaprotestował, przestraszony. - Mogę

wszystko zepsuć. Chyba żeby tam coś urządzać. Te chlewy. Albo dom.

- Na chlewach też się nie znasz - stwierdził Zdzierski pobłażliwie. - Potrzebny mi jesteś do współpracy z panem Czesławem - ruchem głowy wskazał Maleszaka.

- A co pan Maleszak właściwie robi?

- Przetwórstwo - cicho zadudnił prywatny przedsiębiorca. - Ubój, wędzenie, peklowanie, konserwy.

- Do sklepów? - zdziwił się Barański. Tamci wybuchnęli śmiechem:

- Nie. To będą całkiem prywatne dostawy. Dla różnych osób, które nigdy nie stały w kolejkach, ale mają dużo pieniędzy - wyjaśniał Zdzierski; - Jest na to olbrzymi popyt.

- Nielegalna rzeźnia? - szepnął Zdzisław z niepokojem. Bał się otwartych kantów, w dodatku nie znał Maleszaka.

- Zupełnie legalna - zaprzeczył człowiek z brodawką. - Do sklepów coś tam przecież odstawiam. Mniej więcej osiem do dziesięciu procent całej produkcji. Brak mi tylko surowca, dlatego zwróciłem się do pana dyrektora Zdzierskiego.

Barański uspokoił się. Jak legalna, to w porządku.

- Co ja miałbym robić? - spytał z gotowością do uczestniczenia w intratnym bez wątpienia interesie.

- Jest pan ekonomistą, prawda? - ciągnął Maleszak. - Więc zajmie się pan organizacją pracy i pośrednictwem pomiędzy fermą i moim przedsiębiorstwem. Ja nie mam na to czasu.

- Pan Czesław prowadzi jeszcze inne...

- Zdzierski nagle urwał i zmieszał się pod ostrym spojrzeniem tamtego. - Mniejsza o to. Sądzę, Zdzisławie, że w niedługim czasie

podziękujesz nam za tę propozycję..

- Jak to ma wyglądać finansowo? Maleszak zastanowił się chwilę.

- Albo pensja, albo procent. Co pan woli?

- Jaka pensja?

- Powiedzmy, dwadzieścia tysięcy miesięcznie. Ma pan wóz? Bo trzeba będzie pojeździć.

- Mam. - Barańskiego olśniła wysokość sumy, którą mu proponowano, było to więcej niż jego dyrektorskie uposażenie. Pomyślał, że na początek lepiej będzie wziąć pensję, a potem zawsze może przejść na procent, gdyby okazał się większy. - Jeżeli tak - zaczął z wahaniem - to czy nie byłoby wskazane, żebym zrezygnował ze stanowiska dyrektora? Bo mogę nie dać sobie rady tu i tam jednocześnie.

- Wykluczone! - zaproponował Zdziński. - Człowieku, nie bądźże idiotą. FIREX daje ci pozycję, stały zarobek, mieszkanie, kiedyś emeryturę. A przede wszystkim najlepszy parawan dla wszelkich władz kontrolnych.

- Słusznie, ma pan rację. - Barański klął siebie w duchu za nie przemyślane słowa. – Rzeczywiście jakoś to sobie zorganizują.

- No, to wypijmy za wspólny interes! - Maleszak uniósł w górę kieliszek. - Zdrowie nasze i Large White, a także Landrace - roześmiał się.

*

W początkach sierpnia domy w lesie marowskim były prawie gotowe. Do niektórych zwieziono już meble, z garaży co rano wyjeżdżały volkswageny i mercedesy, rzadko trafił się skromny i zawstydzony fiat 125p. U wicewojewody rzemieślnik-artysta kończył stawiać efektowne kominki w paru pokojach i w holu na dole. U Zdzińskiego robotnicy z

FIREX-u układali posadzki z dębowych, specjalnie dobieranych deszczulek, które tworzyły mozaikę. Zdzisław sam wyszukał jednakową liczbę ciemniejszych i jaśniejszych klepek, wyszło bardzo ładnie.

Dwaj dyrektorzy przemysłu terenowego, zapóźnieni wskutek niepomysłnych okoliczności, spieszenie dowozili glazurę, wyposażenie kuchni, boazerię i co tam jeszcze chcieli. Dom dla dyrektora Zjednoczenia, położony trochę z boku i oddzielony od reszty wysokim parkanem, był już zamieszkały. Najwyższy zwierzchnik przyjeżdżał każdej soboty wczesnym popołudniem, przebierał się w ogrodniczy kombinezon i niezmordowanie sadił w ogrodzie kwiatki, mimo iż pora roku była ku temu zupełnie nieodpowiednia. Kwiaty więdły po paru dniach i twarz dyrektora Lipskiego chmurniała. W tej sytuacji najbardziej podlić żujący się pracownicy Zjednoczenia po cichu przyjeżdżali do ogrodu w dni powszednie i pracowicie wtykali w grządki doniczki z kwieciem, przysypując je ziemią dla niepoznaki. Ktoś również wpadł na pomysł, sprowadził stalowe rury, wkopał pod parkanem dokoła grządek i wetknął w rury drzewa, wyjęte pieczołowicie z lasu. Podobno podpatrzył tę metodę na budowie Huty *.

* Autentyczne.

W ten sposób dyrektor miał nie tylko kwiatowy ogródek, ale i duże drzewa, nagle wyrosłe przy parkanie. Zdziwił się, kiedy je zobaczył jednej soboty, przez chwilę pomyślał, że to cudzy ogród. Wytłumaczono mu jednak, że do późnej jesieni, czyli dopóki drzewa nie uschną, będzie miał pięknie, a na przyszły rok - cóż, może wyrosną następne.

- Dlaczego po prostu nie posadzili tych drzew bez rur? - spytał Barański, kiedy się o tym dowiedział.

- Za stare - odpowiedziano mu. - Nie przyjęłyby się zresztą, bo tam piach, nawieźli tylko trochę ziemi pod kwiaty.

Zdzisław usłyszał później szeptaną plotkę, że Lipski chciał, aby nikt nie mógł mu zaglądać przez parkan, bo miał w ogrodzie sadzawkę, przy której nocami z soboty na niedzielę działy się sceny nieco frywolne, a to mogłoby narazić na szwank jego autorytet.

Barański również wykończył swój dom. Irena, już nie tak szczęśliwa i rozpromieniona, jak dawniej, bo zdążyła przywyknąć do coraz wyżej podnoszącej się stopy życiowej ich dwojga, przecież zadowolona była z tego, że posiadają daczę. Jak inni. Mieli teraz sporo znajomych, do których trybu życia, zabaw i interesów dostosowywali się z każdym miesiącem, nie bez wysiłku” ale przecież z powodzeniem.

Nowa hala produkcyjna była jednak wciąż jeszcze w powijakach. Zbyt wiele - myślał Zdzisław - cementu i stali poszło na budowę domków w lesie. Kielański wprawdzie dotrzymał słowa, robotnicy dostali koparki i dźwigi z bazy transportu rolnego. Cóż z tego, jeżeli betoniarki stały puste, a koparki - dawno wykopawszy, co było do wykopania - z opuszczonymi łbami drzemały na placu budowy. Inżynier Gawroński, który nie przyjął propozycji przeniesienia do centrali, przyglądał się: temu wszystkiemu z twarzą posępną. Próbował postawić problem na odprawach w dyrektorskim gabinecie, ale za każdym razem Barański zamykał mu usta.

- Ja decyduję o inwestycjach - mówił twardo. - Niech pan się zajmie maszynami. Ta frezarka górnorzecionowa na wydziale B-6 stoi trzeci dzień, ma nawaloną głowicę.

- Posłałem po części, ale jeszcze nie przywieźli - bronił się inżynier. - Pan przecież wie, jak trudno o te głowice rewolwerowe.

Raz chodziło o frezarkę, drugi raz o brak noży do strugarki, zawsze Barański miał jakieś zarzuty, którymi bił w swego zastępcę do spraw technicznych i uniemożliwiał dyskusję. Grządek przysłuchiwał się temu z uciechą, nie lubił Gawrońskiego. Kiedyś byli nawet zaprzyjaźnieni, ale to było dawno. Odkąd przyszedł nowy dyrektor, linia podziału pomiędzy dwoma zastępcami stawała się coraz wyraźniejsza, coraz bardziej różnili się w poglądach i w działaniu.

Wreszcie któregoś dnia Gawroński wszedł po południu do gabinetu Barańskiego i stanowczym tonem zażądał rozmowy w cztery oczy.

- - Chce pan tego, czy nie chce, musimy się rozmówić - rzekł twardo.
- Tak dłużej być nie może.

Barański rozparł się w fotelu, odłożył długopis. Patrzył na inżyniera przez chwilę, a widząc, że ten siada pod oknem i nie ma zamiaru wyjść, wzruszył ramionami.

- O co panu chodzi? - spytał z irytacją. - Źle panu w Gniewczycach, to czemu pan nie przeszedł do centrali? Ja od dawna widzę, że nam dwóm coraz trudniej się porozumieć. W porządku, nie musimy razem pracować. Mogę pana zwolnić w każdej chwili z najlepszą opinią. Nie będę stawiał przeszkód w przejściu gdziekolwiek.

- Nie o tym chciałem rozmawiać - Odparł Gawroński. - Doceniam propozycję dyrektora Zdzierskiego, ale mam o nim jak najgorszą opinię. Dlatego odmówiłem.

- Proszę! - zdziwił się Barański. - A cóż pan ma mu do zarzucenia?

- Nie przyszedłem, aby dyskutować o Zdzierskim. Chodzi mi o budowę nowej hali. Wypożyczone maszyny stoją, robotnicy wałęsają się albo uciekają na prywatne fuchy. Jak pan mógł wysyłać cement i inne

materiały budowlane do tej zasranej kolonii domów w lesie marowskim?! Całe szczęście, że włoskie wiertarki jeszcze nie nadeszły. Ale jest sierpień, a zamiast hali mamy tylko wykopy. Jak pan chce to rozliczyć? Przecież zawali nam się cały tegoroczny plan.

Gawroński mówił z goryczą, nie podnosząc głosu. Jego szczupła twarz, lekko opalona, ściągnięta była na przemian to żalem, to gniewem, a ciemne oczy spoglądały na Barańskiego surowo. Ten milczał, bawiąc się zapalniczką. Nie patrzył na swego rozmówcę.

- Zbyt często nie ma pana w zakładzie - ciągnął dalej inżynier. - Nie wiem, nie moja to sprawa, dokąd pan tak ciągle wyjeżdża i wcale by mnie to nie obchodziło, gdyby nie fakt, że pańska nieobecność utrudnia mi pracę.

- Myślałem, że jest odwrotnie - zadrwił dyrektor. - Że to moja obecność panu przeszkadza.

- Pan doskonale wie, że niemal wszystkie decyzje zostały przez pana zawarowane i bez pańskiego podpisu nie mogę nic, literalnie nic zrobić! Głupiego frezu sprowadzić czy przesunąć kogoś z jednej zmiany na drugą.

- Więc po jaką cholere jest pan ciągle jeszcze moim zastępcą? - wybuchnął Barański ze złością. - Idźże w diabły, dokąd chcesz, i nie zawracaj mi głowy.

Gawroński wstał, wyprostował się. Był wysoki, szczupły i zgrabny. Zdzisław obserwował go z zawiścią, wiedział, że wygląda przy nim ciężko, niezdarnie, że nie potrafi ani tak się zachować, ani dobierać właściwych słów, jak ten inżynier z stolicy, mówiący biegle trzema językami, odcytany, kulturalny.

- To pańskie ostatnie słowo? - spytał Gawroński spokojnie.

- Raz powiedziałem, powtarzać nie będę.

- W takim razie proszę o pisemne wypowiedzenie pracy. Z podaniem przyczyny zwolnienia. Aha, jeszcze jedno. Może pan to zrobić dopiero po upływie kadencji naszej rady zakładowej, której jestem członkiem. No, chyba że byłoby to zwolnienie dyscyplinarne. Ale wówczas spotkamy się przed sądem.

Barański posiniał z gniewu. Zapomniał, tak głupio zapomniał, że tamten jest w radzie, i poniosło go. Zgniół w palcach jakiś papier, ale był to ważny dokument, więc wygładził go starannie, schował do teczki. Gawroński stał milcząco przy drzwiach, jakby na coś czekał.

- W porządku - odezwał się wreszcie dyrektor. - Uniosłem się. Przepraszam. - Zajrzał do notatnika i dodał: - Jutro będę w centrali, to załatwię dostawę cementu.

- Stał, płyty azbestowo-cementowe, folia aluminiowa, cegły na ściany działowe - uzupełnił inżynier. - Dałem panu wykaz brakujących materiałów, leży od trzech tygodni.

- W porządku - powtórzył Barański. - Załatwię.

Gawroński wyszedł. Zdzisław potrzebował kilkunastu minut, żeby się uspokoić. Nie odbierał telefonów, sekretarkę wyprosił machnięciem ręki. Wyszła obrażona, nie przywykła do takiego traktowania.. Kiedy wreszcie spojrzął na zegarek poderwał się z miejsca jak oparzony. Za kwadrans powinien być w lesie marowskim. Tak się umówił, a było to ważne, niezwykle ważne spotkanie. Po raz pierwszy został łaskawie zaproszony do willi dyrektora Lipskiego. Nie na jakieś ekskluzywne przyjęcie, lecz na zwykłą, sąsiedzką pogawędkę. I to właśnie było może nawet jeszcze ważniejsze. Bo rozmawiać mieli w cztery oczy.

*

Lipski pracował w ogrodzie, a w każdym razie robiło to wrażenie pracy. W rzeczywistości, dyrektor chodził pomiędzy klombami i krzewami, tu odłamał uschniętą gałązkę, tam rozdeptał kretowisko albo wyrwał chwast.. Jego złośliwa małżonka, skłócona z mężem od dawna, gdyż nie potrafiła mu wybaczyć różnych przygód i miłostek, powiedziała raz w towarzystwie: „Wacek wyobraża sobie, że jest dziedzicem na pięciu tysiącach hektarów”. Lipskiego mocno to ubodło, bo człowiekowi najtrudniej przełknąć, kiedy usłyszy o sobie prawdę. Przez krótki czas nosił nawet na palcu herbowy sygnet - właśnie zaczynała być moda na szlacheckie pochodzenie - ale wyśmiał go własny syn, który, wcale nie wstydził się dziadka-furmana.

Dziadek, stary siwowąsy Franciszek Lipski, mimo podeszłego wieku pracował w jednym z pegeerów. Nie wierzył wnukowi, kiedy ten zapewniał go, że ojciec jest wielkim dyrektorem i zarabia równie wielkie pieniądze. Nie wierzył do tego stopnia, że część” swoich zarobków skrupulatnie każdego miesiąca wysyłał pocztą do Warszawy na prywatny adres jedynaka. Adres ten zresztą znał tylko z listów i przekazów. Dyrektor Lipski, w przeciwieństwie do swego własnego syna, wstydził się ogromnie wąsatego furmana i nigdy jeszcze nie zaprosił go do siebie. A stary miał zbyt wiele ambicji, aby chociaż, raz przyjechać bez zaproszenia.

Teraz więc dyrektor chodził po ogrodzie, ubrany w zielonkawe bryczesy, długie palone buty i luźny sweter, narzucony na ramiona. Nie pasowała do tego stroju jedwabna koszula, prezent przywieziony aż z Tokio przez jednego z zagranicznych pośredników handlowych. Prezentów tych było więcej, stały w mieszkaniu na stołach, regałach i

kredensach, błyszcząły na palcach małżonki Wacława lub którejs z jego przystojnych sekretarek, względnie ulokowane były w sejfach obcych banków, daleko od kraju.

Kiedy Barański wszedł przez uchyloną furtkę, dyrektor wprawdzie zauważył go od razu, lecz udał strasznie zajętego plewieniem - grządki. Zdzisław, uśmiechnięty wizytowo, zbliżył się, postać chwilę podziwiając schylone plecy zwierzchnika, a potem odezwał się grzecznie:

- Witam drogiego gospodarza! Że też pan sam tak się trzodzi...

Lipski wyprostował się, odwrócił i podał gościowi spracowaną dłoń, mrużąc słowa powitania. Przeszli potem na taras willi, bo wieczór był ciepły, trochę tylko zawiewało od sadzawki, w której z wdziękiem pluskały się złociste karpie. Wiklinowe fotele, okrągły stół drewniany z cepeliowską narzutą i stary, wyleniały szpic rozciągnięty na macie, wszystko to dopełniało obrazu prawie wiejskiej sielanki.

Zdzisław ostrożnie ominął śpiącego psa i poczekał, aż Lipski pierwszy zajmie fotel. Gospodarz był średniego wzrostu, łysawy, dobrze zbudowany. Nos miał gruby, odrobinę skrzywiony w jedną stronę od jakiegoś dawnego uderzenia, usta kształtne, pełne, oczy niewielkie. Cały był trochę nieruchawy, może rozleniwiony słońcem, może atmosfera leśnej posiadłości wpływała na niego relaksowo. Poczęstował gościa sokiem grapefruitowym, przysunął papierosy. Rozmawiali o wszystkim i niczym..

- Dobrze się panu pracuje ze Zdzierskim? - spytał w pewnej chwili jakby od niechcena.

Barański poczuł nerwowy dreszcz po skórze. Skupił się, zaczął uważać na każde słowo, które teraz powie. Zrozumiał, że zaproszono go nie bez ukrytego celu.

- Raczej tak - odparł. Odchrząknął, uśmiechnął się trochę bezradnie.
- To jest mój zwierzchnik.
- Przecież rozmawiamy prywatnie - zauważył Lipski.
- Doceniam w pełni zaszczyt, jaki pan mi robi taką rozmową, ale...
- Obawia się pan szczerości?
- Ufam panu. Tym niemniej wolałbym nie komplikować sobie pracy na obecnym stano-- Jest pan z niego zadowolony? - Ze Zdzierskiego?
- Nie. Pytałem o stanowisko. Zdzisław zdobył się nagle na odwagę.
- Uważam je za przejściowe.
- To tak jak ja.

Odpowiedź była dwuznaczna.

- Zdzisław bardzo chciał wiedzieć, czy tamten miał na myśli własne stanowisko, czy jego. Zanim - jednak zapytał, Lipski podniósł się i powiedział:

- Pokażę panu dom. - Można to było rozumieć jako zakończenie delikatnego tematu.

Działka, na której stała willa dyrektora Zjednoczenia, była o wiele większa niż pozostałe i tak się należało, był to przecież najwyższy zwierzchnik. Działka miała więc prawie dwa tysiące metrów kwadratowych, a kubatura willi wynosiła dokładnie dziewięćset sześć metrów sześciennych, łącznie z garażem. Parter, pierwsze i drugie piętro - tak, to robiło wrażenie. Mogłoby tu wygodnie zamieszkać kilka rodzin, ale oczywiście nie dla zwykłych śmiertelników zbudowano „chałupę”, jak ją Lipski czasami nazywał. Mówił, że potrzebna mu jest przestrzeń, że w paru pokojach się dusi, podobno nawet lekarz zaznaczył to w swych zaleceniach.

Barański wiedział, a częściowo domyślał się, ile dyrektora naprawdę kosztowała budowa willi - że pokrył zaledwie jedną dziesiątą i materiały budowlane pochodziły z siedmiu przedsiębiorstw Zjednoczenia, przeważnie pozawarszawskich, gdyż tak było bezpieczniej. Robotnicy dostawali delegacje służbowe, a kierownikom przedsiębiorstw - wśród nich i FIREX-u - sekretariat Lipskiego wysyłał lakoniczne pisemka w rodzaju: „Proszę o wykonanie robót w moim domku letniskowym”, po czym nawet nie wymieniano, o jakie prace chodziło. Wyjaśniał to telefon czy ustna rozmowa. Kierownicy albo w ogóle nie wystawiali faktur za robociznę i materiały, albo zaniżali rachunki do granic możliwości, albo wreszcie rozpisywali koszty we własne budownictwo przemysłowe, jeżeli akurat takie prowadzili. Kierownika, który próbował nie zgodzić się z treścią pisma i wręcz odmawiał posyłania tego czy owego, czekało rychłe przeniesienie na bardzo niewygodne stanowisko lub coś w tym rodzaju.

Weszli do holu, tak rozległego, że można by na nim zawrócić maluchem, wspartego na czterech kolumnach. Prowadziły z niego schody na piętro, wykonane z modrzewiowego drewna i wysłane ciemnoczerwonym chodnikiem, przymocowanym na każdym stopniu srebrzystymi kulami.

Chodzili potem po pokojach, każdy był w innym stylu. Barańskiemu mąciło się w głowie od tych kryształowych luster i lśniących żyrandoli, od podłogowej mozaiki ułożonej w rozetę z sześciu odcieni drewna, od wielkich puszystych futrzaków na podłogach, od ścian wybitych cedrową boazerią, marmurowych kominków, antycznych mebli i pięknych starych obrazów. Oczy zaszły mu mgłą zachwyty na widok ogromnej łazienki, gdzie do kąpieli schodziło się po paru stopniach w dół, na dno wykładane

różowym marmurem czy diabli wiedzą czym, a trzy ściany to były trzy lustra, od sufitu do podłogi, obramowane kolorowymi żarówkami. Czwarta zakryta była białą, włoską glazurą.

Na pierwszym piętrze Lipski miał swoją sypialnię, łazienkę - trochę mniejszą od tamtej i ubieralnię oraz gabinet. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się apartamenty jego żony. Zdzisław chciał ją poznać, ale dyrektor wyjaśnił, że małżonka bawi z synem na Majorce, dokąd on też wybiera się za dwa dni.

Najwyższe piętro urządzono dla gości, każdy pokój miał łazienkę, radio, mały telewizor - jak w dobrym hotelu. Tam już jednak nie było takich luksusów jak na dole, gdzie rozmieszczono dwa wielkie kolorowe telewizory Siemensa i jeden czarno-biały, gdyby komuś kolor się znudził.

Barański oglądał wszystko, podziwiał szczerze i w miarę jak chodzili coraz mniej mu się podobała własna skromna willa, właściwie domek, głupie cztery pokoje bez marmurów, cedru i antyków. Gorączkowo obliczał w myśli ile też Lipski musiał wydać na to całe wyposażenie, ale zorientował się, że niektóre rzeczy właściwie nie miały ceny, jak na przykład obrazy i rzeźby.

Wreszcie zdobył się na odwagę i zapytał wprost, skąd te dzieła sztuki, czy może z Desy. Lipski roześmiał się, po raz pierwszy tego wieczoru.

- Nie - odparł. - Mam paru znajomych, załatwiłem dla nich różne sprawy, więc odwdzięczyli mi się obrazami.

- Musiały to być doprawdy niezwykle ważne sprawy, skoro zdobyli się na tak wielki rewanz!

- Przecież nie mieli tego u siebie w domu - wyjaśnił pobłaźliwie. - Są

instytucje państwowe... - urwał i nie dokończył, Barański nie nalegał, bo już wiedział.

Usiedli wreszcie w pokoju myśliwskim, gdzie ściany zawieszono trofeami łowieckimi. Było wśród nich kilka pięknych rogów, a także umiejętnie rozmieszczone na kilimach kordelasy, noże, trąbki myśliwskie. W oszklonej szafie stało parę dubeltówek i sztucerów. Lipski zakrzętnął się przy barku, postawił koniak, słone paluszki. Barański był już głodny i z chęcią zjadłby coś bardziej konkretnego, ale nie doczekał się. Rozmawiali jeszcze o budowie nowej hali, o włoskich maszynach, które miały nadejść lada chwila i gdzie je na razie umieścić, przy czym Barański próbował znów skierować rozmowę na osobę Zdzierskiego, ale Lipski nie podejmował tematu. Spojrzał tylko raz i drugi na zegarek, więc Zdzisław wstał, pożegnał się, wylewnie dziękując za zaproszenie.

Przed garażem stał niski, długi talbotmatra koloru czerwonego wina. Kierowca ze - Zjednoczenia naprawiał coś w silniku.

- Cóż za piękny wóz! - zachwycił się Barański. - Jeszcze takiego nie widziałem. Musiał słono kosztować.

- To prezent - mruknął Lipski, patrząc na samochód z wyraźnym zadowoleniem. - Przywiozłem go z Włoch.

Pożegnali się. Zdzisław szedł potem w stronę swojego domku głęboko zamyślony. To, co zobaczył, Wstrząsnęło nim i skoncentrowało pragnienia w jednym, bardzo konkretnym kierunku. Doszedł do wniosku, że nie ma już teraz odwrotu.

ROZDZIAŁ 4

Szósta rano to nie była wprawdzie godzina do wstawania w niedzielę, nawet w ciepły sierpniowy dzień, ale major Szczęsny zbudził się, gdy gaźnik starego fiata pod oknami zdetonował niczym granat, pewnie coś się w nim popsulo. Słońce przebijało przez cienkie zasłony i targał je wiatr, w dodatku komar gryzł zapamiętałe w szyję, nie dało się więc zasnąć po raz drugi.

Szczęsny westchnął, zabił komara i poleżał jeszcze chwilę, próbując przypomnieć sobie, co mu się śniło - było to z pewnością coś bardzo miłego - ale sen uciekł i nie dał się przywołać. Pomyślał, że pogoda w sam raz na plażę, że Anka lada dzień wróci z urlopu, że w lodówce są jajka i trochę boczku, a na szafce pomidory. To wszystko wprawiło go w dobry humor, górowała jednak niezachwiana niczym pewność, że szef służby kryminalnej od tygodnia pławi się w morzu, wobec czego on, major Szczęsny, ma naprawdę wolną niedzielę.

Szybko uporał się ze śniadaniem, zasłał tapczan byle jak i wyszedł z domu. Jego kremowy maluch drzemał na podwórzu, od czasu do czasu trafiany piłką przez uganiające dokoła dzieci. Szczęsny obejrzał go troskliwie, ale nie znalazł żadnych uszkodzeń, szyby też były całe. Zanim wsiadł, usłyszał przez uchylone okna swego em-dwa wyraźny dzwonek telefonu. O, nie! - pomyślał. - Mnie nie ma. Zapуścił motor i po chwili pędził już w stronę Zalewu z taką szybkością, na jaką tylko było stać jego sfatygowany nieco samochodzik. Słabe wyrzuty sumienia ucichły zupełnie na widok rozległej, połyskującej w słońcu tafli jeziora, na której kołysały się żaglówki, małe jachty.

Znalazł miejsce do zaparkowania, po kwadransie był już w wodzie. Pływał świetnie, czasami myślał, że kiedyś tam ulepiono go nie z gliny,

lecz z samej wody i - znowu kiedyś tam - w wodzie powinien umrzeć, chociaż jeszcze nie teraz. Wylazł później na brzeg, położył się na trawie twarzą do słońca i sennie przyglądał się obłokom. Nie docenił jednak swoich kolegów z komendy.

- Wstawaj! - powiedział ktoś obok - niego. - Raz dwa!

Ten ktoś miał głos ogromnie podobny do głosu Andrzeja Gniazdowskiego, który powinien był teraz siedzieć razem z rodziną w Szczawnicy i leczyć „drogi oddechowe. Więc skąd się nagle wziął nad Zalewem Zegrzyńskim?

Szczęśny usiadł, zmrużył wąskie, czarne oczy, trochę oślepienie słońcem. Jeszcze miał nadzieję, że to pomyłka, Ale kapitan Gniazdowski stał nad nim we własnej osobie i znęcał się, powtarzając:

- Wstawaj, mówię ci! Jak mnie ściągnęli z urlopu, to ja mogę ciebie z Zalewu. Zresztą, kazali.

- Musiałeś mnie znaleźć? - mruknął Szczęśny rozżalony.

- Może jeszcze nie - przyznał tamten i usiadł obok. - Ale do wieczora to bym już musiał.

- Zabójstwo. Jakiś dyrektor, ważna szyszka.

- Gdzie? - W lesie.

- Co on tam robił? - zaciekał się Szczęśny.

- Mieszkał.

- Aha. Dacza?

- Jeszcze jaka!

- Byłeś?

- Nie, mówili. Dzwoniłem do miejscowej jednostki.

- Kiedy go zabito?

- W nocy.

Major przyjrzał mu się podejrzliwie.

- I ty zdążyłeś już przyjechać ze Szczawnicy?.

- Nie. Ja przyjechałem wczoraj, bez związku z tą sprawą. Mam coś do załatwienia w Warszawie, więc wyrwałem się na niedzielę. No i miałem pecha, bo złapał mnie Karol. Wiesz, zastępca szefa. Nie ma ludzi, wszystko na urlopach, dzisiaj jesteśmy tylko my dwaj i mamy robić to zabójstwo. Zresztą już mi się kończyły pobyty w Szczawnicy, zostało tylko parę dni. Masz tu swój wóz?

- Tak. Bo co?

- Pojedziemy tam od razu, jak sądzisz?

- Dobrze. Tylko wyschnę.

Zrobił jednak coś akurat odwrotnego, bo zerwał się i wskoczył do wody. Andrzej popatrzał, zrobiło mu się markotno. Zrzucił ubranie, latem zawsze nosił kąpielówki, tak na wszelki wypadek. Pływał spokojnie, rytmicznie, posapując z cicha. Wreszcie obaj mieli już dość. Wyszli, otrząsając się niczym mokre psy, wytarli jednym ręcznikiem, bo kapitan nie przewidział kąpeli.

- Gdzie jest ten las? - spytał Szczęsny, ale dopiero kiedy jechali w stronę Warszawy. Nie lubił zarwanych niedziel, miał w końcu prawo do wypoczynku jak każdy normalny człowiek.

- W” pobliżu Gniewczyc. Nazywa się las marowski. Znasz?

- Nie. To na pewno zabójstwo, a nie zawał czy inna cholera?

- Skądże, człowieku! Głowę ma podobno rozwaloną.

- W Gniewczycach jest komenda czy komisariat?

- Komenda Miasta. Prowadzi dochodzenie kapitan Kulczyc.

Powiedziałem, że przyjedziemy zaraz po południu.

- Toś się pośpieszył. Najpierw zjemy obiad.

- Też racja.

Obaj wiedzieli, że jak już wsiąkną w robotę, może nie być czasu ani na obiad, ani na kolację. Poza tym, trzeba było zabrać z domu podręczne drobiazgi, sweter, takie tam różne. Wstąpili więc najpierw do Andrzeja, potem do Szczęsnego, wreszcie do jakiegoś baru po drodze. Trochę trwało, zanim znaleźli czynną stację CPN, ale musieli, bo maluch też był głodny.

- Nie znam kapitana Kulczyca - powiedział Szczęsny, kiedy już znaleźli się na szosie do Gniewczyc. - Jakie odniosłeś wrażenie w rozmowie, czy on się dobrze orientuje w robocie?

- Myślę, że tak. - Gniazdowski nie lubił pochopnych sądów o ludziach. - Miejmy nadzieję, że nie zepsuli śladów i w ogóle...

Początek śledztwa zawsze był niezwykle ważny, bodaj najważniejszy. Pierwsze kroki na miejscu zbrodni, pierwsze słowa skierowane do świadków czy domowników, ogarnięcie nowym, świeżym spojrzeniem całej tej ponurej scenerii, zapamiętanie najmniejszego drobiazgu, który w chwilę potem mógł zniknąć, zmienić się, zmylić patrzącego - to wszystko często decydowało o wynikach. W ciągu pięciu pierwszych minut, ba! nawet minuty, można było położyć sprawę. Albo wygrać.

- Co on ci mówił przez telefon?

- Kilka zdań. Spieszyłem się, nie wiedziałem, gdzie cię szukać.

- Mówił o motywach?

- Nie. Woląłem pytać jak najmniej. Wiesz, czasem człowiek się zasugeruje i potem źle mu idzie. Sami zobaczymy.

- Gdzie są zwłoki?

- W kostnicy szpitalnej. Prosiłem, żeby nic nie ruszali w mieszkaniu. Kulczyc jakby trochę się obraził, czemu się zresztą nie dziwię. Pewnie pomyślał, że przyjedzie takich dwóch z Komendy Głównej i będą się mądrzyć. Licho wie, może w Gniewczycach mają dobrych specjalistów od zabójstw. Dla nas ważne, żeby mieli też dobre laboratorium kryminalistyczne.

Zajechali do komendy. Kapitan Tomasz Kulczyc czekał od paru godzin, co z pewnością - w niedzielny wieczór - nie wprawiło go w dobry humor, ale nie okazał tego. Młody, silnie zbudowany, nosił krótki ciemny wąs i baczki. Był w sportowej bluzie i jasnych spodniach, przypominał kogoś z aktorów czy piosenkarzy, zwłaszcza że głos miał melodyjny i wyraźnie wymawiał słowa. To wszystko usposobiło majora Szczęsnego mało życzliwie; Kulczyc nie wyglądał na specjalistę od zabójstw. Potem major miał się jednak przekonać, że były to pozory, może umyślnie przybrana niefrasobliwość w celu zmylenia czyichś oczu.

Usiedli w jednym z pustych pokojów, wśród poupychanych podścianami biurek i spiętrzonych na nich krzeseł, bo w komendzie był remont. Kulczyc zmiótł ręką gazety, zachlapane wapnem i farbą, zdmuchnął biały pył i rozłożył na biurku kilkanaście zdjęć.

- Denat, tak jak go zastaliśmy... tu bardziej z bliska, twarz... dywan, leżał na nim w pobliżu kominka, na dywanie liczne ślady krwi... tutaj ślad otarcia lewej ręki w rękawiczce, ściślej trzech palców, na tapecie... inne pokoje, wszystko powyrzucane, widać szukano waluty czy biżuterii. A na tym zdjęciu wyraźny odcisk buta, koło furtki, zrobiliśmy odlew gipsowy.

Szczęśny długo przyglądał się Wpierw twarzy zabitego człowieka, a

potem śladom palców lekko zakrwawionych.

- Tak jakby sprawca na moment stracił równowagę i oparł się o ścianę - mruknął. - Trzy palce, wskazujący, środkowy i serdeczny. Dość szeroko rozstawione ślady. Może biegł i wtedy... Rabunek? - Spojrzał na Kulczyca.

- Na to wygląda - odparł kapitan. Nie pociągnął jednak dalej tematu, patrzył tylko na obu oficerów, jakby czekał, co mu też powiedzą ci „z Głównej”.

- Miał rodzinę? Był wtedy sam w willi? - spytał Gniazdowski.

- Sam. Był rozwiedziony. Dorosła córka z mężem mieszka w Łodzi.

- Zawiadomiliście?

- Posłałem pracownika.

Szczesny spojrzał na mówiącego z zainteresowaniem.

- Dlaczego nie depeszę?

Kulczyk uśmiechnął się przelotnie. Wydawało się, że uważa fakt za tak oczywisty, iż pytanie wie wymaga odpowiedzi. Wtedy major również odpowiedział uśmiechem. Zaczął doceniać oficera. Przyjrzał się jeszcze raz zdjęciom.. - Nosił okulary?

- Tak. Tutaj widać rozbitą oprawę i kawałki szkła. Myślę, że były dwa bardzo silne uderzenia w tył głowy, a później jeszcze jedno gdzieś z boku, przy skroni. Niestety, nasz lekarz medycyny sądowej... właściwie lekarz z województwa, jest na urlopie. Miejscowy chirurg obejrzał zwłoki o tyle o ile. Są w kostnicy, prosiłem Warszawę o przysłania kogoś do sekcji.

- Nasz doktor Pawłowski też na wczasach, ale jutro przyjedzie zastępca - wyjaśnił Andrzej. - Gdzie wpierw pójdziemy? - zwrócił się do

Szczęsnego.

- Da szpitala. Chcę obejrzeć ciało. Zastanawia mnie... - major nie dokończył.

Szpital był na drugim końcu miasta. Podjechali maluchem. Dyżurny lekarz zaprowadził ich do kostnicy.

Szczęśny z uwagą oglądał poharataną głowę denata. Była to duża głowa o silnie sklepionej czaszce; ciemny, trochę posiwiały i na jeża ostrzyżony włos, porastający ją gęsto, teraz zlepiony był szerniałą krwią. Cios z boku nie zmasakrował twarzy, uszkodził ją tylko trochę z prawej strony. Natomiast na policzkach i powiekach widoczne były drobne ranki i zadrapania.

- Od okularów? - mruknął major na wpeł do siebie.

- Pewnie miał na oczach, kiedy go uderzono - dodał Andrzej. - Kiedy mogło nastąpić zabójstwo?

- Ciało znalazł dozorca, który pilnuje tych kilkunastu domków w lesie - rzekł Kulczyc. - Zobaczył, że drzwi frontowe są otwarte, a to było przed piątą rano. Zdziwił się, bo dyrektor Zdzierski nigdy tak wcześnie nie wstawał. Wszedł więc do mieszkania, no i stwierdził, że w pokojach bałagan, wyrzucone rzeczy z szaf. Potem znalazł nieboszczyka. W willi jest telefon. Zadzwonił do komendy, oficer dyżurny przekazał mi tę informację. Pojechałem na miejsce około szóstej. Sądząc po stężeniu zwłok śmierć nastąpiła gdzieś... w przybliżeniu, o północy lub, powiedzmy, między północą a pierwszą.

- Nazywał się Zdzierski, tak?. Dyrektor czego?

- Naczelny dyrektor FIREX-u, w Warszawie. Kazimierz Zdzierski. Tu, w Gniewczycach mają filię, zakład FIREX-2. W lesie marowskim

wybudowali w tym roku jedenaście domków letniskowych. Jeden z nich zajmował Zdzierski. Przyjeżdżał, jak twierdzi dozorca, na soboty i niedziele.

- Domki letniskowe? - Szczęsny wzruszył ramionami. - Sądząc po zdjęciach, które obejrzałem, była to luksusowa willa. Inne domki też takie?.

Kulczyc rozłożył ręce.

- Nie byłem w środku, nie wiem.

- Kto tam jeszcze mieszka?

- Między innymi nasz wicewojewoda. Paru dyrektorów Urzędu Naczelnego Zjednoczenia, Lipski. No i miejscowy dyrektor FIREX-2, Barański. Tego trochę znam, choć raczej z widzenia. Zawiadomić go? - Spojrzał na Szczęsnego pytająco.

- Później. Ciekawe, że... No, to się jeszcze okaże. Jedźmy do tych domków.

Pojechali we trzech dużym fiatem z komendy, Kulczyc prowadził wóz. Naczelnik wydziału kryminalnego był na razie nieosiągalny; wyjechał do Bułgarii, kapitan go zastępował. Komendant miał wrócić z urlopu w poniedziałek. Sierpień to był miesiąc, w którym we wszystkich instytucjach państwowych i w jednostkach milicyjnych panowała posucha.

- On nigdzie nie wyjeżdżał? - myślał Szczęsny głośno. - Może był na urlopie w lipcu albo planował na wrzesień. Dawno się rozszedł z żoną?

- Nie znam takich szczegółów, mieszkał przecież i pracował w Warszawie. Ale z pewnością sporo będzie o nim wiedział dyrektor Barański. Jutro z samego rana trzeba zawiadomić centralę FIREX-u.

- Zdziarski często przyjeżdżał do filii w Gniewczycach?

- Do filii to nie wiem. A do swojej daczki, to jak mówiłem, na soboty i niedziele.

Wjechali w las. Drzewa były stare, gęsto za rosły krzewami. Droga, na którą Kulczyc skręcił z szosy, robiła wrażenie niedawno ułożonej; kostka, a miejscami klinkier, były świeże. Wrażenie to wzmagaly pnie ledwie omszałe, połyskujące złotymi słojami; otaczały drogę niczym grobowce martwych brzoź i sosen. Szczęsny przyglądał się temu z wyraźną niechęcią, a potem rzekł:

- Wycięli drzewa, żeby zrobić drogę do tych domków. Cóż za barbarzyństwo! I samolubstwo.

- Nie tylko drogę - odparł Kulczyc. - Przecież cała polana, na której one stoja, została zrobiona sztucznie. Wiosną wytrzebili tutaj ładnych parę hektarów.

- Nie mogliście interweniować?

- U kogo? U wicewojewody, który sobie tu wystawił willę?

Jedenaście letniskowych domków rozrzuconych było na polanie pomiędzy resztkami drzew, pozostawionych umyślnie, dla urody otoczenia. Żaden dom nie był „letniskowy”, każdy wymurowano jak miejską willę, otoczono małym ogrodem i sztachetami lub gęstą siatką. Trochę z boku stał niski budynek kotłowni, obok hydrofory i pomieszczenie z agregatem prądotwórczym na wypadek, gdyby sieć energetyczna poprowadzona z Gniewczyc uległa awarii. Od biegnących wzdłuż drogi słupów telefonicznych prowadziły kable do wszystkich domów.

Willa dyrektora Zdziarskiego stała jako trzecia po prawej stronie. W

otwartych drzwiach domu czekał mundurowy milicjant, widać usłyszał warkot silnika. Drugi milicjant, oparty o motocykl, zdjął hełm i ocierał spocone czoło. Kulczyc zatrzymał wóz obok furtki.

- Kto mieszka w sąsiednich domach? - spytał Szczęsny, kiedy wysiedli.

- W tym po prawej dyrektor Barański z FTREX-2. A po lewej radca Waliński z centrali w Warszawie. Wicewojewoda na końcu polany. Najładniejszą willę ma dyrektor Lipski ze Zjednoczenia, tamtą, w głębi, z ogrodem otoczonym wysokimi drzewami. Dzisiaj nie ma tu prawie nikogo, rozjechali się w sierpniu na urlopy. Zdaje się, że tylko Barański... ale on zasadniczo mieszka w Gniewczycach, w służbowej willi. Sprawdziliście? - Kulczyc zwrócił się do jednego z milicjantów.

- Tak, obywatelu kapitanie. Dom dyrektora Barańskiego jest zamknięty, a dozorca mówi, że nie było go tu od tygodnia.

Weszli do środka. Kulczyc, wiedząc o ich przyjeździe, zostawił całe mieszkanie tak, jak je zobaczył o szóstej rano; zabrano tylko zwłoki, a miejsce, w którym leżały na dywanie, oznaczone było malutkimi chorągiewkami, tworzącymi bardzo dokładny zarys ciała.

- Zawołajcie dozorcę - poprosił Szczęsny, rozglądając się dokoła. Słuchał potem drobiazgowej relacji barczystego mężczyzny w sile wieku, o krwistej twarzy i niespokojnych oczach. Nazywał się Kowalewski, pochodził z Gniewczyc. Jego zadaniem było strzec bezpieczeństwa i porządku na polanie, po to przydzielono mu dwa pokoje z kuchnią na parterze jednego z domów. Przy kotłowni umieszczone były boksy dla psów, którymi się opiekował i które puszczał w nocy swobodnie. Od nich też rozpoczął swoją relację.

- Pieski puściłem na krótko przed jedenastą, znaczy się, dwudziestą trzecią. Obszedłem polanę, świeciło się tylko tutaj, w domu pana dyrektora Zdzińskiego. Widziałem tylko jeden samochód, ten jego biały mercedes, co stoi teraz przed garażem.

- A przedtem stał w tym samym miejscu? - przerwał Szczęsny.

- Tak.

- Proszę sobie przypomnieć: czy kiedy dyrektor Zdziński przyjeżdżał tu na soboty i niedziele, zawsze zostawiał wóz przed garażem, a nie wprowadzał go do środka?

Kowalewski zastanowił się chwilę.

- Nie umiem tego powiedzieć - odparł. - Czasem widziałem jego wóz przed furtką, ale to było zwykle w dzień. Czasem wcale nie widziałem, chociaż pan Zdziński był w ogrodzie, co znaczyło, że przyjechał. Więc może wtedy trzymał mercedesa w garażu.

- Dobrze. Co dalej?

- Dalej... Okna tego pokoju były otwarte, słyszałem muzykę. Ale nie widziałem, żeby ktoś się poruszał, wychodził czy wchodził. Miałem nawet wejść, bo niedawno mówił, żeby mu poprawić coś tam w kuchni. Ale była późna godzina i... no, mógł nie być sam. Więc obszedłem całą polanę jeszcze, ze dwa razy. Psy nie czekały, nikt się nie kręcił po lesie ani na drodze. Tu stoją latarnie, w nocy je zapalam, jest jasno jak w dzień. Koło północy poszedłem do siebie.

- Nic pan nie słyszał w nocy? Żadnych krzyków, hałasu, psy nie alarmowały?

- Nie. Ja bym usłyszał, żeby coś było, mam lekki sen i okna zostawiłem otwarte. Wstałem przed piątą, wyszedłem na dwór.

Zamknąłem psy, dałem im jeść. Jak wracałam od boksów, zobaczyłem, że drzwi frontowe, o, te - pokazał ręką w stronę holu - są uchylone. Zdziwiłem się... aha, i było widać światło z pokoju, chociaż już słońce wzeszło. No, pomyślałem, że może pan dyrektor trochę tego... popił sobie, zapomniał zgasić. Ale te drzwi mnie zastanowiły. Więc wszedłem. Od razu zobaczyłem, że było włamanie. Szafy pootwierane, rzeczy na podłogach, wszystko poprzewracane, no, tak jak teraz widać. Przestraszyłem się, że dyrektor wyjechał, a tu złodzieje się włamali. Ale samochód jego stał. No i wtedy, jak wszedłem tu, do pokoju, to leżał... całą głowę miał we krwi. Ręka zimna, serce nie biło. Zadzwoiłem do komendy.

- Czy ktoś sprząta w tej willi?

- Przyjeżdża kobieta z Gniewczyc, z zakładu. Nazywa się Wiśniewska. Dwa albo trzy razy w tygodniu. Kierowca dowoził żywność z Warszawy.

- Niech pan sobie dobrze przypomni, czy w nocy naprawdę nie widział pan nikogo w tych pokojach? Może słyszał pan głosy, rozmowę?

- Pan kapitan już mnie pytał. Słyszałem tylko muzykę. Długo przecież nie stałem pod oknami, bo po co.

- Posłałem kogoś do tej sprzątaczkii - Kulczyc zwrócił się do majora - ale wyjechała do rodziny na wieś. Ma wrócić wieczorem - spojrział na zegarek - może już jest. Zadzwoię do komendy.

Podszedł do telefonu, a Szczęsny i Andrzej obeszlili pokoje, notując w pamięci to, co spostrzegły oczy. Złodziej, jeden czy kilku ich było, szukał chyba przede wszystkim pieniędzy i biżuterii, bo powyciągał szuflady, powyrzucał na podłogę ubrania i bieliznę. Nie było tego dużo, Zdzierski trzymał w willi tylko to, co mogło mu być potrzebne w czasie weekendów.

W sypialni na piętrze major zwrócił uwagę na kosmetyki, które niewątpliwie należały do kobiety, a znajdowały się na toalecie pod lustrem. Trudno bowiem było przypuścić, że naczelny FIREX-u używał pudru Coty'ego, szminek w kilku odcieniach i tuszu do rzęs.

- Może eks-żona odwiedzała go czasami - zauważył Andrzej - a może miał jakąś babkę. Sprzątaczką chyba będzie wiedziała.

Wrócili do pokoju z kominkiem. Kulczyc powiedział, że samochód z Zofią Wiśniewską już wyjechał i zaraz tu będą.

- Jak był ubrany dyrektor, kiedy pan znalazł zwłoki? - spytał Szczęsny dozorcę.

- Miał takie letnie, szare spodnie i sweter na koszuli. Też szary.

- A na nogach?

- Ładne, popielate pantofle z wąskim noskiem. Trochę jakby damskie, bo na obcasie ze dwa centymetry. Skarpety jakieś... nie pamiętam.

- Zegarek?

- Nie. Ani obrączki. A nosił, widziałem. Pewnie złodziej ściągnął z trupa.

Szczęsny zmrużył oczy, ale nic nie powiedział. Mogło tak być, a mogło inaczej. Kowalewski nie budził zaufania, chociaż trudno byłoby mu coś udowodnić. Jeżeli to on był tym, który skorzystał z okazji i „ściągnął z trupa”, pewnie zegarek i obrączka są już dobrze schowane w lesie.

Nadjechał samochód. Sprzątaczką, Zofią Wiśniewską, dość młoda, wysoka kobieta po świątecznemu ubrana, była tak przestraszona, że z początku nie sposób było z nią się porozumieć. Okazano już jej nieboszczyka w kostnicy; tam zasłała, piła krople na serce i nerwy,

wzdychała i płakała na przemian. Oficerowie próbowali jakoś przełamać ten szok, uspokajali kobietę, tłumaczyli, że trzeba jak najdokładniej prowadzić śledztwo, które wykryje zabójcę - ale słowa odbijała się jak groch od ściany i sprzątaczką ciągle płakała. O dziwo, podziałała dopiero metoda dozorczy. Widząc bezowocne wysiłki milicji, huknął na kobietę, żeby przestała ryczeć, bo go uszy bołą. Wiśniewska zamilkła, popatrzała obrażona i odparła już normalnym głosem, że po cholere tu sterczy, niech idzie do swoich psów, nic mu do jej płaczu.

- Pani Wiśniewska, proszę rozejrzeć się po mieszkaniu i powiedzieć nam, co zginęło - zdołał wreszcie wtrącić Kulczyc. - Nie ma czasu, każda godzina opóźnienia psuje robotę.

Westchnęła, wytarła twarz, podniosła się z krzesła. Spojrzała przytomnie po szafach, sekretarzykach, biurku. Po jakimś czasie orzekła, że brakuje zegarka, obrączki, aparatu fotograficznego i kamery filmowej. Prawdopodobnie i brązowej marynarki, choć było też możliwe, że dyrektor zostawił ją w warszawskim mieszkaniu. Co do pieniędzy, nie była w stanie nic powiedzieć, nie leżały przecież nigdy na wierzchu.

- A portfel? - spytał Gniazdowski.

- Nosił przy sobie, w spodniach albo w marynarce - odparła. - Nie ma?

- Nie. Kiedy pani tu była ostatni raz?

- We czwartek do południa. Sprzątałam, wyniosłam śmieci, starłam kurze.

- Ma pani klucze?

- Tak. - Sięgnęła do torebki, wyjęła pęk kluczy, podała oficerowi.

- A kiedy widziała pani dyrektora Zdzierskiego? Żywego,

oczywiście.

- To było... - szukała w pamięci - chyba w tamtym tygodniu. Tak, w zeszłą sobotę.

- Przyjechał sam?

- No - zawahała się, zmieszala - z tą panią, co ostatnio. Taka blondyna, przy kości. Elegancka kobieta.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem. Nikt mi nie mówił. Ale widziałam ją tutaj parę razy. Myślę, że to nie żona, bo tak się do siebie... tego - umilkła.

- Może to ktoś tutejszy, z Gniewczyc?

- E, gdzieżby! Razem przyjeżdżali autem. - W Gniewczycach takiej nie ma, miasteczko małe.

- Imienia też pani nie zna? Jak do niej mówił?

- Zaraz, chyba... Ilona czy jakoś.

- Od kiedy pani tutaj sprząta?

- Od początku, jak panowie pobudowali te domy.

- Piętnastego lipca zaczęli się wprowadzać - wtrącił dozorca.

- A jak to się stało, że właśnie panią dyrektor umówił do sprzątania?

- Mój mąż tutaj robił, przy budowie. Mąż jest elektrykiem w zakładzie FIREX-2. Dużo ich tu pracowało. Pomagałam potem sprzątać po malarzach i dyrektor spytał mnie któregoś dnia, czy zgodziłabym się przychodzić.

- To mąż pani pracował po godzinach?

- Nie - uśmiechnęła się. - Oni dostali delegacje na wyjazd.

- Delegacje? - zdumiał się Szczęsny. - Do lasu?

Zachichotała, nie wiadomo czy z tego lasu, czy z naiwności

pytającego.

- Służbowe delegacje im kierownik wypisał, na miesiąc. Że niby są w terenie. Wozili przecież z zakładu materiały... cement, szkło, glazurę. Musieli mieć pozwolone - dodała pobłaźliwie. Nagle nastroszyła się, zafrasowała. - Ja tam zresztą nie wiem. Nie moja sprawa..

- To prawda, że nie pani. - Szczęsny pokiwał głową, wymienili porozumiewawcze spojrzenia z Andrzejem. - Raczej nasza. Ale to już później.

Jakiś samochód zatrzymał się przed furką. Wyskoczył z niego mężczyzna średniego wzrostu, krępy, o rumianej twarzy i oczach pełnych przerażenia. Wbiegł do pokoju, przystanął na widok obcych ludzi.

- Dzień dobry, panie dyrektorze - ukłonił się dozorca. - Już pan wie?

- Właśnie, dowiedziałem się... dzwonili do mnie ze szpitala - odetchnął głęboko, spojrzał przytomniej. - Gdzie... kim panowie są?

- Jesteśmy z Komendy Głównej Milicji - rzekł Szczęsny. - Jeżeli się na mylę, dyrektor Barański?

- Tak, to ja. Straszne nieszczęście! Panowie, jak to się stało? Gdzie on jest... to znaczy, wiem, że w kostnicy, ale gdzie leżał? Kto to zrobił?!

- Leżał w tym pokoju, na dywanie. A kto go zabił, tego oczywiście jeszcze nie wiemy.

- Ale dlaczego? Za co go zabili? Takiego człowieka! - Oparł się o stół, przecierał chustką spoconą twarz i powtarzał jękliwie: - Czemu? Za co? Boże drogi, za co?!

- Cóż, chyba dla rabunku.

- Dla rabunku? - Barański potrząsnął głową, pełen zdumienia. - Przecież on tutaj nic wielkiego nie trzymał! Mieszkał w Warszawie, tu

tylko przyjeżdżał na weekendy, cóż mógł tu mieć! Parę złotych, zapasowe ubranie i trochę drobiazgów przy sobie. Dla takich rzeczy nie zabija się człowieka, panowie!

- Zdarza się, że i dla dwudziestu złotych. Nie suma jest istotna. Zresztą złodziej pewnie nie wiedział, że dyrektor Zdzierski cały majątek ulokował w Warszawie, a nie w lesie marowskim.

W głosie Szczęsnego była bardzo subtelna, ledwie wyczuwalna ironia i Barański nawet jej nie zauważył. Rozglądał się po pokoju, dostrzegł krwawe plamy na dywanie i wzdrygnął się.

- To jego krew? - spytał szeptem. Pobladł, zdawało się, że zasłabnie. Kowalewski zakręcił się i przyniósł mu szklanekę wody.

- Chcemy z panem porozmawiać - rzekł Szczęsny. - Lepiej nie tu. Przejdźmy do innego pokoju.

Usiedli w salonie po drugiej stronie holu. Dozorca i sprzątaczką wyszli, dzieląc się po cichu stosownymi uwagami. Wiśniewskiej pilno było do domu, gdzie cała rodzina czekała niecierpliwie na szczegóły wydarzenia.

- Kiedy pan widział ostatni raz pana Zdzierskiego? - zaczął Szczęsny.
- I gdzie?

- Przecież on był u mnie, w Gniewczycach! Wczoraj, późnym popołudniem. Przyjechał, jak to często robił, do tej willi, ale przedtem wstąpił do mnie, bo mieliśmy pogadać o różnych sprawach. Służbowych. Posiedzieliśmy, zjadł u mnie kolację i pojechał. Gdybym ja przypuszczał, gdyby mi w ogóle przyszło do głowy, że coś takiego może się zdarzyć! Przecież tu jest w nocy jasno, bo ustawiliśmy latarnie, jest dozorca, są psy... Kiedy, to się stało?

- W nocy. O której godzinie, jeszcze nie wiemy. Pan go dobrze znał?

- No, tak! On mnie mianował dyrektorem FIREX-2 i wiele mu zawdzięczam. - Nagle poderwał się z fotela. - Ja muszę natychmiast wysłać depesze albo zadzwonić do radcy Walińskiego i do dyrektora Zjednoczenia, Lipskiego. Zaraz... nie, ten jest na Majorce, będzie trochę trudno. Ale radca siedzi w sanatorium w Krynicy.

- Może lepiej ostrożnie - zauważył Andrzej - jeżeli radca jest chory.

Barański machnął ręką.

- E, taka tam choroba. Wątrobę tylko kuruje. Nic mu nie będzie. - Usiadł z powrotem. - To jednak proszę pytać, bo jak zacznę telefonować, jak wejść w ten cały mętlik, nie będzie czasu. Trzeba się zająć pogrzebem. Nie, Lipski musi - wrócić. Trudno, przerwie urlop.

- Nasz pracownik już pojechał zawiadomić córkę denata - wtrącił Kulczyc. - Oczywiście może jej nie zastać w Łodzi. A ta była żona? Jak pan sądzi?

- Nie wiem - odparł Zdzisław ostrożnie. - Ja jej nie znam. W każdym razie pogrzeb zrobimy na koszt instytucji, jemu się to należy. Tyle lat tu pracował. Dziś mamy dwudziestego siódmego, tak? To chyba nie prędzej niż w środę, czwartek go pochowamy, Lipski nie zdąży wcześniej wrócić. Cóż za nieszczęście... Czym został zabity?

- Oстрыm narzędziem. - Szczęsny był powściągliwy, pracownicy FIREX-u nie musieli wszystkiego wiedzieć. Ten ciężko wystraszony dyrektor wyglądał na takiego, co nie umie trzymać języka za zębami. - Sądząc z tego, co pan powiedział, był pan tej nocy w mieszkaniu służbowym w Gniewczycach. Zgadza się?

- Tak. Zdziński wyjechał ode mnie gdzieś koło dwudziestej, może

kilka minut później. Właściwie to mieliśmy jechać razem, ale zostałem w domu, bo spodziewałem się telefonu od radcy Walińskiego z Krynicy.

- Tutaj nie ma pan aparatu?

- Mam, ale zbyt dobrze nie słychać. Są zakłócenia, mieli naprawić linię. - Spojrzał na zegarek. - Mój Boże, dokładnie doba minęła, jak go widziałem po raz ostatni. A przecież tutaj okolica spokojna, nie widziałem, żeby kręcili się jacyś chuligani czy podejrzane typy...

- Cóż, nie tak trudno dowiedzieć się w miasteczku, że dyrektorzy wybudowali sobie w lesie kilkanaście ładnych domów. No, a przecież w każdym takim domu musi być niemało do zrabowania. Czy nie orientuje się pan, ile pieniędzy mógł Zdzierski mieć przy sobie?

Barański pomyślał chwilę, mruknął: - Chyba, jeżeli pamiętam, ale... - W końcu odparł, że trzy, cztery tysiące najwyżej. W lesie nic kupić nie można, a w niedzielę wieczorem miał wrócić do Warszawy.

- Czy był już na urlopie?

- Był w czerwcu dwa tygodnie i miał jechać w drugiej połowie września do Włoch.

- Kto to jest: pani Ilona?

Zdzisław zmieszał się, zawahał. Widać było, że omawianie bardzo osobistych spraw zmarłego sprawia mu przykrość.

- Jego znajoma - bąknął. - Raz ją widziałem.

- Nie zna pan jej nazwiska?

- Nie. Sekretarka w centrali może będzie wiedziała.

- Często bywał pan w tej willi?

- Tutaj? Od czasu do czasu. Mieszkam... to znaczy mój domek stoi obok, po prawej stronie. Ale dyrektor przyjeżdżał tylko na weekendy, a ja

nie zawsze wtedy miałem czas. Moja żona lubi wyjeżdżać do Warszawy i często mijaliśmy się ze Zdzierskim. No, w sumie byłem tu z dziesięć razy, zwłaszcza na początku, kiedy wszyscy wprowadzaliśmy się, urządzali.

- Czy nie zauważył pan, co zostało skradzione? Sprzątaczką wymieniła kilka przedmiotów, może pan to uzupełni.

Barański podniósł się z miejsca, przeszedł po pokojach. Okazało się, że zginął ponadto mały, cenny obraz, malarstwo włoskie z osiemnastego wieku, przedstawiający pejzaż nadmorski. Zdzisław nie pamiętał nazwiska malarza, nie znał się na tym. Twierdził jednak, że była to rzecz unikalna w Polsce, tak mu przynajmniej Zdzierski opowiadał.

- Każdy oryginał jest unikiem - zauważył Szczęsny. - Wszystko inne może być tylko kopia albo falsyfikatem.

- Ja rozumiem, ale chodziło o obrazy tego właśnie malarza - tłumaczył Barański z zażenowaniem. - Podobno innych u nas nie było.

- Skąd on go miał?

- Chyba przywiózł z zagranicy. Może radca Waliński będzie znał bliższe szczegóły. Pan sądzi, że to ważne? Aha, jako ślad, złodziej będzie pewnie próbował sprzedać.

Wyszli przed dom. Biały mercedes był już dokładnie zbadany, obfotografowany, nie znaleziono w nim nic, co mogłoby pomóc w śledztwie. Kulczyk pozostawił w willi jednego funkcjonariusza, po czym zatrzymał się jeszcze - w garażu. Szczęsny, Andrzej i dyrektor szli leśną drogą, rozmawiając półgłosem. Latarnie rzeczywiście świeciły jasno, trawa i liście krzewów wydawały się w tym świetle srebrzyste i połyskliwe. Minęli boksy dla psów. Jeden był otwarty. Duży płowy owczarek alzacki zbliżył się do nich i otarł o nogi Barańskiego. Ten

bezwiednie schylił się, pogłaskał psi łeb.

- Lubi pan psy? - zagadnął major.

- Tak. Mam w Gniewczycach takiego śmiesznego buldoga. Ślini się, kapie mu z pyska, ale jest rozbrajający z tą pofałdowaną mordą. Żona trochę się nim brzydzi.

- A gdzie jest pańska małżonka?

- Pod Sandomierzem, u rodziców. Za kilka dni wraca.

*

Dyrektor Lipski zdążył wrócić na pogrzeb. Udało mu się dostać bilet na samolot czarterowy, którym jakaś ważna osobistość podróżowała do Berlina. Stamtąd nie było już kłopotu z lotem do Warszawy. Przyjechał opalony, zdumiony i wstrząśnięty śmiercią człowieka, którego bynajmniej nie nosił w sercu, raczej odwrotnie, ale którego okrutnie zamordowano.

- To przechodzi wszelkie pojęcie - mówił do Wralińskiego. Radca przyjechał po niego na lotnisko i zabrał stamtąd do centrali. - Zabójstwo rabunkowe w naszym lesie, gdzie wydawało się jest tak spokojnie i bezpiecznie! Co milicja stwierdziła?

- Właśnie to: mord rabunkowy - odparł radca, prowadząc szefa do gabinetu Zdzierskiego, mieli tam naradzić się przed pogrzebem. - Za wcześnie jeszcze na jakieś bliższe wnioski, oni nie chcą nic więcej powiedzieć, ale ja sędzę, że zrobił to po prostu przygodny włamywacz. Kazimierz natknął się na niego, zaskoczył przy kradzieży, tamten musiał mieć przy sobie łom czy rurkę żelazną i uderzył. Zdzierski ma sypialnię, na górze, ale był jeszcze w ubraniu, widocznie nie zdążył się położyć. Usłyszał hałas na dole i zszedł... Swoją drogą, bezczelny złodziej! Nawet się nie upewnił, czy dom jest pusty.

- Może Zdzierski zgasił już światło w sypialni i okna były ciemne.

- Przecież był ubrany - zaproponował Waliński. - Chyba nie szedł spać w swetrze, spodniach i butach!

- Dziwne - zamyślił się Lipski. - To jednak musiało być inaczej. A psy? A dozorca?

- Twierdzi, że wypuścił psy z boksów i gdzieś koło północy poszedł do siebie. Więc to wszystko musiało wydarzyć się później.

- Nasze psy są ostre, rzucają się na obcych. Złodziej pewnie zaczął się w willi Zdzierskiego dużo wcześniej, właśnie ze względu na psy. Po co Kazimierz pojechał tego wieczoru do lasu, nie wie pan?

Radca wzruszył ramionami. Jego żółta, chuda twarz była jeszcze chudsza i bardziej pożółkła niż dawniej, przygarbił się, ponadto kaszłał, bo przeziębził się, w Krynicy ciągle padało.

Pogrzeb na warszawskim cmentarzu, gdzie Zdzierscy mieli grób rodzinny, odbył się bardzo uroczyście. Przyjechała córka zmarłego z mężem i reszta rodziny; trochę z boku trzymała się pani Ilona, zapłakana, ubrana na czarno z pękiem kwiatów w ręku. Stawiło się wielu urzędników centrali, przedstawiciele Zjednoczenia i resortu, dyrektorzy wszystkich filii FIREX-u, współpracownicy z innych branż, a także - nikt nie wiedział dlaczego - duża grupa dzieci w wieku szkolnym. Trzymały wieniec i rozglądały się dokoła ciekawie. Potem dopiero wyjaśniło się, że FIREX jako instytucja opiekował się którąś ze szkół.

Nad trumną pierwszy zabrał głos dyrektor Lipski. Mówił pięknie, miał talent krasomówczy i używał go z wyraźną przyjemnością, choć chwila była nie po temu. Po nim, w imieniu dyrektorów filii, przemówił Zdzisław Barański. Głos mu się łamał wzruszeniem, w oczach kilkakrotnie

zabłyśły łyzy, co zrobiło na obecnych dobre wrażenie. Opowiadał o niezwykłych zaletach zmarłego, o jego wielkoduszności, sprężystym kierowaniu firmą, o wszechstronnym wykształceniu - dwa ukończone fakultety, co nie było prawdą, ale mało kto o tym wiedział.

- Żegnamy prawego człowieka, gorącego patriotę, szczerego obywatela, który przez całe swoje życie nie szczędził sił, aby przysparzać krajowi narodowego majątku i wszelkich dóbr! - wołał Barański, głęboko przejęty własnymi słowami. - Był skromny, niezwykle uczciwy, myślał przede wszystkim o innych, dla siebie pragnąc jakże mało! Żegnamy cię, panie Kazimierzu, nasz kierowniku, byłeś nam jak ojciec, sprawiedliwy i wymagający, ale najwięcej wymagałeś przecież od siebie, dając przykład, jak żyć i pracować należy...

Niektórzy ocierali łyzy wzruszenia, inni słuchali z półotwartymi ustami, tylko gdzieś w tylnych rzędach pracownicy tręcali się i chichotali bezgłośnie. Kiedy trumna spoczęła w grobowcu, mnóstwo wieńców i kwiatów przysłoniło granitową płytę.

ROZDZIAŁ 5

- Gdzie ja ci znajdę tego włamywacza? Mam łązić po lesie? - Szczęsny powiedział to na odczepne, bo myśli jego biegły zupełnie innymi torami i pytania Andrzeja przeszkadzały mu. Ten mord rabunkowy w marowskim lesie, tak na pozór pospolity, od paru dni zaczął mu się wydawać jakiś niebanalny, jeżeli można się tak wyrazić o zbrodni. Dlatego zwykle śledztwo, prowadzone normalnymi metodami, uważał za niemal zbyteczne. Tego oczywiście nie wolno było powiedzieć nawet

Gniazdowskiemu, gdyż Szczęsny nie miał na to żadnych, ale to absolutnie żadnych dowodów.

Odwrócił się z krzesłem do okna, zapatrzył na dziedziniec komendy.

- Nie chcesz prowadzić tej sprawy? - spytał Andrzej ze zdziwieniem.

- Ależ chcę! Bardzo chcę. Tylko... - Milczał parę minut, w końcu rzekł: - Dobrze. Co zrobiliśmy do tej pory? Podsumujmy.

- Kulczyc, wraz ze swoimi ludźmi, penetruje okolicę Gniewczyc. Rozesłaliśmy do wszystkich jednostek opis skradzionych przedmiotów, na tyle dokładny, na ile opisali nam je krewni i znajomi Zdzierskiego. Ustaliliśmy obraz. Według tego, co mówi ten radca ze Zjednoczenia, Waliński, malarz nazywał się Pierro Venetti, obraz był rzeczywiście oryginałem, pejzaż nadmorski, bardzo jasne kolory, olej. Skatalogowany. Zdjęcie znaleźliśmy w którymś albumie w muzeum. Co jeszcze? Mamy ślad trzech palców w zakrwawionej rękawiczce. I odcisk buta... wątpliwy ślad, bo mogły tam chodzić różne niewinne osoby. Badamy środowisko, w którym denat pracował i żył. Willę w lesie dziedziczy jego córka z Łodzi. Zdzierski miał też w Warszawie mieszkanie.

- Tego mi nie mówiłeś. Kiedy wynajął?

- Wczoraj tam byłem. Wynajął je na początku lipca, bo po rozwodzie mieszkał przez krótki czas w hotelu „Forum”. Poprzedni lokal zostawił byłej żonie.

- Gdzie jest jego mieszkanie?

- W samym centrum, niedaleko Wiejskiej. Pięć dużych, przedwojennych pokoi, sufity gdzieś pod niebem, szeroki korytarz, okna weneckie. Musiał mieć niewąskie plecy, że coś takiego przydzielili jednej osobie. A swoją drogą dziwne rzeczy działy się z tym mieszkaniem. Dom

ocalał mimo wojny i po wyzwoleniu podzielono lokal na dwa mniejsze. Zamieszkały tam dwie rodziny, zrobiły sobie oddzielne kuchnie i łazienki. I tak było aż do maja tego roku. Nagle ci ludzie otrzymali niczym nie uzasadniony nakaz przeniesienia do innych mieszkań. Nawet nie gorszych, ale, rozumiesz, oni się zżyli z tym domem, z okolicą, znali się, dzieci im podrosły, rodzice się zestarzelili, byli jak na swoim. I tu naraz: won! Powiedziano im, że tego wymaga dobro społeczne czy coś w tym rodzaju. Że zamieszka tu wysoka figura. Cóż, potargowali się trochę, popłakali i poszli. A lokal wyremontowano w krótkich abcugach, połączono z powrotem pokoje, z dwóch kuchni zrobili jedną dużą, z dwóch łazienek też jedną. Wszędzie posadzki, włoska glazura, boazerie. No i zamieszkał sobie dyrektor Zdziński. O umarłych źle się nie mówi, ale to wszystko pokazuje go w zupełnie innym świetle, niż przedstawiały to mowy pogrzebowe.

- Ech, wiesz, jak to się mówi na pogrzebach. Ale masz rację, że historia z gatunku obrzydliwych. Sądzisz, że wiedział o tym?

- A jakże! Chodził koło tego wykwaterowania, bo mu się spieszyło. I wychodził. Chciałbym wiedzieć, ile zapłacił za remont. I czy z własnej kieszeni!

- Poczekaj... a jeżeli to ma jakiś związek z zabójstwem? Co to za ludzie, ci wykwaterowani? Trzeba by się tym zainteresować. Chociaż, tak na dobrą sprawę, nic by im to nie dało. Przecież nie wprowadzą się z powrotem.

- Oczywiście. Nie, Szczęsny, mord jest typowo rabunkowy i nie szukajmy udziwnień. Myślę, że trzeba pomóc Kulczycowi. Pojedziemy do Gniewczyc, rozejrzemy się.

Kapitan Kulczyc przez te dni stracił wiele ze swego niefrasobliwego wyglądu i pogodnego usposobienia. Kierował dość dużą ekipą, której zadaniem było przebadanie miejscowego „elementu” pod kątem alibi, kontaktów, posiadania dóbr materialnych i tym podobnych rzeczy.

Ekipa szukała przede wszystkim obrazu, bo miała jego zdjęcia. Interesowała się kamerami filmowymi, aparatami fotograficznymi, zegarkami elektronicznymi marki Self, bo taki skradziono zabitemu - i złotą obrączką, grubą, ciężką z wyrytym imieniem: Danuta, gdyż było to imię byłej żony Zdzierskiego.

Ślad trzech palców w rękawiczce lewej ręki, odcisnięty - a raczej ledwie zaznaczony - na ścianie w pokoju willi, został dokładnie zbadany przez eksperta z Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO za pomocą tlenku miedzi. Krew na palcach była w tak mikroskopijnej ilości, że nie dało się ustalić grupy. Ekspert określił jednak dokładnie fałdy i pory skóry rękawiczki, opisał też jej wykrój, wstawiane kliny, układ szwów i rodzaje ściągów, minimalne uszkodzenie skóry przy środkowym, palcu, wreszcie kolor. Dodał też, że - według jego opinii - człowiek, który nosił rękawiczkę, ma starą zgrubiałą bliznę na wewnętrznej stronie środkowego palca.

Willa w lesie była zamknięta i zapieczętowana. Pojechali tam znowu we trzech, Kulczyc chciał im towarzyszyć, bo może wspólnie na miejscu dojdą do konkretniejszych wniosków, a może i dlatego, aby „ci z Warszawy” nie odkryli raptem jakichś rewelacji. Zerwali pieczęcie, weszli do środka. We dwóch, bo Szczęsny postanowił przejść się po leśnej polanie. Był to piątek, początek września, dzień roboczy, więc przed domkami nie stały samochody. Tylko dozorca, dojrawszy znajomy fiat z

komendy, wyszedł na drogę.

Major pozdrowił go, porozmawiali chwilę o czymś mało ważnym, potem Szczęsny upewnił się, która willa jest czyja, i udał się na samotną wędrówkę. Obejrzał sobie dokładnie z zewnątrz dom Barańskiego, zatrzymał się dłuższą chwilę przy daczce radcy Walińskiego, wreszcie dotarł do posiadłości dyrektora Lipskiego. Zaciekawili go wysokie, stare drzewa dokoła ogrodu, trochę już usychające. Z zainteresowaniem przyjrzał się sadzawce z fontanną, popatrzał na taras. Wyleniały szpic widząc obcego podniósł trochę łeb, ziewnął i ułożył się z powrotem. Na taras wyszła jakaś kobieta w niebieskim fartuchu. Postawiła przed psem miskę z jedzeniem, pogłaskała go i znikła w głębi domu.

Szczęsny czekał kilka minut, obserwując psa.

Coś mu się przypomniało, więc zawrócił i odszedł do boksów z owczarkami alzackimi. Trzy boksy były zamknięte, czwarty miał uchylone drzwi. Duży płowy pies leżał na progu swego mieszkania. Dojrawszy oficera, zerwał się, sierść mu się zjeżyła i zawarczał ostrzegawczo.

- Niech pan lepiej nie podchodzi! - zawołał z daleka dozorca. - To ostry pies, może się rzucić.

- Dlaczego nie jest zamknięty?

- No, jak nie ma obcych, to go wypuszczam, bo strasznie wyje, nie znosi zamknięcia. Swoich nie ruszy.

Major oddalił się. Zwiedził jeszcze resztę polany, obszedł ją dokoła, układał sobie w pamięci rozmieszczenie latarni, odległości pomiędzy domami, chociaż to wszystko było przez ekipę starannie wyliczone, narysowane i sfotografowane. Ale Szczęsny wolał własne obserwacje, z których wyciągał własne wnioski.

Wrócił do willi Zdzierskiego. Tamci dwaj spierali się zapamiętane o jakiś szczegół w technice daktyloskopowania, a że obaj byli równi stopniem, każdy chciał mieć rację i nie ustępował. Major posłuchał, rozstrzygnął spór na korzyść Kulczyca i mrugnął przyjacielsko do Andrzeja.

- Bądź grzeczny wobec gospodarza - powiedział. - Tomku, skąd jest dozorca Kowalewski?

- Z Gniewczyc - odparł Kulczyc. - Był leśnikiem, potem drzewo go trochę przygniotło, miał połamane zębra i musi pracować na zwolnionych obrotach.

- Myślisz, że to on? - spytał Andrzej. - Chyba przez jakieś powiązania. Nadał komuś tę willę, zawiadomił, że Zdzierski jest sam.

- Brałem to pod uwagę - odparł Kulczyc, troszkę urażony. - I biore nadal. Badamy jego znajomości, krewnych, choć ja bym wykluczył jakikolwiek udział dozorca w zabójstwie. On przecież doskonale zdaje sobie sprawę, że jest pierwszym podejrzanym. Zresztą przeszukaliśmy te dwa pokoje, w których mieszka. Jest wdowcem, bezdzietnym. Od dnia zabójstwa nie ruszył się z lasu, a ściślej biorąc z tej polany.

- Więc jednak wzięliście go pod obserwację?

- Oczywiście.

Szczęśny roześmiał się, klepnął go po ramieniu.

- I czego się jeżysz? Działasz prawidłowo, żaden z nas by lepiej nie potrafił. A mimo to mam do ciebie pretensję.

- O co? - Kulczyc zmarszczył brwi, szukał w pamięci błędu, nie znalazł.

- O to, że na żadnym ze zdjęć, które twoi wykonali, nie znalazłem

takiego maleńkiego pagóreczka w ogrodzie dyrektora Lipskiego, tuż przy parkanie, wśród trawy i liści. Pagórek jest tak blisko drogi, że przez szparę w sztachetach można tam włożyć rękę, co też zrobiłem. Myślałem, że znajdę kreta. Znalazłem to.

Wyjął z kieszeni przedmiot, zawinięty w chustkę, i położył na stole. Potem ostrożnie rozwinął.

- Coś takiego! - wykrzyknął Andrzej. - To te same?

- Myślę, że tak - odparł Szczęsny. - Wprawdzie po sześciu dniach leżenia w wilgotnej ziemi ślady krwi będą ledwie widoczne, no ale dla naszych specjalistów z Zakładu Kryminalistyki to betka. Mają swoje sposoby.

Kulczyc, znieruchomiały z wrażenia, wpatrywał się w męskie skórzane rękawiczki, ciemnobrązowe, wymiętoszone i pokryte czarnymi plamami. W końcu rzekł:

- U Lipskiego, w ogrodzie?! Przecież on był w tym czasie za granicą. I to na Majorce, nie nad Balatonem, skąd można obrócić jednego dnia.

- Sprawdziłeś, że był rzeczywiście w tym dniu na Majorce?

- Nie. Trochę trudno, za daleko. Sprawdziłem, że nie był w kraju.

- Myślę, że zabójca pozbył się rękawiczek, wkopując je albo po prostu wciskając pod liście i trawę do cudzego ogrodu. I teraz są dwie możliwości. Albo zrobił to, żeby się ich jak najprędzej pozbyć, w takim przypadku było mu zupełnie obojętne, na czym terenie je chowa. Albo zrobił to umyślnie, żeby rzucić podejrzenie na Lipskiego. Dość naiwny chwyt. Nie wiedział, że tamten jest za granicą, co może oznaczać, że nie zna sytuacji w Zjednoczeniu. Albo właśnie... - Szczęsny zamyślił się nagle i umilkł.

- Co właściwie? - spytał Kulczyc niecierpliwie.

- Zna. A czy my ją znamy? Dzisiaj, kiedy od zabójstwa nie upłynął nawet tydzień? Dopiero wczoraj był pogrzeb. Pomyślcie, jeżeli między Lipskim a Zdzierskim istniał jakiś ukryty, groźny konflikt? Jeżeli Lipski wcale w tym czasie nie był na Majorce, lecz gdzieś o wiele bliżej... Są przecież czarterowe samoloty, których pasażerów nie odnotowuje się tak dokładnie przez służbę graniczną. Znamy takie sytuacje. Kto Lipskiego zawiadomił o zabójstwie? Wiecie?

Andrzej wzruszył ramionami, Kulczyc zaprzeczył ruchem głowy.

- Ja też nie. Więc skąd mamy pewność, że telefonowali na Majorkę. Może do Zakopanego. Trzeba zająć się stosunkami w Zjednoczeniu. Ale to jeden kierunek. Być może wątpliwy i prowadzący donikąd. Dlatego właśnie, Tomku, bardzo wiele zależy od twojej pracy tutaj. A my z Andrzejem zajmiemy się Warszawą.

Kiedy wracali do stolicy, Gniazdowski rzekł z powątpiewaniem w głosie:

- Słuchaj, do mnie to nie przemawia. Naczelnny zabija swego podwładnego, też dyrektora... po co? I pozoruje mord rabunkowy, tak? Lipski mógł tamtego po prostu wyrzucić ze stanowiska, miał te możliwości. Chyba że to były porachunki czysto osobistej natury. Kobieta, zazdrość, zemsta. Będzie nam ciężko rozpracowywać Lipskiego. To wysoka figura." Zdajesz sobie z tego sprawę?

Szczesny kiwnął głową. Nie pierwszy raz, zwłaszcza w ostatnich paru latach, zdarzały się milicji dochodzenia, gdzie w grę wchodziły osoby na dyrektorskich stanowiskach. Co prawda nie dotyczyło to morderstw, lecz nadużyć gospodarczych różnego typu i zajmował się tym resort, nie

wydział zabójstw Komendy Głównej. Czyżby w tym wypadku zazębiły się mord i afera finansowa?

- Nie wiem, czy nie idziesz w złym kierunku - odezwał się Gniazdowski. - Bo domyślam się, że szukasz dziury w całym.

- To znaczy?

- Łączysz zabójstwo Zdzierskiego z Lipskim. Tak na dobrą sprawę to jest absurdalne. Klasyczny mord rabunkowy, a ty chcesz z tego zrobić dyrektorską zbrodnię. Pomyśl logicznie: nawet jeżeli Lipskiemu chodziło o porachunki damsko-męskie czy coś w tym rodzaju, to między ludźmi na takich stanowiskach i w takich układach nie załatwia się sprawy łomem czy rurką!

Szczesny milczał. Wydawało się, że Andrzej ma rację. Metodę rozbijania głowy stosuje się w innym środowisku. Tak, pewnie ma rację...

- Obstawiałeś? Desy? - spytał, kiedy dojeżdżali do Warszawy..

- Owszem, choć bez przekonania. Kto skradł obraz, ten zdaje sobie sprawę, że przez długi czas nie będzie mógł go sprzedać. Chyba że prywatnie. Interesuje mnie Ilona Jasińska, ta dama od serca Zdzierskiego. Babica kocha pieniądze. Rozeszła się z mężem, ale utrzymuje z nim po cichu kontakt. A to waluciarz. Dałbym wiele, żeby wiedzieć, ile i jaką walutę Zdzierski miał ze sobą w willi tamtej nocy. Rozmawiałem z Jasińską, ale twierdzi, że nie interesowały jej pieniądze ukochanego. Prosiłem chłopców z dzielnicy, żeby trochę zbadali, z czego kobieta żyje, w jakim środowisku się obraca i tak dalej.

*

Radca Waliński wstał, wyszedł zza biurka i podał rękę majorowi Szczesnemu. Potem uprzejmym gestem wskazał mu fotel, sam wrócił na

swoje miejsce, splótł kościste ręce na szklanej płycie i utkwiał w przybyszu wzrok pełen wyczekiwania. Nie odezwał się.

- Poprosiłem pana o rozmowę - zaczął major - aby nieco bliżej zorientować się w sytuacji, jaka zaistniała w centrali FIREX-u po śmierci dyrektora Zdzierskiego.

- Chodzi panu o to, kto będzie jego następcą?

- Między innymi i o to.

I - Dyrektor Lipski jeszcze nie podjął decyzji. Na razie ja pełnię obowiązki naczelnego, gdyż właściwy zastępca od paru miesięcy przebywa w szpitalu, miał zawał. Zresztą jest w wieku emerytalnym i pewnie już nie wróci na stanowisko.

- Pan, zdaje się, dobrze znał Kazimierza Zdzierskiego?

Radca pochylił głowę, westchnął ciężko.

- Tak. Dlatego śmierć jego bardzo mocno mnie dotknęła. Zналиśmy się od wielu lat. To był naprawdę człowiek wielkiego serca i rozumu..

Szczęśny uniósł brwi w górę, jego czarne wąskie oczy zapaliły się ostrym blaskiem.

- W czym ta wielkość się przejawiała? - spytał. Mogło to zabrzmieć niegrzecznie, ale ton głosu był uprzejmy.

Waliński poruszył się, twarz jego wyrażała przykre zdziwienie.

- Sądzę, że takich rzeczy nie trzeba udowadniać - odparł sucho. - My, którzy go znaliśmy, którzy pracowaliśmy z nim, najlepiej możemy to ocenić.

- Miał wrogów?

- Podobno wielkość człowieka mierzy się liczbą jego przeciwników... Z pewnością więc dyrektor Zdzierski takich miał. Zazdrościli mu zalet

umysłu, popularności, uczciwości. Pewnie i wysokiego stanowiska. To normalne.

- Czy istniały jakieś animozje pomiędzy nim a dyrektorem Lipskim?

- Lipskim? - powtórzył radca, zdumiony. - Nic o tym nie wiem.

Sądzę, że w sprawach służbowych na ogół dochodzili do porozumienia, nawet jeżeli były jakieś spory. A co do spraw prywatnych, to nigdy nie słyszałem, nigdy mi nie mówił o jakichkolwiek zadrażnieniach z Lipskim.

- Bywali u siebie, tam w lesie marowskim albo tutaj?

Waliński wzruszył ramionami..

- Czasami. Chyba jednak me posądza pan, majorze, Lipskiego o to zabójstwo? Byłby to zupełny nonsens.

- Dobrze. Zostawmy Lipskiego. Czy znane jest panu nazwisko Maleszak?

Bystry wzrok Szczęsnego dostrzegł, że twarz radcy drgnęła niepokojem. Milczał chwilę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Jeżeli mnie pamięć nie myli - odrzekł wreszcie - nikt taki u nas nie pracuje. Ani też w Zjednoczeniu, ale tu już mogę się mylić. A kto to jest?

- Bywał pan ze Zdzierskim w Lipinach?

- Nie przypominam sobie takiej miejscowości. Być może przejeżdżaliśmy przez Lipiny, w drodze gdzieś tam... A o co chodzi?

- Czy na pewno nie orientuje się pan, że Zdzierski miał tam własną fermę hodowlaną?

Albo radca był wytrawnym graczem, albo rzeczywiście nie wiedział o hodowli świń. Całą swoją postacią wyraził ogromne zdumienie:

- Przepraszam, jeżeli pana urażę - odparł - ale otrzymał pan chyba jakieś przedziwne informacje, w których nie ma ani słowa prawdy.

Kazimierz miał bratanka czy siostrzeńca, rolnika, który zajmuje się hodowlą, może właśnie w tych Lipinach. Co to ma wspólnego z samym Zdzierskim jako dyrektorem FIREX-u? Każdy z nas ma jakichś krewnych, zajmujących się różnymi rzeczami.

Szczęśny przyglądał mu się uważnie. Wahał się, czy zadać pytanie, właściwie jedyne, z którym tu przyszedł. Reszta była mniej ważna. Postanowił, że jeszcze poczeka. Tym bardziej że te sprawy, choć bardzo istotne, nie leżały w jego kompetencjach jako pracownika służby kryminalnej. Mogły one jednak wiązać się z zabójstwem - co więcej: mogły być pośrednio jego przyczyną. Zrozumiał jednak po paru minutach rozmowy, że radca nie powie mu ani słowa więcej, niż sam będzie chciał. A tamtego faktu z pewnością nie ujawni. Trzeba więc dojść do prawdy innymi drogami.

Wstał, pożegnał się. Waliński odprowadził go aż do drzwi, skłonił się odrobinę za głęboko, a po jego wargach przeleciał cień uśmiechu.

W trzy dni później Szczęśny pojechał do ministerstwa, odszukał majora Wilkońskiego, który zajmował się sprawami przestępstw gospodarczych, i umówił się z nim na dłuższą rozmowę.

- Wpadnij do mnie - poprosił.” - Będę czekał gdzieś od szóstej po południu.

Wilkoński, krępy, silnie zbudowany blondyn z szarymi oczami przyrzekł, że zjawi się najpóźniej o dziewiętnastej. Był mocno zajęty. Afera z kupnem licencji na włoskie dźwigi zataczała coraz szersze kręgi, coraz więcej osób - okazało się - maczało w tym palce i ludzie z wydziału dwoili się i troili, aby wszystkich przesłuchać. Pracowali po szesnaście godzin dziennie, podobnych spraw przybywało, oficerów nie.

- Wiesz, czasem myślę, że jakiś szal bogacenia opętał tych facetów - mówił, kiedy siedzieli u Szczęsnego w mieszkaniu. - Wychodzą na wierzch rzeczy nie do pomyślenia. Miliony złotych zagarnianych do własnej kieszeni, miliardy straconych dla skarbu państwa. Licencje, zagraniczne zakupy, fałszowanie delegacji na wyjazdy za granicę... Albo taki fakt, ostatnio wciąż się powtarzający. Jest, powiedzmy, legalna budowa obory, chlewni czy magazynów rolniczych w jakimś przedsiębiorstwie. Kierownictwo dostaje materiały budowlane. Dostaje oficjalną drogą, z przydziału. Ale te materiały jadą wcale nie tam, gdzie były przeznaczone: Jadą na tak zwaną budowę „S”, przy czym nie oznacza to bynajmniej: „społeczna”. Odwrotnie: jest to prywatna willa, dacza, domek letniskowy.

- No dobrze, a z czego później budują obory czy chlewnie?

- Z funduszy na remonty kapitalne. Uwierzyłbyś w coś takiego, gdybym ja ci tego nie mówił? Z remontu! Remontują coś, co jeszcze w ogóle nie zostało wybudowane. Albo inny fakt, też nagminny. Prywatny właściciel, budujący willę, ale wcale nie badylarz czy mechanik samochodowy z warsztatem. Nie, to bardzo często jest człowiek na wysokim państwowym stanowisku, tylko ta willa jest całkiem prywatna. Więc ten facet dostaje fakturę na gruz czy złom, oczywiście za cenę gruzu czy złomu. Ale przywozi sobie nowe, wysokiej jakości materiały sanitarne, instalacyjne, diabli wiedzą jakie jeszcze. To samo jest z robocizną, tutaj już bezczelność niektórych osób przechodzi wszelkie granice. Ostatnio zatrzymaliśmy takiego gościa, też na kierowniczym stanowisku, to było w Inowrocławskim. Stawiał sobie willę i zwiózł na plac budowy tysiąc metrów rur, kilkadziesiąt sztuk okien i drzwi, tyleż grzejników, dwieście

metrów kwadratowych najlepszego parkietu. Na to wszystko nie miał ani jednego rachunku, nic kompletnie, jakby mu spadło z nieba.

- Ukradł?

- Poprzywozili mu z paru państwowych przedsiębiorstw, na lewo oczywiście. Powiedz, Szczęśny, jak ma być dobrze w Polsce, jeżeli tyle w niej kradzieży, oszustw, tylu nieuczciwych ludzi?

- Przecież jest wielu uczciwych. Nawet dyrektorów i ministrów.

- Tak, z całą pewnością. Ale ci pracują za tamtych. I na tamtych. Szlag mnie trafia, jak o tym myślę. Daj mi kawy, jeżeli masz. Szczęśny wyszedł do kuchni, aby zagrzać wodę. Miał resztkę neski, którą chował na ważne okazje, więc teraz wyjął puszkę z szafy, bo właśnie była taka okazja. Ukroił chleba, posmarował masłem, obłożył pomidorami i kielbasą, więcej w swoim kawalerskim gospodarstwie nie miał. Wyciągnął budafok, zawahał się.

- Koniak pijesz? - zawołał.

- Nie. Wątroba.

Schował butelkę, sam przecież nie będzie. Zaniósł do pokoju kanapki i kawę. Kiedy zjedli, powiedział:

- Słuchałem cię z uwagą, choć to i dla mnie sprawy nienowe, ale nie siedzę w branży, więc nie znam detali. Natomiast zetknąłem się tydzień temu z zabójstwem, które... no, nie wiem, ale chyba ma jakieś podłoże przestępstwa gospodarczego. Nie mam na to żadnych dowodów, tylko mój nos mi mówi, że coś tam śmierdzi.

- Chodzi ci o zabójstwo dyrektora FIREX-u? Czytałem w biuletynie.

- Tak. Wiesz coś na temat Zdzierskiego? Wilkoński myślał przez chwilę, szukając w pamięci.

- Chyba nie. W każdym razie nie miałem żadnych sygnałów. Co cię zaniepokoiło?

- Przede wszystkim tło tej sprawy. Kilkunastu dostojnych obywateli, między nimi Zdzierski i paru innych dyrektorów, a także miejscowy wicewojewoda, wystawiło sobie dacje dobrze ukryte w lesie. W tym celu wycięli stare piękne drzewa na przestrzeni kilku hektarów, pociągnęli wodociąg, kanalizację, prąd z pobliskiego miasta, zrobili drogę, nawet postawili latarnie. Takie, rozumiesz, prywatne osiedle. Nie uzgodnili tego z dyrekcją lasów, działki kupili za jakieś grosze, tyle na razie wiem od leśniczego, który pisał raport za raportem, miotał się bezsilnie po urzędach, ale nic nie wskórał. W jednej z tych willi popełniono morderstwo. Rabunkowe. Cóż, może to był przypadkowy złodziej, dowiedział się o zasobnych domkach, skorzystał z okazji i pewnego wieczoru jeden samotny dyrektor nie obronił się przed napastnikiem. Przed śmiercią. Pewnie go zaskoczył, złodziej miał przygotowany łom i tak poszło.

- Sądzisz, że powinienem zainteresować się tym osiedlem?

- Tak. Może uda ci się ujawnić jakieś fakty, które pomogą mi wykryć mordercę?

Wilkoński patrzył na Szczęsnego w zadumie. Sięgnął po fajkę, na którą przerzucił się od czasu, kiedy lekarz zabronił mu palić (fajka mniej szkodzi), nabił, zapalił, pyknął kilka razy. Popił kawy i rzekł:

- Słuchaj, posądzasz kogoś z tego osiedlowego towarzystwa? Bo inaczej nie bardzo rozumiem. Takich domków w lasach urodziło się w ostatnich latach dużo. Sądzę, że prawie wszystkie wybudowano w sposób bardziej lub mniej nielegalny. Zajmuje się tym Najwyższa Izba Kontroli i

ma pełne ręce roboty. My też, rzecz jasna. Nie możemy nadażyć w zbieraniu dowodów. Więc powiedz jaśniej, o co ci naprawdę chodzi. Nie wierzysz, że to był przypadkowy złodziej?

Szczęśny długo milczał, zapatrzony gdzieś w kąt pokoju. W końcu odparł z wolna:

- Widzisz, rzecz w tym, że ja znalazłem w ogrodzie jednego z tych dyrektorów schowane w ziemi i w liściach rękawiczki. Ekspertyza kryminalistyczna wykazała z całą pewnością, że ślad trzech zakrwawionych palców lewej ręki, odcisnięty na ścianie pokoju, w którym leżał denat, pochodzi od jednej z tych rękawiczek.

- Co to za dyrektor?

- Lipski. Naczelnny Zjednoczenia. Jeszcze nie udało mi się na sto procent sprawdzić, czy tej nocy Lipski był w Polsce. Bo według oficjalnych danych przebywał na urlopie na Majorce. Dokładnie: w pensjonacie niedaleko Palma de Mallorca. Słyszałeś o takim? Wilkoński roześmiał się.

- Słyszałem. Tam przyjeżdżają milionerzy z różnych krajów. Z Polski też paru było. Jeden już siedzi...

- Zwykłym samolotem nie przyleciał, więc może jakimś specjalnym dla dygnitarzy. Ciężko sprawdzić, nie chcą mówić. Musiałby zjawić się w kraju incognito, załatwić Zdzierskiego i po cichu wrócić na Majorkę. No, a potem już oficjalnie przybyć na pogrzeb, co też zrobił. Kwestia, czy przyleciał tylko raz.

- Bardzo wątpię, aby ukrył rękawiczki we własnym ogrodzie. Osiedle jest w lesie, jak mówisz, więc nic prostszego niż pozbyć się dowodu przestępstwa gdzieś po drodze, wrzucić do wody, między krzaki,

do rowu. Nie. Bardziej mi trafia do przekonania mord rabunkowy. Złodziej, przekonawszy się, że domki są tej nocy co prawda puste, ale dobrze zabezpieczone, zobaczył oświetlone okna w willi Zdzierskiego. Podkraść się, zorientował, że facet jest sam. Przeczekał, aż tamten położy się spać... On miał sypialnię na parterze?

- Nie, na piętrze.

- No, właśnie. W oknie sypialni zgasło światło, złodziej dostał się na parter...

- Jak? - przerwał mu Szczęsny. - Zdzierski miał dobre, skomplikowane zamki w drzwiach. I z pewnością nie zostawił ich otwartych na noc. Chyba że Był pijany. Ale sekcja nie wykazała alkoholu we krwi.

- Dobrze, załóżmy, że to był wytrawny włamywacz i sforsował zamki. Wlazł, zaczął rabować. Zdzierski usłyszał, zszedł na dół. Dostał kilka razy po głowie, któreś uderzenie było śmiertelne. Zabójca obrabował go, wziął... nie pamiętam z biuletynu, co tam jeszcze?

- Kamery, aparat, obraz.

- Wszedł, a stwierdziwszy, że ma pokrwawione rękawiczki, podrzucił je do czyjś ogrodu. Pewnie umyślnie, bo inaczej mógłby je cisnąć gdzieś po drodze. Tam są psy?

- Tak. Podobno ostre. Dozorca je wypuścił na noc.

- Dozorca pewnie łże. Zaspał albo się spił i psów wcale nie wypuścił. Czy boksy są daleko od willi Zdzierskiego?

- Po drugiej stronie osiedla. W boksach psy mogły nie słyszeć.

- Więc pewnie „tak to się odbyło. Ale rozumiem, o co ci chodzi, i zainteresuję się tym cholernym osiedlem. Tylko że... - Zasepił się, odłożył

fajkę. - Znowu pójdą skargi, że dobieramy się do skóry ludziom na stanowiskach, zasłużonym, odznaczonym i tak dalej. Wierz mi, sto razy wolę mieć do czynienia z „normalnym” złodziejem. Albo inaczej: ze złodziejem zawodowym, z marginesu. Obaj wtedy wiemy, eo jest grane, i nie muszę bawić się w dyplomację. Taki złodziej oczywiście zawsze będzie próbował mnie przechytryć, kręcić, wypierać się. I ja to rozumiem. Ale zazwyczaj kiedy przedstawiam mu dowody winy, wtedy mówi: „Panie majorze, dzisiaj pańskie jest na wierzchu. Do następnego razu”. A z tymi dyrektorami, naczelnikami, to niech ręka, boska broni! Krzyczą: „Czy pan wie, kto ja jestem? Jak pan śmie mnie posądzać?” I takie różne. Jeden to mi wyrzucił na biurko wszystkie ordery, dyplomy, całe przedstawienie urzędził. Powoływał się na najwyższe czynniki, szaty rozdzierał jak Rejtan. A ja miałem całą kupę dowodów w ręku, zeznania kilkudziesięciu świadków, protokoły, I sfalszowane delegacje, licho wie co. Wczoraj to tu miałem innego lalusia. Patrzył na mnie z góry, nogę na nogę założył, mrużył oczy, wtrącał angielskie słowa. W pewnej chwili I mówi: „Jeżeli chodzi o zagadnienia ekonomiczne, to wolałbym, żeby pan tu zaprosił ekspertów ze Zjednoczenia, bo to są trudne problemy a pan pewnie tylko po szkole milicyjnej... Cholera mnie brała, ale odparłem uprzejmie, że jestem magistrem ekonomii na Uniwersytecie Warszawskim i dodatkowo ukończyłem studia podyplomowe, uzyskując tytuł doktorski. Speszył się, coś tam bąknął. Wtedy go zaatakowałem: „A pan co skończył?” No i wyszło że tylko zawodówkę. Rozumiesz, dyrektor do spraw ekonomicznych! Ale do kantów to miał głowę.

- Tak - powiedział Szczęsny - chyba rzeczywiście lepiej mieć do czynienia z zawodowym kryminalistą.

*

Kiedy na horyzoncie pojawił się Maniuś, major Szczęsny zaczął powątpiewać w swoją - teorię o skomplikowanym podłożu mordu w marowskim lesie. Bo przy Maniusiu znaleziono obrączkę i zegarek Zdzierskiego.

Do zatrzymania tego zwinnego, rudowłosego człowieczka doszło gdzieś w połowie września. A żeby było jeszcze prościej, stało się to w samych Gniewczycach, mieście, które kapitan Kulczyc i jego pracownicy mieli pod samym nosem od początku. Być może Maniuś wychodził z założenia, że najłatwiej ukryć się w jaskini lwa, bo tam lew szukać nie będzie. W każdym razie nie chował się specjalnie, wprost przeciwnie - używał życia na swój sposób, to znaczy pił i zabawiał się na całego.

Zdarzyło się to w nocy, dokładniej: tuż przed północą, kiedy w lokalu ostatniej kategorii zmęczona kelnerka do spółki z barmanką usiłowały wypchnąć za drzwi dwóch upartych gości. Obaj znajdowali się na pograniczu trzeźwości i opilstwa, a jest to dla personelu restauracyjnego najgorszy etap, bo gość jeszcze nie jest tak spity, żeby zwisał z krzesła i dał się wyłożyć na chodnik, ale już alkohol go rozpięra i czyni usposobionym bojowo.

Dwudziestoparoletni Maniuś, który nigdy nie splamił się pracą i żył wyłącznie na cudzy koszt, siedział za stołem z oczami świecącymi czerwono od nabiegłej krwi, z twarzą mokrą od potu, ochrypły, wrzeszczący, co tylko przyszło mu na myśl, a że przychodziło niewiele, powtarzał się. Jego kumpel, starszy o dziesięć lat, znany w Gniewczycach z niezwyklej chytryści w interesach, a milicji jako paser, potakiwał mu z ogromnym przekonaniem, choć nie miał pojęcia, w czym rzecz. Nazywał

się Karbiel, siedział parokrotnie za paserstwo, nielegalny handel i różne takie. Aktualnie był na wolności.

Wreszcie, wezwana przez barmankę, zjawiała się milicja. Dwóch podoficerów z paskami pod brodą przyjrzało się obrazkowi, jaki zastali w lokalu, po czym nie bawiąc się w dyskusje wyciągnęli opornych gości na ulicę, wsadzili do radiowozu i zawieźli do komendy. Tam Karbiel z miejsca otrzeźwiał, bo do widoku tego budynku był przyzwyczajony i wiedział już, że metodą perswazji nie przekona dyżurnego oficera. Ścichł więc, spokorniał, dał się zaprowadzić do „dołka”, gdzie natychmiast zasnął na drewnianej pryczy.

Z Maniusiem było gorzej. Maniuś do tej pory nie kiblował, bo zawsze udawało mu się wymknąć z rąk sprawiedliwości. Teraz jednak sprawiedliwość w osobie porucznika patrzyła na niego surowo i kazała odpowiadać na różne trudne pytania. W dodatku Maniuś znajdował się w stanie wielkiego podniecenia, wódka nie - zdążyła z niego wyparować i podsuwała niemądre odpowiedzi. Po którejś porucznik zdenerwował się. Kazał delikwenta zamknąć, przedtem oczywiście dokładnie obszukać, czy czegoś trefnego przy sobie nie ma. Zdarzyć się bowiem mogło, że posiadacz ukrytej mojki porznie się nią w areszcie.

Maniuś mojki akurat nie miał, natomiast znaleziono przy nim grubą złotą obrączkę i zegarek elektroniczny marki Self. Oficer obejrzał sobie dokładnie oba przedmioty, a wtedy coś go tknęło. Zajrzał do meldunków, poszukał i znalazł, ale wyrazem twarzy nie zdradził podniecenia, jakie go ogarnęło. Zatrzymał Maniusia w dyżurce, połączył się telefonicznie z Kulczycem, wyciągnął go z łóżka i powiedział:

- Przyjeżdżaj do komendy. Obrączka, - rozumiesz? I jeszcze coś.

Kulczyc zrozumiał od razu. Za dziesięć minut był na miejscu, wytrzeźwiony ze snu, przejęty. Przeleciał oczami po krępej, silnej postaci Maniusia, przypomniał go sobie z jakiegoś śledztwa, po którym jednak trzeba go było puścić z braku dowodów winy. Potem przyjrzał się dwom małym przedmiotom, które leżały na biurku. Wziął do ręki obrączkę, zobaczył wyryte imię „Danuta”.

- Tak... - mruknął. - No no! - Nagle obrócił się do Maniusia i rzucił ostro:

- Skąd to masz?

Maniusz wzruszył ramionami.

- Moje - odparł zwięźle.

- Od kiedy twoje?

- Od zawsze. Obrączka ojca. A zegarek dostałem od jednej takiej. Na imieniny..

- Jak matka miała na imię?

- Danuta. - W oczach Maniusia błysnęło rozbawienie.

- Dowód osobisty!

- Nie mam. Ukradli mi. Mówiłem już temu panu.

- Nazwisko, imię, adres...

- Marian Wróbel. Ojciec Jan, matka - Danuta. Nie żyją. Adres -
zawahał się - Warszawa, Marszałkowska pięć.

Kulczyc zmarszczył brwi. Znał stolicę dość dobrze.

- W redakcji „Życia Warszawy” mieszkasz? Dziwne.

Maniusz zachichotał. Rękawem otarł spoconą twarz. Trudno, nie udało się. Wysilił pamięć i odrzekł:

- Pomyliłem się. Nie pięć, ale piętnaście.

- Mieszkania?

- No, tego... dwadzieścia trzy. Taka kawalerka.

- Co robisz w Gniewczycach?.

- Piję. Nie wolno? Wódka dla ludzi.

- Od kiedy pijesz?

- Od niemowlaka. Jeszcze w wózku, smoczkiem ciągnąłem.

Kulczyc był już spokojny. Znał takie typy, zwłaszcza kiedy były po wódce. Należało uzbroić się w cierpliwość, aby dojść do ważniejszych spraw.

- Po co przyjechałeś?

- Wie pan, lubię tutejszą milicję - zwierzył się Maniuś i czknął z upodobaniem.

Porucznik z trudem pohamował irytację.

- A warszawskiej nie lubisz? No, dobra. Pożartowałeś, teraz mów rozsądnie. Co robiłeś w Gniewczycach?

- Na baby przyjechałem. Tutaj tańsze niż w Warszawie. - Znów zachichotał. - Usiadłbym - poprosił rzewnie. - Nogi bołą.

Kulczyc porozumiał się z porucznikiem oczami i dwaj milicjanci zaprowadzili Maniusia piętro wyżej, do pokoju, w którym kapitan miał swoje biurko. Jeden, na wszelki wypadek, został w korytarzu, a Kulczyc wskazał delikwentowi krzesło, podsunął paczkę miętowych dropsów, bo był na którymś z kolei etapie odzwyczajania się od papierosów. Maniuś przyjrzał się cukierkom, wziął ostrożnie jeden, powąchał i z obrzydzeniem odłożył na bok. Potem spytał, czy może zapalić. Otrzymał zgodę. Wyciągnął paczkę marlboro, zdobył się nawet na gest poczęstowania oficera, ten odmówił ruchem głowy.

- Panie Wróbel - kapitan zdecydował się na inny ton rozmowy - czy pan zdaje sobie sprawę, o co pan jest w tej chwili podejrzany?

- No... że nie chciałem wyjść z tej zakichanej dziury. Kelnerka mnie zdenerwowała, nie dała skończyć piwa. Ja muszę wódkę zakąsić piwem, inaczej mnie suszy.

- Nie chodzi mi o to, co było dzisiaj.

- A kiedy?

- Dwudziestego siódmego sierpnia.

- Dwudziestego... co to był za dzień?

- Niedziela. Noc z soboty na niedzielę. W lesie marowskim.

Po twarzy Maniusia przeleciał nagły błysk przypomnienia. Drgnął, odwrócił oczy.

- Dlaczego pan go zabił?

Pijak milczał. Zaciął wargi, nie chciał patrzeć na oficera.

- Gdzie jest kamera i obraz? Aparat fotograficzny? Pieniądze? - natarł Kulczyc ostro.

- Jaki obraz? - Maniuś jakby zdziwił się szczerze. - Nic nie wiem o żadnym obrazie. Ani o kamerze.

Mijały godziny. O ósmej rano Maniuś był już piekielnie zmęczony, głodny i wściekły, Kulczyc natomiast, w miarę jak czas upływał, nabierał energii i cierpliwości. Po dwadzieścia razy stawiał wciąż te same pytania, ostrzegał, zaskakiwał zarzutami, prosił i groził na przemian. Wreszcie tamten skapitulował. Zwiesił głowę, mruknął) coś do siebie, potem podniósł wzrok i powiedział cicho:

- To już powiem.

- Prawdę?

- Powiem, jak było. Niech pan pisze.

Kapitan uruchomił magnetofon, to było lepsze niż długa pisanina. Połączył się telefonicznie z dyżurnym, poprosił o dwie mocne kawy i bułki z czymś, co tam mają. Dodał, że prosi też o paczkę marlboro.

- Znowu palisz? - usłyszał wyrzut.

- To nie dla mnie.

- Cackaj się z bandziorem, odwdzięczy ci się! - Porucznik był po nie przespanej nocy. - Dobra, przyślę.

- Wiedziałem, że w tych willach mieszkają same wielkie figury - zaczął Maniuś, trzeźwy już i smutny. - Zachodziłem tam parę razy, tak tylko popatrzeć. Wtedy, w sobotę, poszedłem wieczorem, sam nie wiem po co. Ot, tak. Ludzie ładnie mieszkają, samochody mają piękne... Jak w kinie. Zrobiła się noc, a ja siedziałem w lesie koło jednego domu. Zobaczyłem, że przed taką fajną willą stoi biały mercedes. W oknach świeciło się. Na dole. Inne domy były ciemne, pewnie nikt tej soboty nie przyjechał. Podeszedłem bliżej, tam były te światła. Chciałem popatrzeć, co tam w środku robią. Był jeden facet, ale...

Maniuś zająknął się, poczerwieniał i umilkł.

- Co robił ten człowiek?

- Leżał na dywanie. Dziwnie tak jakoś, jakby spał. Zdziwiłem się, że nie na łóżku. Pomyślałem: spił się. Ale żeby tak samemu chlać? No, zobaczyłem, że drzwi otwarte. Nie bardzo, trochę uchylone. To wszedłem.

- Psy nie biegały na polanie?

- Psy? - Zastanowił się. - Nie widziałem. Może były gdzieś dalej. To duża polana. Więc jak już byłem w pokoju, gdzie on leżał, to nachyliłem się, bo ciekaw byłem, czy naprawdę się spił. Takich dyrektorów to się

widuje w samochodzie, jak przejeżdżają, albo w telewizji, jak coś tam mówią... ale żeby tak, to jeszcze nie widziałem. No i zobaczyłem, że on ma krew na głowie. To był trup. Zimny. Ja się umarłych nie boję, ale tam się zląkłem, że jakby co, to będzie na mnie. A ja tu nic nie winien, ktoś go musiał ciachnąć, nie wiem kto. Więc jak wszedłem, tak wyszedłem, tylko dużo prędzej. I w las.

- Ale przedtem zdażyłeś zdjąć mu obrączkę i zegarek!

- No, wie pan... on już był nieboszczyk, na co mu zegarek? Mieli go pochować w obrączce, to lepiej, że komuś się przyda.

- Też rozumowanie! - Kulczyc zachnął się, zirytowany. - Potem zabrałeś jeszcze aparat fotograficzny, kamerę filmową i mały obraz, który wisiał w salonie, po drugiej stronie holu. Co z tym zrobiłeś?

- Panie, żebym skonał, ja tych rzeczy - nie brałem! Na co mnie kamera i obrazy? Ja się na tym nie znam.

- Ale Karbiel się zna. To paser. Kupił od ciebie i piliście za udany interes. Ile pieniędzy zabrałeś nieboszczykowi z portfela?

- Oj, zaraz tam pieniądze! Raptem trzy patyki. I parę groszy. Potrzebowałem strasznie pilnie gotówki. Przecież bym kiedyś oddał: No, nie jemu, ale rodzinie. Pan mi nie wierzy?

- Jasne, że nie. Czym go uderzyłeś, przyznaj się?!

- Ja go nie zabiłem! Słowo honoru, był martwy.

- Łomem? Rurką? Gdzie to schowałeś?..; Marian Wróbel został nakazem prokuratora aresztowany, a w dwa dni później przewieziony do Warszawy. Dalsze śledztwo prowadzić miała Komenda Główna MO. Zarzucono mu zabójstwo i rabunek.

ROZDZIAŁ 6

Na początku kwietnia zrobiło się sucho i dość ciepło, śniegu nie było już ani na lekarstwo. Naczelny dyrektor centrali FIREX pojawił się któregoś sobotniego popołudnia w lesie marowskim wraz z dwoma pracownikami pionu techniczno-administracyjnego. Obeszli polanę dokoła. Naczelny z zadowoleniem zauważył, że wykonano już jego polecenie wycięcia dalszych iluś tam drzew i krzewów. Otworzyła się przestrzeń do działania.

- W tym miejscu - zakreślił ręką szeroki łuk - zrobimy pole golfowe, obok kort tenisowy. Może nawet dwa.

- Dwa się nie zmieszczą - zauważył wysoki, chudy technik z czarnymi wąsami.

- To wytnie pan jeszcze trochę sosen. Co za różnica!

Przeszli kilkadziesiąt kroków, dyrektor znów się zatrzymał.

- A tutaj zrobi się basen z wodą elektrycznie podgrzewaną. Klimat u nas przecież nie tego... Właściwie - przystanął, coś mu się przypomniało. - Widziałem niedawno... gdzie ja to widziałem? Mniejsza z tym. Więc, panowie, tu niedaleko mamy strumień. Trzeba go będzie sztucznie spiętrzyć, a następnie porozlewać w takie nieduże baseny. Dwa, trzy, ile się da. To ładnie wygląda. Zwłaszcza jeżeli je podświetlić od spodu. Powiedzmy, kolorowo.

Spojrzał na obu podwładnych. Wąsaty skinął głową, było mu wszystko jedno, co robi i komu, ważne było tylko - za ile. Drugi pracownik, w miarę jak chodzili po polanie, a naczelny objaśniał, co trzeba zrobić, miał twarz coraz bardziej zatroskana i niechętną. Dyrektor rzucił na

niego okiem raz i drugi, a potem spytał:

- Coś się panu nie podoba, panie Stanek?

- Owszem. Nie podoba mi się - odparł technik. Był młody, bardzo zdolny, miał na Swym koncie kilka udanych projektów i pomysłów racjonalizatorskich. W centrali pracował niedawno.

- Można wiedzieć, co właściwie panu się nie podoba?

- Jak dotąd, wszystko.

- Panie Stanek, co to znaczy? Nie rozumiem pańskiej odpowiedzi.

- Naprawdę pan chce, żebym wyraził swoje zdanie o tym tu? - Pokazał głową osiedle.

- Uważa pan, że domy są brzydkie?

- Nie o to chodzi. Przyjechaliśmy tu, bo miałem zobaczyć ośrodek wypoczynkowy FIREX-u. Zobaczyć, uzupełnić to i owo, zaprojektować, czego brak. Zobaczyłem... no, jak to określić delikatnie? Osiedle prywatnych willi, schowane w lesie, na sztucznej polanie, sądzę, że poszło tu wiele pięknych starych drzew. Nie widzę żadnego ośrodka dla załogi. Gdzie dom wypoczynkowy na choćby kilkadziesiąt miejsc? Gdzie stołówka, kawiarnia, boisko sportowe? Przecież to jest tylko prywatny zespół willi, należących do kilkunastu osób na wysokich stanowiskach.

- Panie Stanek, sądzi panże ludzie, na wy - sokich stanowiskach nie mają prawa do wypoczynku? Do złapania oddechu w jakichś znośnych warunkach? Jak pan to sobie wyobraża, mam w niedzielę zabrać rodzinę na obiad do baru mlecznego, a potem iść nad Wisłę, pospacerować?! Czy my ciężko, bardzo ciężko nie pracujemy?

- Panie dyrektorze, ja nie kwestionuję prawa kierowników do wypoczynku. Kwestionuję nazwanie tego osiedla ośrodkiem dla załogi,

która mogłaby co najwyżej przyjechać tu autokarem na godzinę czy dwie i podziwiać z daleka pańskie domy. Nie wiem, kto zgodził się na wytrzebiecie tylu hektarów lasu. Nie wiem i wolę nie wiedzieć, skąd się wzięły materiały budowlane na te wille, kto w jakich godzinach je budował. Wiem natomiast z całą pewnością, że ja do rozbudowy tego prywatnego I osiedla ręki nie przyłożę.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Na chwilę zatrzymał się przy samochodzie, którym przy - I jechali, wyjął z wozu swoją teczkę, wcisnął I mocniej sportową czapkę i pomaszerował rów - I nym, długim krokiem w stronę szosy. Liczył, I że zabierze się pekaesem lub autostopem.

Wąsaty technik wzruszył ramionami i powiedział basem:

- Ja to wszystko panu zrobię bez Stanka. Wezmę tylko do pomocy jednego z kreślarzy. Ale pan rozumie, dyrektorze, że teraz moje wynagrodzenie...

- Dobrze, dobrze! - przerwał szorstko naczelny. - Wiem. Będzie pan miał zapłacone jak na dwóch. Zależy mi na czasie. Kiedy pan to zrobi?

Technik pomyślał, poskrobał się w głowę.

- Do końca maja będzie gotowe. Jeżeli, oczywiście, wszystkie potrzebne materiały da pan w terminie.

- Materiały są przygotowane. Wybierze pan z magazynu numer sześć w FIREX-2, w Gniewczycach. Dyrektor Grządek już wie.

- Grządek też ma tu swój dom?

- Tak. Kupił willę od rodziny Zdzierskiego, wkrótce po jego śmierci.

- I nie boi się spać w domu, gdzie leżał nieboszczyk? - zaśmiał się wąsaty.

Dyrektor Barański zmarszczył brwi, nie odpowiedział. Żart wydał

mu się nie na miejscu. Pochodzili jeszcze po polanie, uzgodnili dokładną lokalizację golfowego pola, kortów i basenów” wstąpili potem do willi naczelnego. Technik pomyślał, że jest wyposażona dość skromnie jak na własność zwierzchnika centrali. Przypomniało mu się jednak, że przecież Zdzisław Barański został nim dopiero, niedawno, dokładnie od stycznia tego roku. Przedtem kierował zakładem w Gniewczycach, i to też niezbyt długo. Nie miał więc jeszcze czasu, aby się dorobić.

Usiedli w dużym holu, urządzonej trochę jak bawialnią, trochę jak pokój stołowy. Barański odprężył się, rozweselił. Wspólnie z technikiem rozpalili ogień na kominku, zjedli coś, wypili po kilka kieliszków koniaku i kawę. Wąsaty rozgadał się, sypał dowcipami, a w duchu zastanawiał się, czyby nie skorzystać z okazji i nie podwyższyć ceny za robotę. Spróbował nawet napomknąć o tym, ale Barański okazał się nadszodziejnie trzeźwy i twardy.

*

Po naradzie dyrektorów przedsiębiorstw, podlegających Zjednoczeniu, Wacław Lipski poprosił Zdzisława Barańskiego, aby zatrzymał się jeszcze na krótką rozmowę. Trzeba było coś wyjaśnić, a Lipski nie chciał tego robić w obecności innych kierowników. Kiedy więc tamci opuścili salę konferencyjną, dwaj dyrektorzy usiedli przy prezydialnym stole i sięgnęli po resztkę kawy w termosie.

- Panie Zdzisławie - rzekł Lipski zachrypniętym głosem, bo narada trwała kilka godzin, a on wciąż musiał trzymać rękę na pulsie. - Widzi pan, taka głupia historia. Skarzy się na pana nasz konstruktor, inżynier Bielawski. Podobno pan mu wypowiedział pracę?

- Tak. W Londynie zachował się skandalicznie. Obraził mnie.

- Zaraz, wyjaśnijmy to spokojnie. Polecieć liście, pań na czele kilkusobowej delegacji FIREX-u, żeby załatwić dostawę... już nie pamiętam, czego?

- Wzorcek bryłowych i płaskorzeźbowych dla zakładu w Kurowie. Te maszyny są używane przy produkcji mebli stylowych, a FIREX-3 właśnie ma takie zamówienia eksportowe. Przy okazji chciałem też się rozejrzeć w angielskich pilarkach taśmowych i innych maszynach. Chodziło o kontrakt z firmą BMC.

- Ach tak, przypominam sobie. Pan nie zna angielskiego, w każdym razie nie na tyle, żeby swobodnie rozmawiać, prawda?

- Znam trochę. Szczerze mówiąc, za mało. Bielawski miał być moim tłumaczem. Może ja opowiem, jak to było. Przylecieliśmy na lotnisko. Był tam prezes firmy i jego sekretarz. Jeszcze jakiś facet. Przywitaliśmy się i Bielawski miał krótko przemówić. Właściwie mówiłem ja, a on miał tłumaczyć. I teraz, niech pan słucha, jak ten łobuz się zachował. Przedstawia mnie i mówi po angielsku: „To jest dyrektor Barański, mój kumpel z FIREX-u!” Cholera mnie brała, bo - po pierwsze - tak nie wolno się wyrażać w oficjalnej rozmowie, a po drugie, żadnym jego kumplem nie jestem, ale zwierzchnikiem. Dziwiłem się tylko, że nie zaprotestował ani inżynier Tarski, ani Milewicz, chociaż obaj znają dobrze angielski. No, nie chciałem nic mówić w obecności Anglików, ale potem w hotelu wezwałem go i z miejsca wypowiedziałem pracę w centrali..On udawał, że nie wie, o co chodzi, rzucał się, zaczął się stawiać. Więc mu powiedziałem: „Ja dla pana nie jestem żadnym kumplem, tylko dyrektorem naczelnym, rozumie pan?!” Nie chciałem więcej z nim gadać. To on przyszedł do pana na skargę? Bezczelny!

- Panie Zdzisławie - Lipski był dziwnie zakłopotany, ale usta mu drgały powstrzymywanym śmiechem. - Bielawski użył słowa: company FIREX. To wcale nie znaczy: kumpel! Po prostu, w fachowym języku angielskim tak się określa nasze przedsiębiorstwo. Nic więc dziwnego, że tamci dwaj nie protestowali. Bielawski był w porządku, pan go po prostu źle zrozumiał.

Barański milczał. Miał twarz tak nadętą i pełną urazy, że Lipski westchnął z irytacją.

- No, dobrze - rzekł. - Wezmę Bielawskiego do Zjednoczenia. Załatwimy to jako przeniesienie, służbowe. Nie powinien pan tak się unosić bez dania racji. Czy pan wie, jak już pana nazywają w centrali?

- Nie.

- Watażka. W ogóle trochę za ostro pan zaczął. Ja rozumiem reorganizację, ale nie w postaci jakiegoś huraganu w przedsiębiorstwie; Jak Grządek daje sobie radę w Gniewczycach?

- Owszem, jest energiczny i stanowczy. Pozbył się Gawrońskiego, zresztą przy mojej pomocy.

Gawroński nie chciał w zeszłym roku przyjść do centrali, wspominał mi o tym Zdzierski. Co on teraz robi?

Barański wzdrygnął się, spojrzął z przestachem na szefa.

- Przecież dawno nie żyje.

- Miałem na myśli Gawrońskiego, nie pańskiego poprzednika.

- Nie wiem dokładnie. Zdaje się, że pracuje w jakiejś instytucji wojskowej.

Ukradkiem spojrzął na zegarek. Był umówiony i pozostało już niewiele czasu do spotkania. Pożegnali się, Barański wyszedł przed

gmach Zjednoczenia, gdzie zaparkował swego peugeota 304. Lubił ten wóz, miał go zaledwie od paru tygodni i ciągle sprawiał mu dużą przyjemność fakt posiadania pięknego, granatowego samochodu modnej marki. Wsiadł, uruchomił silnik, wóz ruszył miękko, bezszelestnie. Po kilku minutach był już na placu przed hotelem „Victoria”.

W toalecie umył ręce, przyczesał się, poprawił krawat. Potem wrócił do holu. W sali „Hetmańskiej”, w której miał się z kimś spotkać, był już nieraz, zawsze jednak z zadowoleniem wchodził do tego lokalu, gdzie sufit i ściany wyłożone były jasnobeżową boazerią, fotele i kanapy obite skórą w tej samej tonacji, a sztuce w świetle lamp wydawały się złote. Trochę starej zbroi na ścianach, stoliki oddzielone boksami, dyskretna muzyka, dobiegająca gdzieś z ukrytego radia czy magnetofonu, kelnerzy w marynarkach koloru bordo, białe koszule i czarne muszki, wykwint, spokój i dobra kuchnia - wszystko to wywierało na nim głębokie wrażenie.

Osoby, z którą był umówiony, jeszcze nie było. Zajął stolik, przeleciał wzrokiem kartę potraw. Tu, w odróżnieniu od „Forum”, nie było obcych nazw, które zawsze sprawiały mu kłopot. Tu menu wyglądało swojsko, elegancko, smacznie. Zatarł ręce, rozejrzał się dokoła z półuśmiechem na wargach. Tak, to prawda: kochał luksus, kochał wszystko to, na co jeszcze kilka lat temu nie było go stać, czego przedtem w ogóle nie znał, nie widywał. Jego kariera, rozpoczęta tak niespodziewanie, rozwijała się nad podziw pomyślnie. Cóż, widocznie był tego wart...

Tak się nad tym zamyślił, że nie dostrzegł człowieka, który podszedł cicho do jego stolika. Dopiero kiedy odezwał się swym trochę charkotliwym głosem z obcym akcentem, Barański drgnął, podniósł głowę

i poderwał się z miejsca.

- A, jakże mi miło! Proszę, niech pan siada. Przyszedłem nieco wcześniej, bo nie chciałem, żeby pan na mnie czekał - mówił z wyraźnym ożywieniem. - Proszę - podał mu kartę - niech pan wybiera, niech pan dysponuje, ja się do tego wyboru przyłączę.

Mężczyzna, który usiadł przy stoliku, był z całą pewnością cudzoziemcem. Wskazywał na; to śniady kolor skóry, czarne wschodnie oczy i grube, mięsiste wargi. Miał na sobie elegancko skrojone ubranie tak jasnospielatej barwy, że wydawało się prawie białe. Ostro odcinała się od tego koszula ciemnopąsowa i krawat w złoty rzucik. Na palcach obu rąk nosił kilka pierścieni z kamieniami. Po polsku mówił dość gładko, czasem tylko zacinał się, szukając odpowiedniego wyrazu.

Wybrał, jak na ten lokal, skromną przekąskę: płat zimnej szynki z sosem tatarskim, potem strogonoff w kokilce, pieczywo, masło, poprosił o „Żywiec”. Podszedł kelner, Zdzisław zadysponował to samo dwa razy, a potem się zobaczy.

- Zorientowałem się już w kwestiach, które pana interesują - zaczął Barański, rozejrzawszy się przedtem uważnie dokoła, ale od innych stolików oddzielały ich boksy. - Nie było to proste... Uzyskałem ciekawe informacje. Jeżeli dobrze pamiętam, reprezentuje pan trzy firmy. Jedną francuską, dwie zachodnioniemieckie, prawda?

- Cztery - poprawił go przybysz. - Pośredniczę również w interesach firmy włoskiej Capucci, co prawda od niedawna.

- Capucci... - zamyślił się Zdzisław. - To są maszyny do obróbki drewna?

- Między innymi. Pański poprzednik, dyrektor Zdzierski, zawierał z

tą firmą kontrakty na wiertarko-frezarki typu wielowrz...wr - nie mógł wymówić i roześmiał się.

- Wielowrzecionowe.

- O, właśnie. Macie trudny język.

- Dowiedziałem się, że dwa z zakładów podległych naszemu Zjednoczeniu będą w bliskiej przyszłości potrzebować następujących rodzajów sprzętu i maszyn. - Wyjął notatnik, otworzył. - Zapisze pan czy:...

- Zapiszę - przerwał pośrednik. On również sięgnął po notes, z kieszonki marynarki wyjął złożony długopis. - Słucham, tylko proszę wolno dyktować.

Kiedy Barański skończył, obaj schowali swoje notatki. Zbliżył się kelner, przyjął zamówienie na pieczeń sarnią i francuskie wytrawne wino.

- Panie Raish odezwał się Barański trochę niepewnym głosem - myślę, że pan zdaje sobie sprawę, że to, co panu przekazałem, jest właściwie... no, jakby tu powiedzieć?

- Rozumiem. Dobrze rozumiem, że działa pan w interesie prywatnym. Nas dwóch. Niech pan się nic nie obawia, panie Barański. Ja po prostu zorientuję się, która z firm ma takie maszyny, w jakiej cenie, jaki daje termin dostawy, a potem przekażę panu te informacje. Wtedy pan zwróci się oficjalnie do swego Zjednoczenia o ściągnięcie ofert, ale zasugeruje pan przede wszystkim moje oferty. Ja będę wobec tego o wszystkim wiedział wcześniej niż jakaś inna firma, od której nie dostaję prowizji za pośrednictwo. A wiedząc wcześniej, będę pierwszym, który nadeśle oferty. Ja znam wasze centrale handlu zagranicznego. One lubią, jak dostają oferty szybko.

- Czy ceny pańskich firm nie będą jednak dużo wyższe niż tamtych?

- Zdzisław miał pewne obiekcje. Jeszcze nie nabrał wprawy w takich interesach.

- Będą wyższe - odparł Raish z naciskiem. - Przecież musi się w nich zmieścić i moja prowizja, a biorę od trzech do siedmiu procent, i pańska, nazwijmy to: premia. Ach, prawda. Przywiozłem panu - sięgnął po swoją teczkę z pięknej wytłaczanej skóry ze złoceniami, wyjął małe pudełeczko - ten zegarek. I długopis.

Barański wziął do ręki pudełko, otworzył. Wewnątrz na aksamitnej wyściółce leżał złoty męski zegarek jednej z najslawniejszych firm szwajcarskich. Długopis był również ze złota.

- Bardzo dziękuję - powiedział, trochę wzruszony. - Mam już od pana japoński magnetofon, bardzo dobrze się sprawuje. Ale czy był pan tak uprzejmy i omówił sprawę mego urlopu we Francji? Chciałbym pojechać z żoną. Na jakieś dwa tygodnie.

Raish pomilczał chwilę, wydał grube wargi.

- Myślę, że to się da zrobić - odparł. - Uzależniam to od informacji, jakich pan mi dziś udzielił. A raczej od skutków tych informacji. Mówiąc po prostu: od tego, czy zawrzecie z moimi firmami jakiś kontrakt. Pan rozumie, taki urlop na dwie osoby, Paryż, Nicea, to dość droga impreza. Kiedy chciałby pan wyjechać?

- Lipiec, może sierpień. Wszystko jedno, chcę latem być za granicą.

Cudzoziemiec skrzywił się lekko. Nikt rozsądny nie wybiera urlopu w Paryżu na te gorące letnie miesiące, kiedy większość jego mieszkańców ucieka nad morze czy w góry. Ale rozszyfrował już trochę dyrektora FTREX-u, poznał jego chciwość i brak wewnętrznej kultury, pokrywane cienką warstwą towarzyskiej ogłady. Nie dziwił się temu, bo nie pierwszy

raz miał z takimi ludźmi do czynienia. Prawdę mówiąc, niewiele go to obchodziło. Barański mógł być skąpy, prymitywny, niesympatyczny, nie miało to znaczenia w zawieraniu korzystnych interesów. A Raish cenił tylko interes.

- Dobrze - zgodził się. - Załatwię panu pobyt w Paryżu, jeżeli pan mi załatwi kontrakt.

- Załatwię. Przydałyby; mi się jeszcze ze trzy jedwabne koszule, najlepiej francuskie. Albo z Hong-Kongu.

- Żaden przyzwoity człowiek nie wkłada bielizny z Hong-Kongu. A w ogóle to już nie macie w Polsce koszul? Widziałem bardzo ładne w „Adamie”. Nie stać pana na kupno? - zadrwił z politowaniem.

Zdzisław zmieszał się, ale nie ustąpił. Po kilku minutach targów znudzony Raish zgodził się przywieźć mu następnym razem kilka jedwabnych koszul. Przypomniawszy sobie bowiem, że właśnie takie dostał niedawno od prezesa jednej z firm, które obsługiwał. Prezes miał w tym swój interes, a Raishowi nie odpowiadał ani krój, ani kolory.

Zasadą postępowania firm, dla których pośredniczył, była - jak to nazywali - „otwarta kieszeń” wobec zagranicznych specjalistów, dyrektorów przedsiębiorstw i pracowników central handlu zagranicznego. To się zawsze, prędzej czy później, opłacało. Firmy dawały więc drogie prezenty, najczęściej złote wyroby, sprzęt turystyczny, odzież, odbiorniki radiowe i telewizyjne, a także zapraszały tych panów na urlopy.

Rzecz jasna, nic nie było za darmo, wszystko miało przemożny wpływ na zawierane kontrakty, na dostawy, terminy, a przede wszystkim na ceny. Często i na jakość maszyn czy urządzeń. Zdarzało się nawet, że zawarty w porę kontrakt ratował obcą firmę przed bankructwem.

Mahmed Raish dziwił się czasem, że ten czy ów dyrektor podpisuje z nim umowę na dostawy fatalne, zupełnie niepotrzebne polskiej gospodarce, w dodatku po cenie nieraz parokrotnie wyższej, niżby się należało. Dziwił się tym więcej, że znał inne firmy zachodnie, produkujące wyroby doskonałej jakości i wcale nie droższe, odwrotnie. Tylko że on - Mahmed Raish - od tamtych nie brał prowizji, bo mu jej nie dawali. W jego więc interesie leżały kontrakty niechby najgorsze dla polskiej gospodarki, ale za to napełniające jego portfel.

Dlatego przychylnym okiem patrzył na takich, jak Zdzisław Barański, - dlatego notował w pamięci ich marzenia, prośby, zachcianki, niektóre spełniał od razu, inne obiecywał spełnić i na ogół dotrzymywał słowa. Miał wrodzony instynkt handlowca, ogromne doświadczenie, był też znawcą psychiki, a wreszcie nie stronił od kieliszka i dobrej zabawy. Jednało mu to przyjaciół, kompanów od stołu, poznawał ludzi od różnych stron ich natury i charakteru, nierzadko tych najgorszych, wstydliwie ukrywanych, ale wódka rozwiązywała języki. Sam miał głowę mocną, pił rozważnie, słuchał, zapamiętywał to, co mogło mu się przydać. Umiał wyciągać ludzi na zwierzenia i w ten sposób dowiadywał się tego, czego nigdy nie powiedzieliby mu oficjalnie, przy biurku w przedsiębiorstwie, w obecności podwładnych.

Umówili się z Barańskim, że spotkają się za dziesięć do dwunastu dni, kiedy Raish znowu przyjedzie do Polski. Przez ten czas Zdzisław miał zdobyć dla niego kolejne informacje o zapotrzebowaniach fabryk, a pośrednik miał mu przywieźć formalne zaproszenie na urlop: W grę wchodziły hotele klasy nie najwyższej, lecz dość wysokiej, aby olśnić pana dyrektora i jego małżonkę. Sposób spędzenia czasu we Francji firma

miała pozostawić Barańskim wedle ich życzenia, przydzielając oczywiście odpowiednią sumę franków na wydatki.. Rozstali się przed „Victorią”, Zdzisław wsiadł do samochodu i pojechał do domu. Mieszkał teraz już nie w służbowej willi w Gniewczycach - tam przeniósł się Grządek - lecz w pięknym lokalu, wynajętym po Zdzierskim w śródmieściu stolicy. Barański miał trochę obiekcji, ile mu za to pięciopokojowe mieszkanie policzą, zwłaszcza że Zdzierski zdążył przed śmiercią wpłacić tylko część pieniędzy za remont. Okazało się jednak, że są to dosłownie grosze, jakieś głupie kilkanaście tysięcy, bowiem wszystkie roboty wykończeniowe wraz z materiałami zostały przeprowadzone z funduszy - centrali FIREX w ramach tak zwanych „służbowych dotacji” dla naczelnych dyrektorów.

Irena od dawna przestała czekać na męża z kolacją, przestała również cieszyć się z każdego drobiazgu, który jej przynosił. Wymagania jej rosły w tempie zastraszającym, chciała sprowadzać sobie z Paryża suknie, z RFN - buty, z Włoch - biżuterię i Zdzisław musiał nieco hamować te żądania. Rozumieli się coraz lepiej, kochali coraz mniej.

*

Grządek przysłał alarmujący teleks, po którym dyrektor Barański zdecydował się wsiąść w samochód i pojechać do Gniewczyc. W teleksie nie było wprawdzie powiedziane, o co chodzi, jednakże Zdzisław znał już na tyle swego następcę, iż zaniepokoił się. Coś tam musiało się stać. Na miejscu znalazł się bardzo szybko, peugeot pracował bez zarzutu, można było nim wyciągnąć sto pięćdziesiąt, jeżeli tylko droga była w miarę wolna.”

Grządek biegał nerwowo po gabinecie, co chwila wyglądał przez okno, kłął cicho i telefonował na przemian. Kiedy Zdzisław wysiadł z

wozu przed budynkiem administracyjnym, tamten był już obok niego, nawet się nie przywitani, tylko spiesznie weszli do gabinetu. Grządek starannie zamknął drzwi i przykazał sekretarce, aby nikogo nie wypuszczała.

- Co jest, Tadeusz? - rzucił Barański, zirytowany tym wszystkim. - Stało się coś?

- Paskudny klops - odparł Grządek. - Cholerna historia, mało mnie szlag nie trafił dziś rano.

- Ale o co chodzi? Gadaj po ludzku!

- Nowa hala. Zarysowały się stropy i osuwa się ściana od strony suszarni B. Musiałem błyskawicznie wyprowadzić, co się dało, ale te włoskie maszyny są oczywiście zacementowane, więc teraz tam rozkuwają... Każdej chwili może ludziom zlecieć na głowę kawał stropu. Oni tego tak dokładnie nie wiedzą, boby pouciekali, ale przecież ja odpowiadam za maszyny. To był import, setki dolarów.

- Za ludzi też odpowiadasz. Grządek machnął ręką niecierpliwie.

- Jak się zacznie walić, zdążą uciec. - Spojrzał na zegarek. - Pewnie już kończą. Pożyczyłem ze spółdzielni takie nieduże dźwigi do przetransportowania wiertarek... sam nie wiem, dokąd. Chyba na razie muszą postać przed halą. Do starych budynków ich nie wepchnę, nie ma miejsca.

Barański milczał, zagryzając wargi. Rzeczywiście, sprawa była poważna. Lada moment może zjechać jakaś komisja albo nawet prokurator. Do tego nie wolno dopuścić. Wstał, narzucił kurtkę.

- Pójdziemy tam! - powiedział. - Chcę zobaczyć, jak sytuacja wygląda.

Drzwi gabinetu uchylły się, zajrzał nowy zastępca Grządka do spraw technicznych, inżynier Trzaskowski.

- No?! - krzyknął Grządek. - I co?

- Rozcementowali - odparł techniczny z zadowoleniem. - Dźwigi już wywożą wiertarki na zewnątrz. Dzień dobry, panie dyrektorze - uklonił się Barańskiemu.

- A stropy?

- Jeszcze się trzymają. Ale ściana osunęła się znowu o kilka centymetrów. Kucie cementu i drganie dźwigów przyśpiesza ten proces.

- Idziemy - powtórzył Zdzisław.

Przed halą stały już dwie włoskie wiertarko-frezarki, jeden dźwig wracał po trzecią, drugi czekał na dziedzińcu. Robotnicy kręcili się przy maszynach, ktoś narzucił na nie brezentowe płachty, bo zaczął kropić deszcz. Barański wszedł do hali, spojrzał na stropy i ścianę. Rysy poszerzały się prawie w oczach, w powietrzu kłębił się pył i opadający tynk. Dźwig nieźle dawał sobie radę z maszyną, ale pozostały jeszcze cztery stare, krajowe pilarki i jedna czopiarka wielowrzecionowa. Umieszczone w drugim końcu hali być może nie uległyby zniszczeniu, gdyby ściana runęła jakoś bokiem, częściowo - tłumaczył Barańskiemu majster. Miał kombinezon cały ubielony tynkiem i przecierał oczy, łzawiące od pyłu.

- Podeprzeć się nie da? - spytał Zdzisław niepewnie. - Z tamtej strony?

Majster wzruszył ramionami.

- Czym pan podeprze, dyrektorze? Trzeba by nawbijać pali, jak w kopalni, jeden przy drugim, a skąd ja to wezmę? - Pomyślał chwilę,

rozejrzał się. - Franek! - krzyknął do któregoś z robotników. - Masz czym zasłonić czopiarkę i tamte maszyny? Weźcie jakieś deski albo przynieście, płyty paździerzowe.

Dyrektorzy wyszli przed budynek. Robotnicy stali przy wiertarkach, rozmawiali ze sobą cicho. Jeden popatrzał na wychodzących i powiedział z sarkazmem:

- Długośmy na tych „włościach” nie pracowali. Postoją teraz w magazynie, bo miejsca nie ma.

- Fachowcy halę budowali, nie ma co mówić! - zadrwił inny.

- Ba! Ściany porowate jak sito. Gdzieś się cement ulotnił...

- I stal zbrojeniowa. Poszły w las! - roześmiali się.

Barański poczerwieniał, odwrócił się i odszedł spieszonym krokiem w stronę dyrekcji. Gonił za nim urągliwy śmiech. Grządek coś tam powiedział jeszcze do Trzaskowskiego i pobiegł za Zdzisławem. W gabinecie długo milczeli nie patrząc na siebie. Sekretarka przyniosła kawę, dzwonił telefon, ale Grządek nie odbierał. Wreszcie Barański rzekł:

- Coś z tym trzeba zrobić. Żeby - nie było żadnych protokołów, komisji, nic z tych rzeczy.. Rozumiesz?

- Rozumiem, ale nie wiem, czy potrafię. Już pewnie całe Gniewczyce wiedzą, że u nas hala się zawaliła.

- Jeszcze stoi!

- Jeszcze. Długo nie postoi, obaj o tym wiemy aż za dobrze. Co mam robić?

- Tyś budował? Nie. Ja też nie. Całą winę ponosi Przedsiębiorstwo Robót Przemysłowych.

Grządek spojrział na Zdzisława z niedowierzaniem.

- Słuchaj, przecież oni nas z miejsca - zaatakują, że zabieraliśmy im sprzed nosa materiały budowlane! W końcu nasze wille w lecie marowskim z powietrza się nie zbudowały.

Chyba że... - Zmarszczył brwi, zastanawiał się chwilę. - Jak sądzisz, dogadamy się z ich dyrektorem? Może da się załatwić po linii, no, finansowej? To i owo można mu przecież obiecać.

- Terkowskiemu? Poczekaj, niech pomyślę. - Bębnił palcami po biurku, popijał kawę i wodził szklanym wzrokiem po gabinecie, jakby szukał na ścianach natchnienia. - Jaki on ma samochód?

- Dwa. Volkswagena i fiata-1300.

- Hm... Oblicz mi, tak prowizorycznie, ile będzie kosztować remont hali.

Grządek wziął długopis, wahał się, zanim nakreślił kilka liczb. Nagle Zdzisław uniósł głowę, oczy mu błysnęły.

- Zostaw to! - powiedział. - Wiem, co zrobimy. Jak się nazywał kierownik budowy hali?

- Ten z PRP? Walczak. Taki gruby, łysawy.

- Dobrze. Daj mi numer telefonu Terkowskiego. Albo zadzwoń sam, tak będzie lepiej. Ty tu jesteś gospodarzem.

- No, ale co mam mu powiedzieć?

- Żeby natychmiast przyjechał. Powiedz, że mówisz w moim imieniu, ale nie zdradź się, że już tu jestem, bo będzie chciał ze mną rozmawiać. Powiedz, że ja niedługo przyjadę.

Kiedy dyrektor PRP gdzieś po godzinie zjawił się w FIREX-2, Zdzisław powitał go tak serdecznie, jakby znali się i przyjaźnili od wielu lat. Terkowski, mężczyzna około pięćdziesiątki, suchy, siwy, z potężnym

nosem, przestraszył się, kiedy mu oznajmiono o katastrofie budowlanej. Przez ten czas bowiem hala zdążyła już częściowo runąć i trzymała się tylko - jakimś cudem - połowa stropów nad - starymi maszynami. Poszli to obejrzeć. Kierownik robót Walczak, który przyjechał z szefem (na wszelki wypadek), pobladły i przerażony, chciał bronić swoich racji, ale Barański nie dopuścił go do słowa. Wiedział, co tamten powie, i wolał inicjatywę wziąć w swoje ręce.

Zostawili Walczaka przy ruinach, odeszli do gabinetu. Grządek zakrzętnął się kolo najlepszego koniaku, jakim dysponował, sekretarka naprędce przygotowała kanapki i świeżą kawę.

- Panowie - zaczął Terkowski z twarzą na poły niespokojną, na poły obrażoną - takie są rezultaty...

Barański nie dał mu skończyć.

- Najpierw wypijmy - uniósł w górę kieliszek - a potem będziemy rozmawiać. Mam dla pana pewną propozycję i wierzę, że dojdziemy szybko do porozumienia.

Porozumienie osiągnięto jednak dopiero po blisko godzinie, kiedy trzech panowie dyrektorzy mieli już dobrze w czubie. Terkowski wyszedł do sekretariatu i poprosił, aby wezwano Walczaka. Wracając, potknął się o dywan, bo nogi mu się plątały i chwilami widział podwójnie. Barański nalał mu kawy, podsunął papierosy. Był trzeźwy, mimo iż wypił sporo. Napięcie nerwowe nie pozwoliło mu się rozluźnić i wypity alkohol dopiero powoli dochodził do głosu.

Walczak wszedł zagniewany, zniecierpliwiony czekaniem. Zanim jednak zdążył wybuchnąć, Grządek zaprosił go do stołu z koniakiem i kanapkami. Zgłodniały kierownik przypiął się do talerza i kieliszka,

zmiatając wszystko, co mu dali. Wreszcie Barański uznał, że pora już sposobna do rozmowy.

- Panie Walczak - zaczął, wyřęczając Terkowskiego, który zadrzemał w fotelu - będę mówił prosto, bez osłonek. Myślę, że się dogadamy. Wszyscy, jak tu siedzimy, znamy sytuację. Część cementu, prętów stalowych i innych materiałów została użyta nie do budowy hali, lecz domów w lesie marowskim. Poza ewidencją. Jeżeli przyjdzie kontrola z resortu albo nawet prokurator, rzecz się wyda. Odpowiadać będziemy wszyscy. Ale najbardziej pan.

- Dlaczego ja?! - zaperzył się Walczak. - Kazaliście budować halę z tych materiałów, jakie zostały. No, to zbudowałem.

- Pańskim obowiązkiem było sprzeciwić się. Od tego jest pan kierownikiem budowy, żeby domagać się wszystkiego, co jest potrzebne do stawiania murów, stropów i tak dalej. Panu nie wolno było zgodzić się na zabranie materiałów. Rozumie pan?

- To tak? - wrzasnął kierownik. - To mnie teraz chcecie zrobić? O, nie!, Niedoczekanie wasze. Panie dyrektorze - chwycił Terkowskiego za rękaw, potrząsnął - nie śpij pan, do cholery! Mów pan coś! Przecież pan o tym wiedział. Ja się nie dam wpuścić w maliny, powiem, gdzie trzeba, milicję wam tu ściagnę!

- Cicho! - krzyknął Barański, czerwony z irytacji. - Głupcze, czy nie rozumiesz, że nie masz żadnych dowodów na to, że braliśmy materiały? Wszystko szło bez ewidencji, transport był z centrali i z województwa, żaden człowiek nie stanie ci za świadka! To ja, słyszysz? Ja wniosę przeciwko tobie skargę do prokuratora, że sknociłeś budowę. Może umyślnie? Może to sabotaż? Pójdiesz siedzieć na długie lata.

Walczak nagle opadł na krzesło, sflaczały i bezsilny. Poblądł, trzęsącą ręką ujął szklankę z kawą, pił do dna, powoli. Nie odpowiedział. Barański przysiadł do niego i zaczął mówić już spokojnie:

- Słuchaj, kretynie, bo chcemy ci pomóc. Weźmiesz na siebie winę za nieudolną budowę. Rozumiesz? Żadnych kantów, żadnego zabierania materiałów nie było. Po prostu źle obliczyłeś ilość betonu, za mało zużyłeś stali zbrojeniowej, jeszcze to i owo. Komisja sprawdzi, zobaczy, że tak było w istocie. Dyrektor Terkowski da ci naganę i pozbawi premii. A ja, dyrektor centrali FIREX, wypłacę ci gotówką pięćdziesiąt tysięcy złotych. I dodam od razu to - odpiął z ręki złoty szwajcarski zegarek, położył przed Walczakiem na stole. - A potem pomyślimy, gdzie cię zatrudnić. Myślę, że w którymś z przedsiębiorstw FIREX-u, tylko dalej od Gniewczyc. Lepiej będzie nie nasuwać się ludziom na oczy.

Kierownik patrzył osłupiały to na zegarek, to na twarz Barańskiego. Trwało dobrą chwilę, zanim słowa dyrektora dotarły do jego świadomości. Ostrożnie wziął zegarek, obejrzał go ze wszystkich stron, przytknął do ucha.

- To złoto? - spytał nieufnie.

- Sądzisz, że ja bym nosił inny? - odparł Barański dobrodusznie.

- Pan powiedział: pięćdziesiąt tysięcy?

- Tak. To wielka suma. Daję z własnej kieszeni, z moich oszczędności.

Grządek parsknął śmiechem, a spiorunowany wzrokiem Zdzisława, rozkaszlał się i popił kawy. Walczak nie zwrócił na niego uwagi.

- Kiedy? - spytał.

- Co kiedy?

- No, kiedy dostanę pieniądze?

- Natychmiast po załatwieniu sprawy z komisją i po zamknięciu dochodzenia kontrolnego.

- Ja to chcę mieć na piśmie - zażądał nagle stanowczym tonem.

- Co na piśmie? Weksel mam ci wypisywać? Nie gadaj głupstw.

- Nie trzeba weksła. Pan napisze na papierze, swoją ręką, że pan jest mi winien pięćdziesiąt tysięcy złotych. A dyrektor - obejrzał się na Terkowskiego, ale ten znowu zasypiał - podpisze się. I pan też - to było do Grządka. - Jako świadkowie.

Barański przyjrzał się Walczakowi, który miał teraz chytry wyraz twarzy, oczy zmrużone i półuśmieszek na wargach. Zdawał się mówić: nie nabierzecie mnie, panowie dyrektorzy!

- Nie masz do nas zaufania? - rzekł z wyrzutem.

- A nie. I na ty z panem nie jestem, w piasku się nie bawiliśmy.

- W porządku, panie Walczak. Napiszę panu taki dokument.

Grządek wyjął ze swego biurka arkusz białego papieru, podał Zdzisławowi. Ten wyraźnymi literami wypisał: „Jestem winien panu Edmundowi Walczakowi sumę pięćdziesięciu tysięcy złotych, którą zobowiązuję się zwrócić w terminie według umowy”. Podpisał się, podał tamty. Terkowski nagryzmolił autograf, Grządek również złożył podpis. Kierownik przeczytał, złożył papier i schował do portfela. Wstał, zdjął z ręki swój stary zegarek, wsunął do kieszeni. Z uśmiechem zapiął w to miejsce złotego „szwajcara”, przyglądał mu się chwilę.

- No, to dziękuję za prezent. - powiedział do Barańskiego. - Kiedy ta komisja ma przyjechać?

- Myślę, że w ciągu tygodnia. Niech pan przygotowuje protokół

zawalenia hali, dyrektor Grządek podpisze. I, oczywiście, inżynier Trzaskowski. Ja się postaram o szybką dostawę cementu, stali i co tam jeszcze będzie potrzebne.

Walczak zbudził Terkowskiego, tarmosząc nim bez większego szacunku. Kiedy odjechali, Grządek rzekł do Zdzisława:

- Szefuniu, w co chcesz wpisać te pięćdziesiąt patyków?

Barański rozsiadł się przy biurku, napełnił kieliszki. Twarz mu poczerwieniała, oczy błyszczały zadowoleniem.

- No, umiem załatwiać takie sprawy? - mruknął z triumfem w głosie.

- Nic lepszego byś sam nie wymyślił.

- Pewnie nie. Ale skąd weźmiesz forszę?

- Przecież nie ze swego portfela. Słuchaj, czy prototyp „Ajaksa” jest już gotowy?

- Prawie - odparł Grządek ze zdziwieniem. - Co to ma do rzeczy?

- Dużo. Kto przewodniczy komisji, która kwalifikuje ten gruchot?

- No, nie taki znowu gruchot - Grządek obraził się. - „Ajaks” to całkiem niezły pomysł racjonalizatorski. Konstrukcja prototypu kosztowała nasze przedsiębiorstwo prawie sześć milionów złotych, przypominam ci!

Barański roześmiał się na całe gardło.

- Wiesz, co to jest ten twój „Ajaks”? Szelc. Kupa żelastwa. Miała to być wspaniała krajowa frezarka górnwrzecionowa, wyrób antyimportowy, oszczędność dewiz i tak dalej. Ale ja dostałem, tak prywatnie, poufnie, ocenę dwóch ekspertów, najlepszych fachowców od obrabiarek. Nie widzieli wprawdzie prototypu, ale projekt. To im wystarczyło, żeby zdyskwalifikować go od góry do dołu.

Grządek milczał, zaskoczony. Nie był wielkim znawcą maszyn. Projekt „Ajaksa” powstał jeszcze za dyrektorowania Barańskiego w Gniewczycach, a on, jako ówczesny zastępca do spraw ekonomicznych, nie zajmował się tymi sprawami. Przypomniało mu się teraz, że inżynier Gawroński mówił mu coś o nieprzydatności projektu, wyśmiał nawet. Nie zwrócił wtedy na to uwagi, a kiedy zajął miejsce po Barańskim, prototyp maszyny był już w robocie.

- Cholera, to co z tym zrobimy? - spytał niespokojnie.

- Pytałem cię, kto przewodniczy komisji.

- No, przecież ja.

- Bardzo dobrze. Komisja oceni „Ajaksa” jako przydatny wytwór rodzimej myśli technicznej. Ustalicie nagrody dla twórców. A dla mnie przeznaczysz pięćdziesiąt tysięcy jako dla współautora frezarki. No, co tak głupio patrzysz? Niejeden dyrektor ma swój udział we wnioskach racjonalizatorskich, w projektach, w wynalazkach i czym tam jeszcze. Nie wiedziałeś o tym?

Grządek przyglądał się Zdzisławowi, jakby go pierwszy raz zobaczył.

- Aleś ty się zmienił! - powiedział zdumiony. - Powiedz, kto cię tak przerobił? Przecież jak tu przyszedłeś na dyrektora, byłeś czysty niczym łąza niemowlęcia. Naiwny, prosty człowiek. Przyznaj się, masz chyba wrodzone zadatki na kanciarza?

- Na dyrektora - poprawił go Barański. - Mówiąc dokładniej, na dyrektora, który chce zrobić wielką karierę.

- Jak Lipski?

Zdzisław milczał przez chwilę, zastanawiał się.

- Mało - odparł krótko.

- Człowieku, czym ty chcesz być? Ministrem?!

Roześmieli się. Wypili jeszcze po dwa kieliszki, po czym Barański poprosił aby jego wóz poprowadził kierowca z Gniewczyc, bo on sam nie czuje się na siłach. Kierowca może przenocować w Warszawie w pokoju gościnnym centrali i wróci następnego dnia autobusem. Był to ten sam pogodny i wesoły mężczyzna z wąsikami, który kiedyś wioził Barańskiego z Gniewczyc do Warszawy. Ale teraz nie zabawiał go już rozmową, bo dyrektor od razu zasnął i spał aż do stolicy.

ROZDZIAŁ 7

Paser Józef Żabczyk siedział na twardym i kiwającym się krzeselku, zakryty przed ludzkimi oczami ogromną, może nawet i stukilową postacią właścicielki straganu z konfekcją damską, panią Julianną. Nazwisko nie jest tu potrzebne, cały Bazar znał Julianę jako Maleńką, a kto jej takie pieszczotliwe przydomkowanie nadał - nie pamiętał nikt, ale się przyjęło i zostało.

W odróżnieniu od potężnej straganiarki paser Żabczyk był mały, szczupły, jakby niedożywiony, co po części było prawdą, gdyż stale niedomagał na żołądek. Maleńka traktowała go lekceważąco, sama mogła nawet gryźć kamienie - tak mówiła - z tym wszystkim jednak byli sobie potrzebni i w pewnym sensie lubili się. Potrafiła sprzedać, co jej przyniósł, a przynosił tylko rzeczy wartościowe, bo tandetą nie handlowało żadne z nich.

Teraz Żabczyk siedział sobie w kącie straganu pod dachem i

rozmyślał. U jego nóg spoczywała duża torba. W środku było coś, co przejmowało pasera niepokojem. Dlatego wahał się, czy wyjąć ten przedmiot i pokazać Maleńkiej. Czy go w ogóle wyjąć z torby... Dokoła kręciło się mnóstwo ludzi, niejeden zaglądał w głąb budy, przebierał wśród stosu bluzek i sweterków, rzucał oczami, gdzie nie trzeba. Maleńka nigdy nie zachęcała do kupna. Stała spokojnie, przyglądając się klientkom, podawała cenę głosem obojętnym i całkowicie zniechęcającym do targów. Dziwne, ale mimo to miała zwykle największe zyski spośród handlarek odzieżą.

W południe ruch zmałał. Maleńka przyniosła sobie głęboki talerz - właściwie była to miska - z grochówką i drugi z pyzami. Usiadła z boku, zaczęła jeść. Robiła to z pewnym wdziękiem, powoli, zapatrzona gdzieś w dal swymi dużymi, smolistymi oczami. Kiedyś musiała być bardzo ładna, zanim potworna tusza nie zamieniła jej w tłustą beczkę.

- Coś przyniósł? - rzuciła w stronę pasera.

Zabczyk milczał chwilę. Bał się otworzyć torbę, ale bał się też chodzić z nią po mieście.

- Duża rzecz - mruknął.

- Pokaż. - Odstawiła pusty talerz, odwróciła się w stronę pasera. Ze zdziwieniem dostrzegła na jego twarzy strach. - Trefne?

Skinął głową. Nie był tego pewien, ale doświadczenie mówiło mu, że Maleńka ma rację. Wziął to do sprzedania z trzeciej ręki, nie znał źródła pochodzenia i dlatego wahał się od wczoraj. - I

- Daj! - zażądała, wyciągając rękę. Podał jej całą torbę, nisko, nad ziemią, żeby nikt nie mógł zajrzeć. Zdecydowanym ruchem odciągnęła zamek błyskawiczny, popatrzała do środka. Leżała tam kamera filmowa.

Maleńka trochę się na tym znała, przez jej ręce prze - - szło już kilka sztuk, potrafiła też ocenić firmę. Ta kamera to był francuski Bolex, nowoczesna, na oko w doskonałym stanie. Handlarka odwróciła się tyłem do chodnika, zasłaniając sobą niemal cały stragan. Wyjęła kamerę, zaczęła ją oglądać.

- Skąd masz? - spytała cicho.

Paser zdziwił się. Nigdy dotąd nie pytała o takie rzeczy.

- No, mam - odparł niepewnie. - Taki tam, jeden... A jemu, ktoś znajomy, rozumiesz. Nie z Warszawy.

- Ile chcesz?

- Ja... - zaczął Żabczyk i urwał. Spoza ogromnej postaci Maleńkiej wychylił się niespodziewanie mężczyzna w szarej kurtce i w czapce z daszkiem, szczupły, z niewielkim czarnym wąsikiem. Byстрыm okiem popatrzał na kamerę, której Maleńka nie zdążyła wsunąć do torby.

- Bardzo ładna rzecz - powiedział życzliwym tonem. - Można spytać, ile ten dżentelmen żąda? i

- To nie na sprzedaż - zaproponowała ostro. - To własność mojego znajomego.

Mężczyzna z wąsikiem jakby dopiero teraz zauważył pasera.

- O, przecież to - i mój znajomy! - zdumiał się. - Pan Józef Żabczyk. Dawnośmy się nie widzieli, prawda?

Paser milczał. Już wiedział, że wpadł, poznał inspektora z Komendy Dzielnicowej na Pradze. Gorączkowo szukał w myśli argumentów obrony. Maleńka, choćby chciała, nie mogła go uratować. Mogła jedynie udawać, że nie wie, po co przyniósł do jej straganu kamerę.

Inspektor wszedł za ladę, wziął do ręki aparat przyglądał mu się

uważnie.

- Bolex - powiedział. - Dobra firma. Gdzie pan to kupił, panie Żabrzyk?

- Na bazarze.

- Tutaj? Ciekawe. Od kogo?

- Nie znam. Miał jeden facet, obejrzałem i kupiłem. Teraz przyniosłem pokazać mojej znajomej.

- Kiedy to było?

- Ze dwa dni temu. Albo trzy.

- Szkoda. Żał mi pana, panie Żabczyk - zmartwił się porucznik.

- Dlaczego żał?

- Paskudnie pan się wkopał.. - Ale dlaczego?!

- Pójdziemy do - komendy. Tam się pan dowie.

W komendzie paser dostał się z miejsca W krzyżowy ogień pytań, stawianych mu przez porucznika i innego oficera w cywilu. Nieco oszołomiony próbował utwierdzić ich w przekonaniu, że kupił kamerę od nie znanego mu osobnika na bazarze. Ale przy którejś odpowiedzi potknął się, zaplątał i zrozumiał, że to na nic. Domyślił się też, że biorąc aparat do sprzedaży, został niespodziewanie wmieszany w jakąś okropną aferę, wobec której jego dotychczasowe handelki były niewinną igraszką. Żabczyk nie był głupi. Chciał trzymać się dotychczasowego trybu życia, bo miał z tego niezły dochód i za żadną cenę nie chciał „siedzieć”, bo to nie dawało żadnego dochodu, wręcz przeciwnie. Wtedy postanowił powiedzieć prawdę.

- Wziąłem to do opylenia - przyznał.

- Od kogo?

- Od Strzykowskiego. Jemu dał kamerę ktoś inny.
- Kto?
- Karbiel. On jest z takiego miasta, co nazywa się Gniewczyce.
- Co robi ten Karbiel?
- Handluje.
- Paser?
- No, tak. Ja go nie znam.
- Jak Strzykowski ma na imię i gdzie mieszka?

Nagle Żabczyk przestraszył się. Milicji już się nie bał, w końcu co mu tam mogą zrobić za paserstwo, ale bał się kumpla. Jak się rozejdzie między paserami, że on, Żabczyk, sypie...

- Proszę pana, ja powiem, ale niech on mnie tu nie widzi, dobrze? - Patrzył na oficerów błagalnym wzrokiem. - Zaciukają mnie, boję się!

Stało ha tym, że Żabczyk zostanie w pokoju na piętrze, a Strzykowskiego przesłuchają na parterze. Poszło z nim zresztą o wiele prędzej. Wzięty w obroty, niemal od razu przyznał, że kamerę dał mu do sprzedania znajomy paser z Gniewczyc, Jan Karbiel. Skąd ją miał, tego nie powiedział, a Strzykowski nie pytał. Porucznik wiedział, że między paserami takie pytania są nie na miejscu i był gotów uwierzyć. Żabczyka, którego inspektor znał dość dobrze, wypuszczono do domu. Strzykowski został zatrzymany do czasu przywiezienia do Warszawy Karbiela.

Ale kiedy porucznik połączył się telefonicznie z komendą w Gniewczycach, dowiedział się, że Karbiel od tygodnia siedzi u nich w areszcie. Po kilku minutach rozmowy oficer zawiadomił o znalezionej kamerze majora Szczęsnego z Komendy Głównej MO.

Ani żaden z trzech paserów, ani Maleńka - miała zresztą na to zbyt mało czasu - nie dostrzegli tego znaku. Mikroskopijny monogram „K.Z.” umieszczony był chytrze na kamerze pod wizjerem. Wyrył go z całą pewnością dobry grawer. Tak przynajmniej osądził ekspert z Zakładu Kryminalistyki KG MO. Dodał również, że prawdopodobnie wykonano monogram za granicą, jednakże przyczyny, dla których tak twierdził, były ogromnie skomplikowane.

Szczęsnemu było właściwie wszystko jedno, czy literki wyryto w kraju, czy gdzie indziej. Najważniejsze, że były. Ekspert z pewnością znał się na tym, pod mikroskopem rozróżniał tak precyzyjne subtelnosci, iż nie sposób było mu - przeczyć.

- No więc, panie Karbiel? - zapytał major po raz dziesiąty tego dnia. Szczęsny z natury był niecierpliwy, szybki w działaniu, cechy te jednak zmieniały się całkowicie w trakcie przesłuchań. Wtedy wykazywał niezmierną cierpliwość i spokój. - Niech mi pan powie, kto panu dał tę kamerę.

Paser westchnął - ciężko. Przez cały tydzień, siedząc w gniewczyckim areszcie, wytrwale bronił się przed zarzutem jakichkolwiek bliższych kontaktów z Maniusiem. Ot, popili ten jeden raz w knajpie, posłuchał, co tamten plótł, i tyle. Ze swej strony Maniuś, posadzony w „dołku” Komendy Głównej, przycichł i nieznużenie powtarzał swoją wersję wydarzenia, którą już raz opowiedział kapitanowi Kulczycowi. Owszem, wszedł do willi w marowskim lesie, tak, ściągnął - nieboszczykowi z ręki obrączkę i zegarek, ale nic więcej.

Szczęsny, kiedy zobaczył kamerę i monogram, zdziwił się. Nie rozumiał, dlaczego Maniuś przyznał się do kradzieży tamtych dwóch

przedmiotów, a nie chce przyznać się także do kamery. Podejrzany o zabójstwo w celach rabunkowych, a przecież jest to jeden z najcięższych zarzutów, mógł na dobrą sprawę zlekceważyć liczbę skradzionych rzeczy. Jedna więcej, jedna mniej... Czyżby więc istniał jeszcze inny złodziej, specjalista od przedmiotów precyzyjno-optycznych, który skorzystał wówczas z okazji?

- Od kogo otrzymał pan kamerę?

Karbiel poruszył wargami, oblizał je i zamyślił się głęboko. Patrząc to na wolno obracający się krążek taśmy magnetofonowej, to w kąt pokoju, gdzie stała tylko nieciekawa szafa z teczkami spraw. Milczał. Major ujął słuchawkę i powiedział:

- Przeprowadźcie do mnie Mariana Wróbla.

Paser drgnął. Uniósł głowę i utkwiał wzrok w drzwiach. Po paru minutach ukazał się w nich Maniuś. Zderzyli się oczami, Szczęsny uważnie śledził ich wzajemną reakcję na spotkanie. Maniuś dostrzegł kamerę, zmarszczył nos.

- Przyniosłeś? - stwierdził raczej niż zapytał. - Ścierwo!

- Nie! - zaprzeczył tamten gwałtownie. - Oni gdzieś znaleźli.

- Przyniosłeś. Niech ja tylko stąd wyjdę! - zagroził.

- Spokój! - odezwał się podoficer, który przyprowadził Wróbla.

- Sk... Znajdę cię i za dziesięć lat - warczał Maniuś.

- Spokój!

- W porządku - powiedział Szczęsny. - Sytuacja wyjaśniona. Panie Wróbel, kiedy pan dał Karbielowi tę kamerę?

- No i widzisz, coś narobił? - jęknął paser. - Ty głupi szczunie, dałeś się podpuścić. To już teraz mów.

Maniuś poczerwieniał, bo zrozumiał, że majorowi właśnie o to chodziło. Przygryzł wargi-

- Dobra, niech będzie - machnął ręką. - Wziąłem ją z tamtej willi, w lesie. Ale ja go nie zabiłem.

- Powiedzmy, że panu uwierzę. Dlaczego tak uparcie nie przyznawał się pan do zabrania kamery?

- Bo... - Maniuś wzruszył ramionami. - Ja nie mam doświadczenia z tymi sprawami, rozumie pan? Dwie rzeczy zabrać, to nie trzy. Może być inny wyrok, nie?

Paser zachichotał.

- Aleś ty głupi, człowieku!. Myślisz, że za każdą rzecz jeden miesiąc czy jeden rok? A jakbyś wziął sto koszul ze sklepu, to by ci dali sto lat?

- Dostyc! - powiedział Szczęsny. - Panie Wróbel, gdzie jest aparat fotograficzny? To na pewno nie będzie jeden rok więcej.

- U Strzykowskiego - mruknął Maniuś. - Chyba że już sprzedał.

Odprawiany przez milicjanta do aresztu we drzwiach odwrócił się i powtórzył z uporem, graniczącym z rozpaczą:

- Ja go nie zabiłem! Pan znajdzie zabójcę, to pan się przekona.

Wieczorem Szczęsny siedział w domu z Andrzejem Gniazdowskim i analizowali taśmę z nagrany przesłuchaniem. Wreszcie kapitan - rzekł z wahaniem:

- Te ostatnie słowa Wróbla... prawie można by mu uwierzyć.

- Też tak sędzę. Ale to podważa twoją tezę o przypadkowym złodzieju i zabójcy w jednej osobie.

- Brakuje nam jeszcze obrazu. Słuchaj, a może przeoczyliśmy taką możliwość: zabójcy chodziło tylko i wyłącznie o ten „Pejzaż nadmorski”?

Może to ma tak wielką wartość, że zdecydował się na mord? Co mówił profesor Tański o malarzu?

Szczesny wyłączył magnetofon. Potrzebował ciszy, aby - rozważyć nowy motyw.

- Tański? Oceniał malowidło jako oryginalne i cenne. Ale to przecież nie Rafael czy Renoir. Chociaż, diabli go wiedzą, może na przykład za granicą Yenetti jest aktualnie bardzo drogi. Osiemnasty wiek... Cholera, nie wzięliśmy tego pod uwagę. Muszę jutro pogadać jeszcze raz z profesorem. W takim razie Maniuś byłby tym drugim, który przyszedł do willi. Zobaczył trupa, skorzystał z okazji i rąbnął, co było pod ręką.

- Desy i sklepy z antykami mamy pod obserwacją. Pozostali jeszcze prywatni kolekcjonerzy. Jeżeli kupił któryś dyplomata, to możemy się pożegnać z obrazem. A gdyby dać komunikat do prasy, jak myślisz? Uczciwy nabywca nie będzie chciał mieć u siebie dzieła sztuki, związanego z morderstwem.

- Trzeba uzgodnić z szefem.

*

Dyrektor Barański wszedł do mieszkania, obładowany paczkami, a kierowca służbowego samochodu wniósł za nim jeszcze kilka. Irena powitała męża z umiarkowaną serdecznością, lustrując wzrokiem przede wszystkim to, co przywiózł. Kiedy zostali sami, Zdzisław przebrał się w domowy sweter i trochę podniszczone spodnie, gdyż lubił wygodę, a żoną nie krępował się zupełnie.

- Popatrz, jaki prezent dali mi w dyrekcji u „Werner Schwartz” - rzekł z zadowoleniem, rozwijając długi, starannie zawinięty pakunek. - Na takich jeździ sam Ingemar Stenmark! Francuska firma Elan, najlepsze

narty na świecie.

Irena popatrzała i wzruszyła ramionami.

- Na co ci narty? - mruknęła lekceważąco. - Przecież nawet nie umiesz jeździć?

- To co z tego? - zaperzył się. - Jak je zobaczy Lipski albo ten dyrektor z Celkopu, io im oko zbieleje. - Pomyślał chwilę i dodał: - Zresztą mogę im sprzedać. Za dobrą walutę, oczywiście.

- Co jeszcze przywiozłeś?

- No, jest tam tego trochę. Zobacz.

Wyjmowała z walizki piękne wełniane swetry, kilka koszul, skarpety, mnóstwo krawatów. W paczkach były męskie buty, sportowe i wizytowe czarne, oraz coś dla niej: lejąca się, złocista lama na suknię wieczorową, trzy komplety najdroższej bielizny, złota bransoletka z kamieniami. Oglądała wszystko z półuśmiechem, trochę krytykując, a trochę chwając.

- Co z tego kupiłeś? - spytała rzeczowo. Mieli bardzo dużo pieniędzy, ale Irena zrobiła się skąpa.

- Nic! - roześmiał się. - To prezenty. Podpisałem z nimi dwa kontrakty, a potem zażyczyłem sobie tego i owego. Więc wydelegowali faceta, który chodził ze mną po sklepach, ja i wybierałem, a on płacił. Czasem się trochę krzywił, wtedy mu tłumaczyłem, że na tych kontraktach zarobią więcej niż na dotychczas zawartych. Rozumiesz - mówił rozparty w ogromnym, miękkim fotelu z zielonej skóry - bierzemy od nich dwanaście maszyn do obróbki drewna. Drogie, bo drogie, ale FIREX zapłaci.

- Znowu maszyny? - zdziwiła się. - Przecież dopiero co kupowaliście włoskie i duńskie. Gdzie je wpakujesz?

Machnął ręką. Nalał sobie trochę koniaku, upił łyk.

- Gdzieś tam umieszczę. Na razie postoją w magazynach. Od przybytku głowa nie boli. Słuchaj, czy ty zdajesz sobie sprawę, jak mnie teraz szanują za granicą? Do hotelu z lotniska już nie przyjeżdżam samochodem, bo to za długo i nudno jechać. Teraz przylatuje po mnie firmowy śmigłowiec!

Przyglądała mu się, kiedy tak siedział. Nie pierwszy raz zauważyła, że mocno przytył, włosy przerzedziły mu się od czoła, pod oczami zwisały worki. Przecież nie ma czterdziestki, a zestarzał się i zbrzydł - pomyślała z niechęcią. - I znowu pewnie ta wątroba..

- Nie powinieneś pić - rzekła cierpko. - Źle wyglądasz.

Zdziwił się. Wstał, podszedł do dużego lustra w złożonych ramach. Przyjrzał się dokładnie swojej twarzy, wysunął język, dotknął opuchłych powiek.

- Trochę się zmęczyłem - przyznał. - Może warto by... ale nie, na sanatorium nie mam teraz czasu. Czy ja ci kiedyś mówiłem, że Lipski miał już stan przedzawałowy? Z nim nie jest dobrze.

- Wspominałeś.

Spojrzeli sobie w oczy, Irena uśmiechnęła się lekko.

- Myślisz, że ty byś zajął jego miejsce? - spytała.

- Chyba tak. Mam coraz więcej przydatnych znajomości, a to się liczy.

- Cóż - zamyśliła się, usiadła obok niego. - Dyrektor Zjednoczenia to dużo więcej niż dyrektor FIREX-u. Ale mogą uznać, że jesteś za młody.

- Teraz, tak. Lipskiemu, źle nie życzę, niech pożyje jeszcze rok, nawet trzy. Wtedy ja będę w sam raz - roześmiał się. - Mnie się tak łatwo

w resorcie nie pozbędą. Za dużo wiem o ludziach. Aha, zapomniałem ci powiedzieć przed wyjazdem, że do pracy z Maleszakiem wsadziłem Grządka. Ja nie mam już na to czasu. Ten siostrzeniec Zdzierskiego, wiesz, ten cd prowadził hodowlę świń w Lipinach, zrezygnował i Maleszak kupił od niego fermę. A Tadeusz jest mu potrzebny do załatwiania różnych spraw finansowych. Ja to robiłem, teraz już nie chcę.

- Nie szkoda zarobku?

- Nie. Grządek będzie mi za pośrednictwo płacił procent. Obaj dobrze na tym wyjdziemy. Grunt to interes.

Dźwignął się z fotela, przeciągnął, poklepał po brzuchu.

- Sauna by ci się przydała - zauważyła.

- Trzeba będzie - mruknął. - A ty coś robiła podczas mojej nieobecności? - Schylił się, ucałował ją bez większego entuzjazmu. Za granicą miewał atrakcyjne, młode brunetki, bo takie lubił najbardziej. Były drogie, ale stać go było.

- Jak zwykle - odparła. - Trochę w domu, trochę w naszej willi w lesie. Fiat mi nawalił, musiałam oddać do naprawy.

Nie patrzyła na niego. Od pewnego czasu spotykała się z wysokim i bardzo przystojnym aktorem, który wprawdzie występował rzadko - twierdził, że go tępią - ale miał za to wiele zalet natury erotycznej. Złośliwi twierdzili, że bardziej niż Irena pociągają go jej pieniądze i upominki. Mówili to jednak po cichu i poza oczami. Ona przekonana była o wielkim romansie, w który włożyła sporo uczucia, co zresztą nie przeszkadzało jej bez skrupułów czerpać z bogatej mężowskiej szkatuły. Zdzisław nie domyślał się nawet, że pośrednio utrzymuje swego zastępcę, bd łoża. Był zajęty robieniem wielkiej kariery.

*

W kilku gazetach centralnych ukazał się komunikat Prokuratury: „Właściciel obrazu, przedstawiającego pejzaż nadmorski, dzieło malarza z XVIII wieku, Pierra Yenetti, proszony jest o skontaktowanie się z prokuraturą”... Tu następował adres i telefon. Dalej było jeszcze w komunikacie, że obraz został skradziony i ostrzega się ewentualnego nabywcę przed konsekwencjami transakcji.

Następnego dnia do prokuratora zgłosił się mężczyzna „w sprawie obrazu”. Prokurator, zamieniwszy z nim parę słów, powiadomił majora Szczęsnego, który przyjechał tak szybko, jak tylko pozwolił mu na to jego nieco sfatygowany maluch.

Mężczyzna przedstawił się, okazał dowód osobisty i powiedział:

- Nie jestem wprawdzie pewien, czy chodzi panom o ten obraz, ale jeżeli się orientuję, w Polsce nie ma obecnie wiele dzieł Pierra Venetti, a wiem na pewno, że namalował on tylko jeden pejzaż nadmorski. Właśnie ten. - To mówiąc, wyjął z teczki niewielki obrazek, owinięty starannie w biały papier, rozwinął i położył na biurku, po czym mówił dalej: - Dwa miesiące temu przyniósł mi go... bo, jak już wspomniałem, jestem konserwatorem dzieł sztuki, więc przyniósł mi go dyrektor Zdzierski z przedsiębiorstwa FIREX. Poprosił o zmianę ram, gdyż tamte były popękane. Zrobiłem to. Pan Zdzierski miał odebrać obraz przed dwoma tygodniami, taki wyznaczyłem termin odbioru. Jednakże z nekrologów w gazetach dowiedziałem się, w czasie kiedy zajęty byłem dobieraniem nowych ram, że Zdzierski nie żyje. Czekałem wobec tego, że może przyjdzie ktoś z jego rodziny, bo przecież obraz Venettiego to bardzo cenna rzecz. Ale nikt się nie zjawił. Nie wiedziałem, co z tym zrobić,

chodziło mi też o zapłatę za robotę. No i wczoraj przeczytałem komunikat w gazecie. Więc przyszedłem.

Skończył i patrzył na obu mężczyzn spokojnie, jak człowiek, który spełnił wyznaczone mu zadania, wie, że zrobił to dobrze, i oczekuje uznania. Prokurator wziął obraz do ręki, przyjrzał mu się z zainteresowaniem, potem przeniósł wzrok na oficera. Szczęsny oglądał pejzaż nadmorski trochę dłużej. Dla niego wszystko, co w jakiś sposób wiązało się z zabójstwem w lesie marowskim, było ogromnie ważne. (Człowiek, przedmiot, ślad. Wszystko”.

- Czy dyrektor Zdziński dostał od pana kwit? - spytał, a widząc niepewny wzrok konserwatora, dodał wyjaśniająco: - Jakikolwiek dowód na wykonanie usługi, coś takiego.

- Nie. Ja go znałem, już parę razy przynosił mi do renowacji różne rzeczy, na przykład bardzo piękny stary zegar kominkowy, bransoletkę ze szmaragdem, potem taki maleńki postumencik Buddy, śliczna robota, artystyczna. Podobno dostał w prezencie od jakiegoś Hindusa. Więc, jak mówię, znaleźliśmy się na tyle, że kwity były niepotrzebne.

- Prosiłbym pana o pisemne oświadczenie, że w takim a takim dniu przyjął pan od Kazimierzą Zdzińskiego... i tak dalej. Będzie mi to potrzebne do akt.

- Dobrze, panie prokuratorze. Zaraz napiszę. A co do zapłaty...

- Damy panu adres córki zmarłego - przerwał major. - Mieszka co prawda w Łodzi, musiałby pan tam pojechać. Obraz trzeba będzie wliczyć w całość spadku.

Szcęsny wrócił do komendy i zaznajomił swego szefa z tym, czego się dowiedział. Z całą lojalnością, na jaką było go stać, dodał, że pomysł

ogłoszenia w prasie komunikatu zrodził się w umyśle Andrzeja Gniazdowskiego.

- No i tak mamy z głowy sprawę obrazu - dokończył. - Ale wykrycie sprawcy nie posunęło się przez to naprzód ani o centymetr.

Pułkownik zachnął się niecierpliwie.

- Czas, żebyś przestał szukać dziury w całym - odparł. - Dla mnie zabójcą, i to zabójcą ewidentnym, jest Marian Wróbel. Mało masz jeszcze dowodów? O domach w lesie marowskim wiedziały całe Gniewczyce. Wróbel wiedział również. Obserwował osiedle kilka godzin, zauważył, że świeci się tylko w jednym domu. Być może próbował dostać się do innych, ale wiesz, jakie tam mają zamki, zasuwki i elektroniczne urządzenia. Zdzierski musiał mieć drzwi otwarte, była upalna noc. Nic prostszego dla złodzieja, jak wejść po cichu, zaskoczyć go z tyłu, rąbnąć w głowę. Może nie chciał zabić, tylko ogłuszyć. Może tamten krzyknął, więc zaczął go uciszać. Po swojemu. Potem zabrał, co było pod ręką. Na dłuższe penetrowanie willi nie mógł się odważyć, dlatego szybko uciekł. Zwróć uwagę, że nie zginęło nic, co nie znajdowało się w tym jednym pokoju. Właśnie tym, gdzie Zdzierskiego zabito.

- Obraz był gdzie indziej.

- Ale, przypominam ci, obrazu nikt nie ukradł.

- Słusznie.

Szczęśny wstał, przeszedł się po gabinecie szefa. Pułkownik wodził za nim oczami i nagle - poczuł, że wcale nie jest taki pewny swoich racji. Ten szczupły niewysoki major z wąską śniadą twarzą i czarnymi oczami miewał bowiem zupełnie nieoczekiwane przeczucia, intuicję, diabli wiedzą co, ale najczęściej to „coś” okazywało się potem trafne.

- Daj mi chociaż jeden argument, który przemawia przeciwko winie Wróbla! - rzucił gniewnie. - Nie lubię wierzyć na ślepo. Nie mam podstaw.

Szczęśny zatrzymał się w połowie drogi między oknem a biurkiem. Miał twarz pełną niepokoju, co mu się rzadko zdarzało.

- Argument - powtórzył cicho. - Nie mam żadnego argumentu. Żadnego. Prócz jednego zdania, które on wtedy powiedział

- Wróbel?

- Tak. „Pan znajdzie zabójcę, to pan się przekona”. Bzdura, nonsens, prawda? On się po prostu, zwyczajnie broni, łąże jak najęty. Tylko że tyle rozpaczy, ile było w jego, głosie... I to jest mój jedyny argument. Słuchaj! - Podszedł do biurka, oczy rozbłyły mu jak węgle. - Wiem, że mi nie wierzysz, bo nie możesz. Rozumiem cię. Nie mam pretensji. Ale ja znajdę prawdziwego zabójcę. Prędzej czy później znajdę.

- To się pośpiesz - rzekł pułkownik cierpko. - Bo jutro zaczyna się w sądzie rozprawa. Prokurator, w odróżnieniu od ciebie, ma tak dużo argumentów, świadczących o winie Wróbla, że może to się skończyć „kaesem”. Pamiętaj, że za morderstwo rabunkowe sąd ma prawo wymierzyć najwyższy wymiar kary. Pamiętaj, że wchodzi tu w grę premedytacja: zaczął się, miał przy sobie łom czy rurkę, zabił, potem obrabował. A w dodatku, jak słyszałem, dostał z urzędu słabego obrońcę. Nie stać go na jakąś - sławę adwokacką, która by natychmiast znalazła dziesięć wątpliwości w akcie oskarżenia

- Już jutro? Tak szybko? - zdziwił się Szczęśny.

- Szybko. Może ze Względu na ofiarę - odparł pułkownik z ironią w głosie. - Szum się zrobił koło tego zabójstwa.

- Czy wiesz, kto jest następcą Zdzierskiego w centrali FIREX?

- Tak, mówiono mi. Barański, ten co był przedtem, dyrektorem w Gniewczycach. Mocno idzie w górę.

- Po trupie.

- Daj spokój! Czy to jego wina, że tamten zginął? Nie ma ludzi niezastąpionych, a ktoś musi być dyrektorem, jeżeli jest centrala.

Szczęśny pokiwał głową i mruknawszy: „do widzenia”, zbliżył się do drzwi. Stojąc już na progu, odwrócił się nagle i powiedział:

- Interesujące. Jak myślisz, czy gdyby pewnego dnia ktoś sprzątnął dyrektora Zjednoczenia, Barański również zostałby jego następcą?

I wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

*

Rozprawa trwała już trzeci dzień; kiedy Szczęśny wbrew swemu zwyczajowi wszedł na salę i usiadł w rzędach dla publiczności. Przesłuchiowano właśnie świadków oskarżyciela publicznego - paserów. Ze swej strony obrona powołała kilka osób, które mogły o Maniusiu powiedzieć nieco dobrego, choć nie było tego wiele. Ot, sąsiadka z okresu jego pobytu, trwającego rok, w Gniewczycach: „pomagał przynieść ziemniaki z piwnicy i węgiel”. Sąsiad z bloku przy Marszałkowskiej: „spokojny był lokator, grzeczny dla ludzi” „Jeszcze ktoś tam, komu Wróbel wyświadczył jakąś przysługę.

Sprawy drobne, ważące gramy wobec tonowego w swej wymowie artykułu sto czterdzieści osiem paragraf jeden Kodeksu Karnego: „Kto zabija człowieka...”

Obrońca z urzędu, widać zdopingowany przez energicznego prokuratora, nabrał wigoru i zaatakował powyższy artykuł, a raczej jego zastosowanie wobec Manusia.

- Nie ma żadnych dowodów, że oskarżony zabił! - wołał donośnym głosem, gdyż zdawało mu się, że jeden z sędziów zadrzemał. - Owszem, popełnił czyn niegodny, okradł umarłego nie zadając sobie nawet trudu, aby zaalarmować milicję i wezwać lekarza. Ale, Wysoki Sądzie, proszę mieć na względzie mentalność oskarżonego. Ludzie z jego środowiska na ogół nie znają przepisów prawnych i - bądźmy szczerzy - unikają kontaktu z milicją. Gdyby podobna sytuacja wydarzyła się Wysokiemu Sądowi...

- Miejmy nadzieję, że się nie zdarzy - przerwał sędzia. - Do rzeczy, panie mecenasie.

Wróbel siedział w ławie oskarżonych z opuszczoną głową, zdawał się w ogóle nie słuchać, o czym mówi się na sali. Tylko kiedy do barierki przed stołem sędziowskim podszedł Karbiel, na dźwięk jego głosu Manius drgnął, spojrzał w tę stronę i błysnął urągliwie oczami. Zaraz jednak powrócił do poprzedniej pozycji. Był czysto ubrany, ogolony i podstrzyżony, w niczym nie przypominał pijanego awanturnika z restauracji w Gniewczycach i kolejni świadkowie prokuratora - kelnerka i barmanka - przyglądały mu się niepewnie.

Prokurator twardo podtrzymywał przyjętą w akcie oskarżenia kwalifikację czynu, chociaż po trzech dniach można już było snuć domysły, że będzie to proces poszlakowy. obrońca z coraz większym zapalem dowodził, iż wprawdzie jego klient popełnił różne brzydkie rzeczy, ale nie dokonał zbrodni. Taka była taktyka mecenasa i trzeba przyznać, że dogadując Maniusowi z jednej strony - bronił go z drugiej, tej najistotniejszej. W końcu postawił konkretny wniosek, aby obarczyć Wróbla zarzutem kradzieży i nieudzielenia pomocy człowiekowi, który być może jeszcze żył. Taka kwalifikacja chroniła Manusia od

najwyższego wymiaru kary.

Szczesny siedział na sali, przysłuchiwał - się utarczkom słownym, pytaniom i odpowiedziom, patrzył na zgarbioną postać oskarżonego - i coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że jego koncepcja wydarzenia jest słuszna. Maniś nie zabił Zdzierskiego, chociaż z pewnością go okradł.

Ale wniosek, wypływający z tej koncepcji, był niewesoły. Oznaczał, że zabójca wciąż pozostaje nieznany. Szczesny miał wprawdzie jeszcze inny wniosek, do którego sam przed sobą nie bardzo chciał się przyznać.. Wniosek ten był przerażający. I dlatego major wiedział, że być może jeszcze bardzo długo - nie uznawał terminów: zawsze i nigdy - morderca Zdzierskiego będzie chodził na wolności.

- Mam za krótkie ręce - powiedział niedawno do Andrzeja. - I za wiele barier przed sobą.

- O czym mówisz? - zdziwił się kapitan.

- O nich - odparł niejasno. - O tych, co... No, mniejsza.

Gniazdowski patrzył na niego z uwagą. W końcu rzekł:

- Przecież ja wiem, o kogo chodzi. Masz na myśli grupę ludzi „nietykalnych i wszystkimogących”. Ludzi, którym zbyt dużo wolno. Do czasu, Szczesny!

- Kiedy przyjdzie ten czas? - rzucił major gniewnie. - Czas rozliczeń i sprawiedliwości, społecznej?

- Nie wiem. Ale jestem niepoprawnym optymistą. Więc może jeszcze w tym roku?

Pod wieczór Szczesny pojechał swym maluchem do lasu marowskiego. Był dzień powszedni, środek tygodnia i - tak, jak wtedy - w

oknach domów nie świeciło się, nie było też widać przed willami zaparkowanych samochodów. Tylko przed posesją wicewojewody stał biały peugeot, a przez uchylone okno z pokoju na parterze dolatywały słabe dźwięki muzyki.

Major zatrzymał wóz na poboczu drogi w pobliżu willi, w której dwa pokoje wysokiej sutereny zajmował dozorca Kowalewski.”Wieczór był ciepły, majowy, wiatr ustał i tylko delikatnie szeleściły liście krzewów w ogrodach. Szczęsny szedł z wolna, przyglądając się to temu, to owemu domowi. Zwietrzyły go psy, zamknięte jeszcze w boksach, zaszczekały gniewnie. Na drodze ukazała się wysoka sylwetka dozorca.

- Czego pan tu chce? - spytał szorstko, ale poznał oficera i uchylił czapki.. - Dobry wieczór, panie majorze.

- Dobry wieczór. - Przystanęli koło siebie, major; wyciągnął paczkę klubowych, poczęstował. Zapalili, usiedli na ławce. - Taka ładna pogoda, a prawie nikt tu nie przyjechał?

- Ano, pracują w mieście - odparł Kowalewski. - Tylko syn pana wojewody zabawia się z kolegami. Jak to młodzi.

Milczeli kilka minut. Latarnie rzucały białe, widmowe światło na asfalt. W lesie zakwilił nocy ptak, odpowiedział mu drugi. Pachniało bujną trawą, świerkowym igliwem i jakimiś kwiatami w ogródkach.

- Podobno w Warszawie sądzą Mariana Wróbla? - spytał dozorca.

- Tak. Pan go znał?

- No, przecież ja z Gniewczyc, a on tu mieszkał z rok albo i więcej. Tutaj wszyscy się znają. - Umilkł, stracił popiół na ziemię. - To nie był zły człowiek.

Szczęsny powiedział, nie patrząc na swego rozmówcę:

- Pan nie wierzy w jego Winę.

- Ja? - Znowu dłuższe milczenie. - Cóż ja mogę wiedzieć. Prokurator mówi, że winien, to pewnie ma rację.

- A jeżeli prokurator nie ma racji? Nie będzie panu żal, kiedy powieszą niewinnego?

Szczesny wiedział, że w żadnym razie Manusia nie powieszą, bo proces poszlakowy nie może się zakończyć wyrokiem kary śmierci. Ale coś kazało mu teraz powolutku drażnić sumienie siedzącego obok niego człowieka. To coś mówiło również, że Kowalewski nie powiedział dotąd całej prawdy o tamtej tragicznej nocy.

- A czy ja mu kazał tu przychodzić! - rzucił dozorca, mocno zirytowany. - Co on tu miał do szukania? Żeby się wziął do jakiej roboty, to by w nocy w domu spał pod pierzyną, jak uczciwy, a nie szwendał się po lasach i cudzych ogrodach..

Szczesny wyciągnął papierosy, błysnął ogieniek zapalniczki.

- Też była wtedy taka cicha, ciepła noc - zauważył.

- No, cieplej było. Upalnie jak na koniec sierpnia.

- Zastanawia mnie, wie pan - ciągnął major jakby od niechcienia - że dyrektor Barański nic nie słyszał, - a ma dom tuż obok willi Zdzierskiego. W gorącą noc miał chyba otwarte okna. Przecież tamten musiał choć raz krzyknąć, krzesło było przewrócone, hałas... Twardo śpi ten Barański. Chciałbym mieć taki sen.

Kowalewski nagle zeszywniał” i sprężył się w sobie, jakby usłyszał coś niespodziewanego.

- Barański? - powtórzył z wolna. - Dyrektor?

- No, tak. Przecież nocował wtedy tu, w swojej willi. Mówi, że

wyjechał dopiero rano.

- Rano? - W głosie dozorczy skryty śmiech. - Tak mówił?

- Była niedziela, to mógł się nie śpieszyć.

- Co dla kogo rano, a co noc. Druga godzina, jeszcze nie świtało, to rano?

- Raczej noc - uśmiechnął się major. Był spokojny. Rozgrywał trudną grę, w której trzeba było uważać na każde słowo.

- A pewnie - przyświadczył Kowalewski. - Mnie też dziwiło, że... - urwał, zaciął usta. Przyjrzał się majorowi podejrzliwie. - Pan Barański to teraz wielki dyrektor - rzekł bez związku z poprzednim. - Musiał się mocno w Zjednoczeniu zasłużyć, że go wybrali na miejsce po panu Zdzierskim. Słyszałem, że niektórzy to byli pewni, że naczelnym zostanie pan radca Waliński... - zawiesił głos.

- Wie pan, on chyba za stary. Jeszcze rok i przejdzie na emeryturę. Barański ma zaledwie czterdzieści. Babiaryz musi być z niego, że sobie tu kobietę przywiózł w tamtą noc! - roześmiał się. - A żona go podobno krótko trzyma.

- Kobietę? - zdziwił się Kowalewski. - On tak panu powiedział?

- Nie przyznał się, ale inni mówili.

- To nieprawda. Sam był. Może on i babiaryz, ale tamtej nocy był sam. Przecież go widziałem.

- Naprawdę? No, widzi pan, jak to ludzie plotkują. Może mu zazdroszczą stanowiska. Ale to dziwne, że tak sam przyjechał i w środku nocy nagle odjechał. Musiał tu mieć bardzo ważną sprawę do załatwienia.

W głosie majora byto coś zastanawiającego, ostatnie zdanie powiedział z naciskiem..Kowalewski wyjął chustkę, przetarł spoconą

twarz. Znowu milczeli kilka minut, paląc i spoglądając przed siebie.

- Jak to się różnie z ludźmi” układa - ciągnął Szczęsny na wół do siebie. - Taki Zdzierski. Dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa. Zamożny, nawet bym powiedział: bogaty. Wpływowy. Zjeździł całą Europę i nie tylko Europę. Pewnie byłby kiedyś naczelnym Zjednoczenia. Może nawet ministrem. No i patrz pan: jedna noc, jedna chwila, i nie ma człowieka. Cóż, ktoś inny na tym skorzystał.

- Ben myśli o Wróblu?

- A pan?

Kowalewski skulił się nagle, zaprzeczył ruchem głowy.

- To straszny człowiek - szepnął. - U niego pieniądź najważniejszy. Panie, ile oni tu lasu wycięli! Ile pięknych drzew poszło pod topór. Pola golfowe, korty, baseny... I wszystko dla tych kilkunastu dyrektorów. A w Gniewczycach ludzie po piętnaście lat czekają na mieszkania. W ruderach takich się gnieźdzą, z grzybem, ze zbutwiałą podłogą, tynk im na głowy leci, nie ma pieniędzy na remonty. Panie, toż to wielka krzywda społeczna! Żeby kilku miało tak wiele? Co ja się tu napatrzę, nasłucham! Przyjeżdżają samochodami, co jedna maszyna to droższa, modniejsza, przywożą dziewczyny, wódki całe skrzynki, różnych specjałów, piją, żrą, krzyki i wrzaski słyszeć po całym lesie. I za jakie to wszystko pieniądze? Za czyje? Pan wie, kto im te wille budował?

- Wiem. I kto, i za czyje, i z jakich materiałów budowlanych.

- Panie, długo tak jeszcze będzie?

Szczęsny zagryzł wargi w bezsilnym gniewie. I on się tak pytał, ale nie dostał jeszcze od nikogo odpowiedzi, cóż więc mógł rzec temu prostemu człowiekowi, który mówił to, co go dręczyło i napełniało

goryczą.

- Nie wiem - powiedział wreszcie. - Panie Kowalewski, rozmawialiśmy sobie prywatnie, ale teraz chcę się pana zapytać uczciwie i w imię tej sprawiedliwości, której obaj pragniemy. Czy pan potwierdzi oficjalnie, do protokołu, że Barański był tutaj wtedy w nocy, kiedy zabito Zdzierskiego?

- Wyrzucą mnie. Wpakują do więzienia.

- Nie. Nie do więzienia, bo nie ma za co. A jeżeli wyrzucą pana z tej posady to ja panu damę słowo honoru, że znajdę panu inną, uczciwą robotę. Ale teraz potrzebuję pańskiej pomocy. Potrzebuję od pana tylko tego jednego - że pan go wtedy widział, że był i odjechał o drugiej nad ranem. Reszta już do mnie należy. Morderca nie może chodzić na wolności, nie może zarabiać na czyimś życiu. Zresztą może się okazać, że nie zbiorę dostatecznych dowodów. Wtedy protokół z pana zeznaniem pozostanie tylko i wyłącznie dla mnie, nikt więcej go nie przeczyta... Więc jak, powie pan?

- Powiem. Niech będzie, co chce. Powiem panu całą prawdę.

ROZDZIAŁ 8

W czerwcu dyrektor Barański postanowił przeprowadzić w swojej willi w lesie marowskim generalny remont. Nie chodziło tu bynajmniej o tak proste sprawy, jak dziura w dachu, syjące się tynki lub odpadające klepki w podłodze. Nie - willa była jak nowa, wszystko w niej trzymało się i nie przepuszczało deszczu do wewnątrz. Rzecz polegała na tym, że Barański uległ namowom żony i postanowił, że jego dacza nie tylko nie

będzie gorsza, lecz lepsza i bardziej bogato wyposażona niż dacza Lipskiego.

- To wstyd mieszkać w takiej budzie! - mówiła Irena, krzywiąc się z pogardą. - Musisz to zmienić.

I Barański zmieniał. Z Gniewczyc, bo było najbliżej, sprowadził dwie brygady wykwalifikowanych robotników różnych specjalności. Kadry wystawiły im bądź karty urlopowe, bądź delegacje w teren; niektórym udało się otrzymać „chorobowe”. Trochę trudniej było z materiałem wyposażenia wnętrza, bo tutaj Barański postanowił prześcignąć nie tylko Lipskiego, ale bodaj że ministrów. Miał już jednak na tyle dobre kontakty, z kilku zagranicznymi pośrednikami, a także z dyrektorami trzech firm zachodnich, że - choć niektórzy z ociąganiem - dostarczyli mu to, czego chciał.

Któregoś ranka brygady rozpoczęły więc robotę w dyrektorskiej willi. W myśl wydanego zarządzenia zrywali ładną klepkę dębową z podłóg, wybijali szyby w oknach, odkuwali boazerię ze ścian i glazurę. Jeden z brygadzystów, zdumiony otrzymanym poleceniem, próbował zaprotestować.

- Panie dyrektorze - mówił, trzymając na dłoni śliczny niebieski kafelek - przecież to jest dobre! Może się komuś przydać, jeżeli pan już woli inne. Albo klepka, przecież to mocny dąb?

- Pańska willa? - rzucił Barański ostro. Brygadzysta wzruszył ramionami.

- Jakby była moja, to bym u pana nie pracował - odparł. I na tym się skończyło. Składali więc na jeden stos klepkę, na inny deszczułki z dębiny, jeszcze na inny kafle z łazienki. Brygadzysta upominał: - Ostrożnie, żeby

nie zniszczyć! To droga rzecz.

Następnego dnia dyrektor przyjechał do lasu, zobaczył starannie poukładane materiały i zawrzał gniewem.

- Powiedziałem: zniszczyć! - zawołał. - Spalić, potłuc i wywieźć na śmietnik.

Kierownik robót spytał ostrożnie:

- Ale dlaczego? My to chętnie od pana odkupimy, jakże marnować takie piękne ozdoby.

Barański poczerwieniał, oczy mu błysnęły. Od jakiegoś czasu trudno mu było opanować złość i nerwy.

- Raz jeszcze powtarzam: zniszczyć! Pan będzie odpowiadał, jeżeli choć jedna klepka czy płytką zostanie stąd wywieziona.

Kiedy odjechał, patrzyli chwilę za samochodem, a któryś z robotników powiedział: - Zgłupiał, czy co?

Barański dobrze wiedział, dlaczego wydaje tak nonsensowne polecenie. Klepki, glazura, szyby i całe wyposażenie willi pochodziło z magazynów FIREX-2. Wziął je wtedy bez rachunków i bez pieniędzy. Ot, wypisywali z Grządkiem jakieś tam „zestawy materiałowa”, „faktury”, „rachunki na zlecenie”, „dowody dostaw”. Wszystkie dokumenty były od początku do końca sfalszowane, lecz prawie nie do rozszyfrowania przy ewentualnej kontroli. I dopóki materiały znajdowały się na ścianach i podłogach willi, nie budziły podejrzeń. Któżby posądzał ówczesnego dyrektora FIREX-2 o malwersacje...

Gdyby jednak klepki i glazura rozeszły się po domach zwykłych śmiertelników - mieszkańców Gniewczyc i okolicznych wsi, wówczas być może wzbudziłyby nie tylko sensację, ale podziw i zazdrość, a stąd już

tylko krok do denuncjacji. „Skąd macie?” - spytałby zaciekawiony pracownik jakiejś tam kontroli, milicji, finansów. Dlatego Barański stanowczo domagał się zniszczenia, aby po skradzionych materiałach nawet ślad nie pozostał.

Jednakże robotnicy nie przeszli nad tym do porządku dziennego. W przerwie śniadaniowej przywołali brygadzystów i kierownika, naradzali się czas jakiś, a potem uchwalili, że wszystko to, co jeszcze nie zostało stłuczone czy porąbane, należy ocalić z pogromu. Dziwna rzecz, ale jakoś odechciało im się brać cokolwiek do swoich domów.

- To było u nas w magazynach - twierdził stanowczo kierownik. - Ja myślę, że to jest jakaś śmierdząca sprawa. Weźmiemy, a potem przyjdzie nam płacić karę. Albo, co gorsza, siedzieć.

- Więc co? - spytał brygadzista. - Zawieźć z powrotem do magazynu?

Kierownik pomyślał chwilę.

- Nie - odparł. - Dyrektor Grządek zaraz by się dowiedział. A to jest taki sam sk... jak ten Barański.

- To po co my u nich pracujemy?! - zawołał porywczo młody elektryk. - Wolałbym iść do prywaciarza. Przynajmniej bez złudzeń.

- Nie śpiesz się. Pamiętaj, że dłużej robotnika niż dyrektora - powiedział najstarszy z nich. - Przetrzymamy Grządka, Barańskiego i jeszcze paru. A potem może co się odmieni.

- Wiecie co? - rzekł szklarz. - W mojej wiosce jest ośrodek zdrowia, mają taką starą chałupę, murowaną, ale ciasną i brzydką. Jakbym im zawiózł tę klepkę, to by sobie podłogi wyreperowali.

- Glazurę można by dać do naszego Domu Dziecka - zauważył inny.

- Strasznie brzydką mają łazienkę, cement i gołe ściany. Mogę im z tych kafelków wyszykować takie pomieszczenie, że dzieciakom oczy powyłażą z radości. Zaraz będą się chętniej myły.

Tak stopniowo rozdysponowali całe wyposażenie dyrektorskiej willi i nic Barańskiemu nie mówiąc, rozwieźli szarym świtem po okolicy. Żeby jednak na pozór wypełnić jego polecenie, spalili przy drodze trochę starych desek, rzucili obok garść stłuczki z paru kafli - ot, pozostałość po zniszczeniu, reszta na wysypisku śmieci. Kiedy przyjechał, powiedzieli, że zadanie wykonane. Nie dostrzegł złośliwych uśmiechów, bo nie patrzył na ich twarze, nie miał tego zwyczaju.

Kilka ciężarówek przywiozło później inne klepki, inną glazurę, kryształowe szyby, marmurowe tafle na stoły, cedrową - boazerię. Barański mówił do Ireny:

- Lipski ma na podłogach mozaikę z sześciu odcieni dębu, ja będę miał z dziesięciu. Ma kryształowe lustra, ja będę miał nie tylko lustra, ale i szyby w oknach z kryształu. Ma w łazienkach różowy marmur, ale już się przekonałem, że to - dobra zresztą - imitacja. Ja będę miał autentyczny marmur wioski w trzech kolorach.

- A skąd weźmiemy stare obrazy? - spytała trochę urażona, że tak akcentował: ja, moje, o niej zapominając.

Uśmiechnął się lekceważąco.

- Sześć oryginałów przywiozę z Warszawy - odparł. - To są obrazy, które dotychczas były... no, mniejsza z tym. W każdym razie dzieła sztuki. Wartość bezcenna. Muzealna. Nawet waham się, czy będą - tu bezpieczne. Trzeba będzie pomyśleć o dwóch, może trzech dozorcach. Jeden Kowalewski nie wystarczy. Zwłaszcza że na pole golfowe zaczynają już

przyjeżdżać - nasi zagraniczni kontrahenci. A mnie na nich zależy.

W połowie czerwca wyposażanie willi zostało zakończone. Barański urządził uroczyste obławanie, na które zaprosił co znakomitsze osoby, a także paru zachodnich pośredników handlowych. Był wśród nich i Raish, który z ciekawością oglądał cały dom, a w duchu liczył, sumował i doszedł w końcu do wniosku, że najwyższy czas skończyć z prezentami dla tak bogatego dyrektora. Za każdy metr wykładziny, za każdy telewizor, magnetofon, nawet za butelkę koniaku będzie odtąd płacił - powiedział do siebie. - Zresztą mamy już w tym kraju lepszego informatora, a tego zostawimy sobie tylko w rezerwie.

Barański ani się domyślał, jakie wnioski wyciągnął dla siebie jego szczerzy przyjaciel i partner od korzystnych interesów, oglądając pięknie urządzonej willę. Być może gdyby przeczuł, nie zapraszałby Raisha do domu.

*

Agent oświadczył Barańskiemu, że wyjazd do Paryża może się odbyć nie wcześniej niż w drugiej połowie sierpnia. Przedtem bowiem on sam będzie poza Francją, a chciałby przecież towarzyszyć dyrektorowi i jego żonie przez pierwsze dwa, trzy dni ich pobytu w Paryżu. Zresztą sprawy finansowe wymagały również jego obecności, on miał im przecież wypłacić franki na „drobne wydatki”.

W rzeczywistości Raishowi chodziło zupełnie o co innego. Firma, która miała finansować urlop Barańskich, doszła, choć nieco późno, do wniosku, że byłby to zbyt duży wydatek. Kontrakty zostały podpisane, ale przy tej okazji Raish znalazł niespodziewanie życzliwego partnera w osobie dyrektora Wacława Lipskiego. Okazało się, że ów partner może

więcej, a żąda mniej. Nie była to z jego strony bezinteresowność; po prostu Lipski miał już kilka zaprzyjaźnionych firm zachodnich, od których dostawał obfite prezenty i gotówkę. Dyrektor Zjednoczenia znaczył dla tych firm bardzo dużo, gdyż przy jego pomocy były świetnie zorientowane w polskich transakcjach handlowych i potrzebach naszego przemysłu. Toteż Lipski mógł sobie pozwolić na różne ustępstwa wobec Raisha i jego mocodawców.

Oczywiście Barański nie wiedział o kontaktach nawiązanych pomiędzy swoim szefem a pośrednikiem zagranicznym. Na pozór wszystko było więc jak dotychczas. Przygotowywał się powoli do sierpniowego wyjazdu a tymczasem odwiedzał filie FIREX-u, wydawał zarządzenia, kontrolował to, co szło prawidłowo, starannie omijając wszelkie nieprawidłowości i braki, gdyż nauczył się już nie kibić kłopotów.

Ale właśnie tych ostatnich zaczęło jakoś przybywać.

- Oddział FIREX-u w Kurowie znalazł się pod planem. Nie była to wina ani załogi, pracującej jak trzeba, ani nawet dyrekcji, której - mimo jej protestów i wbrew logice - narzucono zadania nierealne. Dyrektor naczelny, inżynier Ostrowski, robił, co mógł, aby jakoś wybrnąć z ciężkiej sytuacji, jednakże półrocznego planu nie udało, mu się wykonać.

Barański przyjechał do Kurowa z mocnym postanowieniem: FIREX-3 nie będzie mu psuł sprawozdań centrali. Wiedział, że czasu nie cofnie ani robót, nie nadgoni, toteż - naradziwszy się z Grządkiem, który był teraz jego prawą ręką - znalazł wyjście.

- Niech pan słucha, panie Ostrowski - rzekł szorstko, siadając w jego gabinecie. - Komplet mebli, które są kierowane nie na eksport, lecz do

sklepów w kraju, wysyła pan bezpośrednio do hurtowni, do tak zwanego przez nas depozytu. Zgadza się?

- Owszem, panie dyrektorze - odparł Ostrowski, zdziwiony, że zwierzchnik raptem przypomina mu o czymś, co od lat było wykonywane.

- Dobrze. Więc teraz będziecie robić w ten sposób: te same komplety będą wracać do Kurowa, a pan je wyśle z powrotem do hurtowni. I tak, powiedzmy, cztery lub nawet pięć razy.

Ostrowskiemu zrobiło się jakoś dziwnie. Pomyślał, że albo naczelny centrali upił się i mówi od rzeczy, albo, co gorsza, zaniemógł umysłowo. Nie wiedział, jak zareagować, a Barański ciągnął dalej:

- Możecie wozić meble tam i z powrotem, możecie też po prostu przysyłać samą dokumentację. Ale w każdym wypadku, za każdym razem, wpisujecie inny, nowy komplet. Rozumie pan?

- Nie, panie dyrektorze - odparł Ostrowski szczerze. Nie mógł pojąć sensu tych absurdalnych przewozów.

- No, przecież to jasne!. - zirytował się zwierzchnik. - Wpisuje pan sobie do planów produkcji i sprzedaży coraz to nowe osiągnięcia produkcyjne. Nie zrobiliście planu praktycznie, ale go macie w dokumentacji. - Zamyślił się na chwilę, machnął ręką. - Potem, w drugim półroczu, może wam się uda to nadgonić. A premia dla załogi, oczywiście, będzie od razu. Teraz wszystko jasne?

Nastała cisza. Barański utkwiał zniecierpliwiony wzrok w suchej, ściągłej twarzy dyrektora kurbwskich mebli i czekał na odpowiedź. Ostrowski milczał długo. Tak długo, że jego szef powtórzył pytanie, sądząc, że tamten nie dosłyszał.

- Chciałbym upewnić się, że dobrze pana zrozumiałem - powiedział

wreszcie - inżynier. - Mamy więc, w myśl pańskich zarządzeń, wykonać plan wyłącznie na papierze. Będzie to, rzecz jasna, wkład do sfałszowanej sprawozdawczości. Nasz wkład. Czy centrala przedsiębiorstw FIREX od dawna tak pracuje? Czy też jest to nowość, którą pan wprowadził?

Barański poczerwieniał z gniewu.

- Nie pański interes! - rzucił porywczo. - Ja panu daję polecenie, a pana obowiązkiem jest je wykonać.

- Da mi to pan na piśmie?

- Z byka pan spadł, czy co? Dyrektorze, czy pan wreszcie zacznie - rozumować realnie? Ja muszę w Zjednoczeniu przedstawić sprawozdanie o wykonaniu planów przez cały FIREX, słyszy pan? Cały! Kurów nie będzie mi psuł dokumentacji.

- Będzie - odparł Ostrowski spokojnie.

- Pan odmawia?!

- Odmawiam fałszowania czegokolwiek.

I póki ja tu jestem dyrektorem, raz wywieziony z zakładu komplet mebli nie będzie powracał. Ani praktycznie, ani w fakturach.. Chyba że otrzymam od pana oficjalne zarządzenie o wożeniu mebli tam i z powrotem. Ale wówczas poproszę o zwolnienie ze stanowiska. Nie będę robił z siebie idioty.

- Ciekawe, co zrobi załoga, kiedy się dowie, że dzięki pańskiemu uporowi nie otrzyma premii!

- Moja załoga, doskonale wie, że plan nie został wykonany i premia się nam nie należy. Ale wiemy również, że nasz wariant planu rocznego, uchwalony na konferencji samorządu robotniczego, został przez centralę odrzucony. Więc załoga świetnie orientuje się, komu tak naprawdę

zawdzięcza brak premii.

Barański gryzł nerwowo wargi. Był przekonany, że Ostrowski nie będzie stawiał oporu, więcej - że ucieszy się z tak prostego rozwiązania trudności. A tymczasem... Najchętniej zwolniłby go natychmiast. Ale sam nie mógł tego zrobić. Był, mimo wszystko, realistą. Wiedział, że gdyby Ostrowski musiał nagle odejść, załoga odpowie strajkiem. Mało który dyrektor był tak ceniony i lubiany jak on.

- Pan definitywnie odmawia? - spytał raz jeszcze. Był zły. Pomysł wydawał mu się łatwy i świetny, coś podobnego robił jeden z jego znajomych dyrektorów, kierownik fabryki nawozów sztucznych.

Ostrowski spojrzał mu prosto w oczy. Miał już swoje lata, z różnymi zwierzchnikami toczył boje o to czy owo, raz on wygrywał, raz tamci, ale nie miał pretensji, jeżeli potrafili go przekonać. Nigdy jednak nie zdarzyło się, aby ktoś proponował mu - gorzej: polecał do wykonania - zwykłe oszustwo.

- Gdybym nie odmówił, żaden uczciwy człowiek nie powinien podać mi ręki - odparł sucho.

Barański wstał, podszedł do drzwi. Odwrócił się i rzekł z jawną złościwością:

- Wobec tego ja, słyszy pan? Ja czuję się zwolniony z obowiązku podania panu ręki na pożegnanie. Jesteśmy po przeciwnych stronach barykady. Taka sytuacja nie może trwać długo pomiędzy zwierzchnikiem a podwładnym. Będę rad, jeżeli prześle mi pan prośbę o dymisję.

- Nie zrobię tego. Nie widzę powodu. Chce pan mnie zwolnić, proszę to uzasadnić.

- Bez trudności! Choćby za niewykonanie półrocznego planu.

- Potrafię się obronić. Plan był od początku nierealny wobec braku drewna, klejów i odczynników. Pan o tym doskonale wie, bo pan się zna na meblach. A mimo to przeforsował pan właśnie taki plan. Mamy trudną sytuację w zakładzie, ale nie my jedni, w kraju. A ja nie zwykłem uciekać, kiedy dziurawy okręt może iść na dno. Moim obowiązkiem jest dziury załatać i prowadzić go dalej.

- Fanatyk! - rzucił Barański.

- Nie. Uczciwy realista.

Naczelnny centrali FIREX trzasnął drzwiami, aż tynk się sygnął, i wybiegł do samochodu. Ostrowski siadł za biurkiem, odsunął teczkę, wsparł głowę na rękach i zadumał się. Zdawał sobie sprawę, że Barański znajdzie w końcu jakiś sposób, aby go zwolnić. A choć współpraca z tym człowiekiem była coraz trudniejsza, coraz bardziej różnili się w poglądach rzeczywiście znajdowali się już po przeciwnych stronach politycznej i ekonomicznej bariery, to przecież Ostrowski żył się ze swoim zakładem, lubił tę robotę, a wśród załogi miał wielu przyjaciół. Czy jednak, byliby w stanie mu dopomóc?

*

Sąd Wojewódzki skazał Mariana Wróbla na karę pięciu lat pozbawienia wolności, grzywnę dwudziestu tysięcy, złotych i opłatę kosztów sądowych. Sąd nie przychylił się do wniosku prokuratora, który oskarżał Wróbla o zabójstwo z chęci zysku i żądał kary dwudziestu pięciu lat więzienia. Sędziowie orzekli, iż Maniś winien jest obrabowania człowieka, który być może jeszcze żył, i nieudzielenia mu pomocy przez wezwanie lekarza czy choćby dozorca osiedla. Gdyby zaś przyjąć, że Kazimierz Zdziński rzeczywiście był już wtedy martwy, to obowiązkiem

Wróbla było wszcząć alarm, wezwać milicję i tak dalej. Zamiast tego obrabował nieboszczyka i uciekł.

- W takim razie - powiedział szef służby kryminalnej Komendy Głównej MO, - rozpoczynamy drugą fazę poszukiwania zabójcy.

Major Szczęśny i kapitan Gniazdowski spojrzeli na siebie, a potem na szefa. Milczeli. Pułkownik znał ich na tyle dobrze, że wyczuł, iż coś przed nim ukrywają.

- O co chodzi? - spytał, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. - Macie już zabójcę?

- Nie - odparł Szczęśny. - Ale mamy sporo danych, aby wziąć się za konkretnego faceta.

- Mianowicie?

- Za Barańskiego.

- Naczelnego FIRBX-u? - zdumiał się pułkownik. - Zdajecie sobie sprawę, kogo chcecie atakować? Jakie to są dane?

Zamiast odpowiedzi Szczęśny wyjął z kieszeni taśmę magnetofonową, podszedł do stołu, na którym stał niedawno kupiony Grundig, założył taśmę i włączył. Najpierw były szmery, trzaski, szum samochodów, potem rozległ się powolny, niski głos mężczyzny.

„...Tamtej nocy puściłem tylko jednego psa. Nie wiem dlaczego, dzisiaj nie umiem powiedzieć. Nie pamiętam. Ten pies zawsze wył, kiedy był zamknięty, zwłaszcza nocą. Więc go puściłem. -

- Która to była godzina? - To pytał Szczęśny.

- Dochodziła jedenasta. Wiedziałem, że dyrektor Zdziński jest u siebie, znaczy się w swojej willi. Mercedes stał przed domem. Świeciło się na parterze, słyszałem stamtąd muzykę. Grało radio albo telewizor.

Przeszedłem pod oknami, postąłem trochę. Żadnej rozmowy, tylko muzyka. Jedno okno było otwarte. Widziałem, że Zdzierski siedział w fotelu, coś czytał. Może... czy ja wiem? Może przyjechał, żeby sobie odpocząć, wie pan, las, cisza. A cisza była taka, że dokoła jakby wszystko usnęło, nawet sowy ani puszczyka nie było słychać. No, poszedłem dalej. Wróciłem do siebie, suszyło mnie, więc zrobiłem sobie herbaty.

- Alkoholu pan nie pił?

- Nie. Ja nie mogę, po wódce drętwieją mi nogi i głowa boli. To od tego wypadku, pan wie, mnie drzewo przygniotło, leżałem pół roku w szpitalu.

- Wypił pan herbatę i co było dalej?

- Nie, inaczej. Zacząłem pić i usłyszałem samochód. Ale jakoś tak, jakby przejeżdżał obok naszego osiedla. Potem zatrzymał się. Odstawiłem kubek i wyszedłem, bo byłem ciekaw, kto tu się w nocy kręci. Coś mnie tknęło i nie szedłem drogą, gdzie świeciły latarnie, tylko bokami, przez las. Zobaczyłem, że stoi zaparkowany wóz, silnik wygaszony, a w wozie nikogo. Oho, pomyślałem sobie, to jakaś podejrzana sprawa.

- Poznał pan, czyj to samochód?

- Właśnie, że nie. Ciemno było. Duży, ładny wóz. Tak jakby polonez, ale nie przysięgnę. Gwizdnąłem na Szarika, tego owczarka, co latał luzem, przybiegł, ale nie czekał, a on dla obcych ostry. Pokręcił się przy mnie i poszedł. To mnie zdziwiło, bo przecież czułem, że ktoś obcy łązi po osiedlu.

- Dlaczego myślał pan, że obcy?

- Bo swój wjechałby drogą i stanął przy którejś willi. Tylko pies mnie zmylił, że nie czeka. Stałem trochę koło tego wozu, czekałem, co

się będzie działo. No i usłyszałem głosy. Skapnąłem się, że to u dyrektora Zdzierskiego. Myślę sobie, przyjechała do niego jakaś nowa babka, wstydzi się zajechać przed dom, to poszła pieszo. Ciekaw byłem, co to za jedna, bo tamtą już znałem, tę blondynę. Ilonę. Ale nie chciałem tak im przed oczy nachodzić, więc szedłem cichutko, brzegiem lasu. Byłem już blisko, kiedy usłyszałem krzyk. Raz jeden. Mężczyzna krzyknął, jakoś tak strasznie, że mnie dreszcze po plecach przeleciały. Stałem, jakby mnie zamurowało, nie miałem nic, przy sobie, nawet kija... Stoję tak, słucham. Już nikt nie krzyczał. Tylko coś się tam kotłowało w willi, szamotało. Wie pan, nie jestem silny po tej chorobie i bałem się.

- Co było potem?

- Odszedłem jeszcze dalej od tego samochodu, bo myślę: jak jakiś bandzior zakradł się do Zdzierskiego, a teraz wróci do wozu, to mnie zobaczy. Nie umówiono mnie do walki z bandytami, nie dano mi broni, to co miałem robić? Schowałem się za grube drzewo i czekam. Minęło może pięć, może dziesięć minut, ktoś wyszedł z willi. Wtedy go poznałem.

- Po czym?

- No, po twarzy! Szedł przecież drogą, oświetlony. Szarik do niego przyleciał, łasił się, on tam coś do psa mówił, pogłaskał go. Nagle się zatrzymał, bo pies zaczął go ciągnąć i szarpać za rękawiczki, pewnie czuł krew. Więc on zdjął te rękawiczki, rozejrzał się. Potem odpędził psa i poszedł tak jakby w kierunku willi dyrektora Lipskiego. Za jakiś czas wrócił. Bałem się, że Szarik mnie wywęszy i przyjdzie, wtedy on zobaczy, że tu jestem i... Bóg wie, co mógł ze mną zrobić.

- Czy miał coś w ręku?

- Teczkę. I pewnie schował w niej to żelazo, com je potem w lesie

znalazł niedaleko stąd. Musiał wyrzucić po drodze.

- To było to?

- Tak. O, widzi pan, zaostrzone, z jednego końca. Tu jeszcze są ślady krwi. Takie coś to używają na budowie przy zbrojeniu.

- Więc stał pan za drzewem, a on?

- Też stał i rozglądał się, jakby nadśluchiwał. Ciekaw byłem, czy pomyślał, gdzie ja też jestem. Ale pewnie mu się zdawało, że w domu, śpię. W oknach miałem ciemno, drzwi zamknąłem. Jakby stukał czy dzwonił, nikt by nie otworzył. No, nie próbował nawet. Widać bardzo był pewny sWego. Wrócił potem do samochodu i odjechał.

- A pan?

- Ja... (długa cisza).

- Kiedy pan poszedł do willi Zdzierskiego?

- Dopiero rano. Ja wtedy jeszcze nie myślałem, że Barański go zabił. Może się pokłócili, jeden na drugiego krzyknął. Myślałem, że Zdzierski będzie zły, jak mnie zobaczy. Mogli mieć takie tam swoje sprawy, co mnie do nich. Panie, do głowy mi nie przychodziło, żeby dyrektor Barański zabijał! Przecież to nie był żaden bandzior.

- Co pan potem zrobił?

- Poszedłem do siebie. Byłem taki jakiś zmordowany, nie wiem czym, noc była strasznie gorąca. Położyłem się i zaraz zasnąłem. Musiałem twardo spać, że nie słyszałem, jak Marian wlaźł do willi i obrabował nieboszczyka.

- A Szarik?

- Właśnie... Źle zrobiłem, bo zamknąłem psa do boksu. Gdyby jeszcze latał, to by pewnie tego złodziejaska wytropił i podniósł alarm...

Ale boksy są daleko, przy kotłowni.

Taśma skończyła się. Szczęsny spojrzał na pułkownika.

- Taaak... - przeciągnął słowo szef służby kryminalnej. - No, to tak wygląda. - Milczał chwilę, potem zaklął z cicha.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego on to zrobił - rzekł Andrzej.

- Proste. Usunął przeszkodę na drodze do kariery - odparł Szczęsny. - Następny w kolejce będzie pewnie Lipski.

- Nie będzie następnego - stwierdził pułkownik. Zapalił, podsunął tamtym papierosy. - Tylko że... Nie czarujmy, się. Za mało danych, żeby oddać sprawę do prokuratora. Na czym chcemy się oprzeć? Na jednym jedynym zeznaniu „dozorcy, który w dodatku nie widział momentu zabójstwa, nie poszedł później do willi, żeby sprawdzić, co się właściwie stało. Barański, jeżeli w ogóle przyzna, że był wówczas w lesie, powie: „Owszem, wpadłem na kilka minut, bo musieliśmy uzgodnić jakieś sprawy służbowe, zapomniałem o nich, kiedy jedliśmy razem kolację”. A krzyk? Powiedzmy, że Zdzierski potknął się, uderzył o coś i krzyknął, bo go zabolalo. Kowalewskiemu mogło się wydawać, że to był „straszny krzyk”, może ma bujną fantazję. Cholera, że też ten kretyn nie poszedł od razu do willi! Może Zdzierski jeszcze żył. Pół godziny, godzinę. Do posterunku nie jest daleko. Gdyby zaalarmował...

- Rozumiem - rzekł Szczęsny. - Musimy zebrać więcej danych.

- Ale jak? - westchnął Gniazdowski. - Teraz, po blisko roku?

- Zbierało się i po dziesięciu latach. Szef ma rację. To jest kierunek na Barańskiego, ale to jeszcze nie dowód mocno obciążający.

- Zwłaszcza - dodał pułkownik - że to już będzie sprawa w Prokuraturze Generalnej. A ci na jedną taśmę nie pójda.

- Jedziemy! - Szczęśny wstał, zgasił papierosa.

- Dokąd? -

- Do Gniewczyc, oczywiście. Trzeba z Kulczycem jeszcze raz usiąść i przeanalizować wszystko od początku do końca. Ach, czemuż on nie jest mańkutem!

Tamci dwaj spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Dlaczego Kulczyc... - zaczął Andrzej, ale Szczęśny przerwał mu niecierpliwie:

- Nie Tomek! Ja mówię o Barańskim. Gdyby był mańkutem, to by mi podał lewą rękę. Przy pierwszej lepszej okazji. Wtedy wyczułbym, czy ma zgrubiałą bliznę na środkowym palcu lewej ręki.

- Rękawiczki! Rozumiem. Słuchaj, to by się chyba dało jakoś urządzić? On z pewnością nie ma pojęcia, że ta blizna jest dla nas znakiem charakterystycznym. Pewnie myśli, że rękawiczki w dalszym ciągu leżą zakopane w ogrodzie. Swoją drogą pies mógł wygrzebać.

- Który pies? Chyba nie ten stary szpic, co się ledwie rusza. No, ten u Lipskiego. A inne psy tam nie wejda.

- Z ręką nie powinno być większych komplikacji - zauważył szef. - Porozmawiaj z nim w jego gabinecie pod byle pretekstem... Nie, pod byle to on nie znajdzie czasu. Wymyśl coś odpowiedniego, w końcu to nie pierwszy raz!

- Wymyślę. I co dalej?

- Przypuśćmy, że kawa się wyleje akurat na jego lewą rękę, zakładając, że każe podać kawę. Zerwiesz się, wyciągniesz chusteczkę...

- Wiem! - przerwał major. - Prymitywny sposób. Ale może się udać, bo on jest bardzo pewny siebie. Obserwuję go, z daleka, rzecz jasna,

czasem nawet i z bliska, ale wtedy on mnie nie poznaje, bo wyglądam inaczej. Jest okropnie arogancki, nos zadziera, traktuje ludzi jak stado głupców. Liczy się tylko z większymi od siebie. Nawet Lipski już mu się pierwszy kłania. Walińskiego posłał na wcześniejszą emeryturę. Tak się koło tego zakręcił, że stary radca ani się obejrzał, jak miał w ręku piękne podziękowanie za wieloletnią pracę i życzenia zdrowia na zasłużonym odpoczynku.

- Mówimy o duperelach! - zirytował się nagle szef. - Ręka, blizna, pies. To są szczegóły. Gdzie motyw? Czy rzeczywiście Barański posunąłby się aż do zabójstwa tylko po to, by zająć miejsce swego zwierzchnika? Czy tak Wiele na tym zyskiwał?

- O, bardzo wiele! Tu nie chodzi tylko o większą pensję, lepszy samochód, to są już dla niego rzeczy mniej istotne. Jestem w kontakcie ze Staszkiem Wilkońskim, który systematycznie rozpracowuje całe to osiedle w lesie marowskim. A także ludzi, zajmujących wysokie Stanowiska i tamte wille. Barański zdążył już zawrzeć z firmami zachodnimi kilka takich kontraktów, że gospodarka centrali FIREX znajduje się niemal w obliczu katastrofy, jeżeli można się tak wyrazić. Zawarł te kontrakty nie ze znanymi, dobrymi firmami, które mają u nas od dawna swój serwis i dysponują częściami zamiennymi, lecz z takimi, z których niejedna znajdowała się na progu bankructwa. Bierze solidną prowizję, nie mówiąc już o kosztownych prezentach. Jego pośrednikiem i pomocnikiem w tych operacjach jest niejaki Mahmed Raish, obecnie obywatel RFN, agent handlowy kilku firm. Krótko mówiąc: na objęciu stanowiska naczelnego dyrektora FIREX-u Barański zyskał tak wiele, że jego poprzednie - dyrektora zakładu w Gniewczycach - było prawie niczym. A Zdzierski to

nie był człowiek stary. Wprawdzie chorował na serce, ale się podleczył i mógł jeszcze pracować dobrych kilka lat. Co prawda on też nie był wiele wart. Zagarniał pod siebie z państwowego, ile tylko się dało.. Tyle że nie podpisywał takich fatalnych umów zagranicznych. Na to był za mądry. Albo za głupi, zależy, z której strony na to patrzeć.

- No, toś nam zrobił wykład o Barańskim. Wobec tego można sądzić, że twoje przypuszczenia są słuszne.

- Jeszcze co do psa. Tego owczarka, Szarisa. Byłem świadkiem, wtedy w sierpniu w lesie, jak pies łąsił się do Barańskiego, choć na innych warczał i szczyrzył zęby. Nic dziwnego, że w nocy nie szczekał, nie alarmował, że ktoś obcy chodzi po osiedlu. Dla Szarika Barański nie był obcy. Kto wie, może cwaniak specjalnie go obłaskawił, bo wiedział, że tego psa Kowalewski najczęściej w nocy wypuszcza z boksu.

- To drobiazg. Ale razem z innymi dowodami może się przydać.

Kapitan Kulczyc wiedział już o wyroku sądowym, kiedy Szczęsny i Andrzej zjawili się w gniewczyckiej komendzie.

- Tak myślałem, że przyjedziecie - rzekł na powitanie. - Cóż, zaczynamy od początku?

- Od środka - odparł Szczęsny.

Potem wyjaśnił, co miał na myśli. Przesłuchali taśmę z zeznaniem Kowalewskiego i major powiedział:

- Tomku, czeka nas bardzo trudna robota, bo mamy do czynienia z wyjątkową kanalią, która w dodatku siedzi na dyrektorskim stołku. Tym niemniej trochę dowodów przeciwko Barańskiemu już mamy. Ale trzeba zebrać więcej. Dużo więcej. Jeżeli tego nie zrobimy, sprawa leży.

Siedzieli do rana nad układaniem planu operacji, której nadali

kryptonim „Dyrektor”, i nad rozdziałem zadań. Plan wymagał jeszcze zatwierdzenia przez szefa. Zrobił to szybko, wniósł kilka istotnych poprawek i przydzielił im pracowników do pomocy. Jednocześnie Szczęsny skontaktował się z majorem Wilkońskim, który po swojej linii przygotowywał kolejne działania. Kapitan Kulczyc z miejsca przystąpił do roboty; jego” praca była zmudna i niełatwa. Chodziło przecież o sprawy sprzed miesiący. A jednak wkrótce okazało się, że ludzie pamiętają wiele i długo.

*

Barański wszedł do gabinetu dyrektora Zjednoczenia bez zapowiedzi, chociaż sekretarka uprzedziła go, że trwa narada. Lipski na jego widok pohamował zniecierpliwienie. Lubił w pracy porządek, który nowy zwierzchnik centrali FIREX często psuł, nie licząc się z drugimi.

- Niech pan zaczeka, zaraz kończymy - powiedział z pozornym spokojem. Irytacja szkodziła mu, serce odzywało się wtedy zbyt natarczywie i krew uderzała do głowy. Lekarze nakazywali zmianę stanowiska na mniej odpowiedzialne, ale nie chciał ich słuchać.

Od pewnego czasu Lipski czuł, że na to stanowisko - niecierpliwie szykuje się - ktoś - inny. Często zastanawiał się, dlaczego właściwie mianował Barańskiego dyrektorem centrali, ułatwiając mu tym samym kolejne awanse. I jeżeli dawniej” dosyć lubił tego młodego, energicznego człowieka, to obecnie nie mógł znieść jego tupetu, natarczywości i niepohamowanej żądzy bogacenia się za wszelką cenę. Lipski nie był uczciwym dyrektorem; to, co dziś miał, zawdzięczał licznym machinacjom finansowym, z których niemal żadna nie była zgodna z przepisami. Robił to jednak ostrożnie, powoli, zwracając jednocześnie uwagę, aby co jakiś

czas wykonać życzliwy gest w stronę pracowników. Raz była to dodatkowa premia, kiedy indziej wyjazdy zagraniczne, wczasy lub sanatoria w najdogodniejszym okresie roku.

Tymczasem Barański od momentu mianowania go naczelnym FIREX-u zmienił się radykalnie. Nabrał zwyczaju aroganckiego traktowania załogi, przeprowadzał tajne operacje handlowe bez opinii i bez zgody Zjednoczenia, a do Lipskiego zaczął odnosić się ze złe ukrywanym lekceważeniem.

- Ma cholerne „plecy”, gdzieś na górze - szeptali o nim pracownicy w centrali, a później i w Zjednoczeniu. - Lepiej żyć z nim dobrze!

Lipski najpierw irytował się, wyśmiewał nawet tę opinię, potem jednak zaczął w nią wierzyć, choć nie wiedział dlaczego. Sama bezczelność Barańskiego zdawała się świadczyć, że czuje się on wyjątkowo mocno na swoim stanowisku i lepiej z - nim nie zadzierać. Lipski próbował wprawdzie tę bezczelność trochę utemperować i robił mu z jej powodu wyrzuty. Kiedyś jednak Barański odparł szorstko, że kierują nim „wyższe racje”; dał przy tym do poznania, iż w każdym wypadku on będzie górą. Było to określenie mocno zawoalowane, nie padło żadne konkretne nazwisko, tym niemniej Lipski przestraszył się. Później powiedział sobie, że aby do zebranego majątku dorzucić jeszcze to i owo, należy stulić uszy i udawać, że wszystko jest w porządku.

Jeszcze dwa, trzy lata - myślał. - Potem odejdę i niech on robi co zechce.

Teraz więc stłumił westchnienie i szybko zakończył naradę. Kilku pracowników wyszło z gabinetu, sekretarka sprzątnęła filiżanki po kawie i pełne popielniczki.

- Cóż tam nowego, panie dyrektorze? - zagadnął Lipski uprzejmie. -
Napije się pan czegoś?

- Nie - odparł Barański, który od jakiegoś czasu przestał używać
słów w rodzaju: dziękuję czy proszę. Uważał je za zbyteczne. -
Przyjechałem, bo chcę zwolnić jednego z dyrektorów. Potrzebna mi
pańska zgoda.

- O kogo chodzi?

- O Ostrowskiego z Kurowa.

Lipski zdumiał się. Był to najlepszy kierownik zakładów FIREX.

- Pan chce go zwolnić? Ale dlaczego?

- Mam swoje powody.

Szef Zjednoczenia poczerwieniał, zacisnął palce na szklanej tafli
biurka.

- Panie Barański, ja muszę znać przyczynę, dla której chce pan
pozbyć się tak dobrego fachowca, jakim jest dyrektor Ostrowski -
powiedział surowo - Pracuje w Kurowie od wielu lat, jest lubiany przez
załogę. Nie widzę powodu zwolnienia.

- Kurów nie wykonał półrocznego planu. A przez to zadań
eksportowych.

- Ależ to nie jest powód, aby wyrzucać dyrektora! Oni mają
trudności z półfabrykatami z importu, znam je. Jestem przekonany, że po
otrzymaniu materiałów do końca roku plan wykonają.

- Jeżeli pan nie wyrazi zgody, wyrzucę go i tak.

Lipski całą siłą woli stłumił gniew, który w nim narastał.

- Muszę wiedzieć, dlaczego tak naprawdę chce pan zwolnić
Ostrowskiego - powtórzył stanowczym głosem. - I od tego uzależniam

zgode. Pan chwilami zapomina, że FIREX podlega Zjednoczeniu!

- Ja o niczym nie zapominam. Jeszcze podlega..

- Panie Barański, co to znaczy? Jak mam rozumieć to: jeszcze?

- Niech pan rozumie jak chce: Ale najlepiej dosłownie.

Zwierzchnik Zjednoczenia przymknął na chwilę oczy, aby nie widzieć przed sobą tej tłustej twarzy z jej ironicznym uśmiechem. Potem wsparł się rękami o biurko i utkwiał w Barańskim wzrok pełen nienawiści.

- Przyznaję, że popełniłem skandaliczny błąd - mruknął na wpół do siebie.

Tamten, nie zrozumiał. Uniósł brwi w górę.

- O jaki błąd chodzi? - spytał.

- Mianowałem pana następcą Zdzierskiego. Barański roześmiał się urągliwie.

- Sądzi pan, że to dla mnie taki zaszczyt i bezmiar szczęścia?. Kiedyś, bodaj że to było w pańskiej willi... byłem tam wówczas po raz pierwszy jeszcze jako kierownik w Gniewczycach... Więc spytał mnie pan wtedy, czy jestem, zadowolony ze stanowiska. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że uważam je za przejściowe. Teraz mógłbym powiedzieć to samo.

- No, to musi pan jeszcze parę lat poczekać. Nie wybieram się tak szybko na emeryturę. Chyba że pan mnie przeskoczy i sięgnie jeszcze wyżej.

Barański przyglądał mu się chwilę, twarz jego przybrała dziwny wyraz napięcia. Potem odrzekł powoli:.

TT Wie pan, są różne sposoby. I różnie z ludźmi w życiu bywa.

Wstał, zabrał swoją teczkę.

- W każdym razie dopóki ja jestem dyrektorem Zjednoczenia, nie udzielię zgody na zwolnienie Ostrowskiego - stwierdził Lipski. - I nie słyszałem, aby FIREX miał się usamodzielnąć czy przejść pod inne kierownictwo. Jeżeli to się stanie, uwolnię się od przykrego obowiązku widywania pana. Do widzenia.

Barański nie odpowiedział. Postał kilka sekund, jakby chciał coś dodać, ale rozmyślił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ 9

Sierżant Górski był - chyba najstarszym funkcjonariuszem Komeridy Miasta MO w Gniewczycach, co wcale nie oznaczało, że sierżant był stary. Miał czterdzieści parę lat, mocne zdrowie i ogromnie dużo doświadczenia. Pochodził z tego miasta i jak twierdził, w każdym domu mieszkał ktoś z jego rodziny, dalszej lub bliższej, a w każdym razie dobry dawny znajomy. Twierdzenie to tylko trochę mijало się z prawdą. Było oczywiste, że Górski zna Gniewczyce na wylot.

Toteż kapitan Kulczyc liczy} teraz przede wszystkim na niego. Wiadomo bowiem, że w tak skomplikowanej, pracy jak rozbudzanie czyjejś pamięci, zwłaszcza po prawie roku, dobre wyniki może mieć tylko ktoś, kto naprawdę zna ludzi i ludzie go znają. Ktoś, kto budzi u drugich zaufanie, umie z nimi pogadać, wypić kiedy trzeba, pożartować. Z takim dobrze się rozmawia, takiego zaprosi się do domu, i to i owo można sobie wtedy przypomnieć. Górski miał również sympatyczny wygląd. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany, o twarzy pogodnej, rumianej i bystrych siwych oczach był w Gniewczycach po prostu lubiany.

- Kapitanie, proszę dać mi wolną rękę - powiedział, kiedy Kulczyc wyjaśnił mu, czego się po nim spodziewa. - Umówmy się, że ja mam coś w rodzaju urlopu. Myślę, że tydzień mi wystarczy. Wsiąknę w miasto, włożę cywilne łachy i będę szukał. W zamian niech nikt mnie nie szuka w komendzie.

Sierżant nie chciał mówić wprost, ale Kulczyc zrozumiał. Kiedy pracuje się w taki sposób, niewygodnie jest na przykład pokazywać się szefom w stanie lekkiej nieważkości i pomiętym garniturze. Kapitan znał Górskiego na tyle dobrze, że mógł mu całkowicie zaufać. Sierżant znikł więc z horyzontu. W tym czasie kilku jego kolegów próbowało na swoje sposoby odnaleźć jakikolwiek ślad wydarzeń z zeszłorocznej sierpniowej nocy. Każdy z nich działał w innym środowisku, sam Kulczyc zaś odwiedzał las marowski, wdawał się w rozmowy z leśnikami, z drwalami, którzy od szeregu lat wynajmowani byli do tych terenów na wyręby, a nawet z kobietami, które zachodziły w okoliczne lasy po jagody i grzyby.

Pierwszy ślad przyniósł jednak niezawodny sierżant Górski. Po czterech dniach „urlopu” zjawił się pewnego wieczoru u Kulczyca w domu zupełnie trzeźwy i zadowolony.

- Macie coś? - spytał oficer, kiedy usiedli przy stole.

- Tak jakby - odparł Górski. - Znalazłem faceta, który tamtej nocy widział, jak Barański wychodzi ze swojej willi w Gniewczycach, jak wsiada do poloneza i odjeżdża w stronę lasu.

- Kto to jest?

- Mój daleki” krewny, Jacek Broniak. Jest stolarzem, pracuje w zakładzie FIREX-2, stąd znał ówczesnego dyrektora z wyglądu, znał jego samochód, no i wiedział, gdzie Barański mieszka. To była godzina prawie

dwudziesta trzecia. Jacek wracał do siebie, on wynajmuje dwa pokoje w tym starym domu niedaleko willi dyrektorskiej po przeciwnej stronie ulicy. Pracował na drugą zmianę.

- Barański go widział?

- Nie. Chyba nie... Nie rozglądał się, wsiadł do wozu i odjechał. Jacek zapamiętał ten moment dlatego, że chciał skorzystać z okazji, podejść do Barańskiego, tak prywatnie, i poprosić o przeniesienie do innego wydziału. Myślał, że sobie chwilę pogadają, bo w dzień to trzeba iść meldować się sekretarce, dyrektor zawsze zajęty, ciągle ktoś u niego siedzi. Więc Jacek, kiedy tak go zobaczył, w pierwszym odruchu przyśpieszył kroku, ale zobaczył, że tamten od razu leci do samochodu, dodaje gazu i już go nie było. Mój krewniak stał jeszcze chwilę, patrzył za wozem i zobaczył, że skręca w las, na osiedle.

- Powrotu nie widział?

- Nie. Pewnie spał.

- Dobrze. Spisaliście protokół?

- Tak. Mam też nagrane na taśmę. Major Szczęsny osądził, że zeznanie Jacka - stolarza jest bardzo istotne, zwłaszcza że złożył je człowiek obiektywny, nie mający z Barańskim żadnych punktów stycznych.

- Mamy więc dwa protokoły. Dwie taśmy z nagraniami. Sumując, dwóch świadków faktu dla nas niezmiernie ważnego: że Barański był wówczas na osiedlu. Potrzebny mi jest fakt trzeci.

Tu Szczęsny spojrział na Kulczyca, zadumał się na chwilę, a potem dodał: - Ale to już moje zadanie.

- Co masz na myśli? - spytał kapitan.

- Bliznę na palcu. Byłoby to zupełnie proste, gdyby chodziło o zwykłego bandziora, nie o dyrektora - centrali FIREX.

- Metodą zaskoczenia - powiedział Kulczyc.

- Może nie dać rezultatów. Przecież... Drzwi uchylły się. Do pokoju komendy, w którym siedzieli, zajrzał jeden z funkcjonariuszy. Kulczyc przywołał go ruchem głowy.

- Co tam nowego? - spytał bez większej nadziei w głosie. Był to jeden z podoficerów, którzy szukali śladów z sierpniowej nocy.

- Jest taki... zresztą, przyprowadziłem go - odparł plutonowy. - Może wejść?

- Zaraz, kto to jest?

- Chłopak z Gniewczyc, Bilewski się nazywa. Uczy się w technikum w Warszawie, na lato przyjeżdża do domu. Znam tę rodzinę i jego też, od małego. Mówi, że widział wtedy dyrektora Barańskiego. W lesie.

- Dawaj go, szybko!

Wszedł wysoki, szczupły nastolatek o zwichrzonej czuprynie i mocno opalonej twarzy. Powiedział: „dzień dobry”, uklonił się Kulczycowi, którego znał z widzenia, spojrzał ciekawie na Szczęsnego.

- Powiedz, Jurek, panu kapitanowi to, co mnie mówiłeś - rzekł podoficer. Nie wiedział, czy Szczęsny, który siedział z boku, ubrany po cywilnemu, chce się zdekonspirować, więc go pominął.

- Siadaj, chłopcze - zaprosił go kapitan. Uruchomił magnetofon.

- Bilewski przyjrzał się odbiornikowi fachowym okiem, mruknął pod nosem, że ma w domu lepszy, po czym zaczął opowiadać:

- To było tak. Myśmy mieli namiot w lesie marowskim, niedaleko tych domów dyrektorskich...

- My, to znaczy kto? - przerwał kapitan.

- No, ja i jeszcze trzech - chłopak zmieszał się trochę, odchrząknął.

- Jakich trzech?

- Czego zalewasz, przecież byliście z dziewczynami, ty i Waldek Strojnowski - wtrącił plutonowy. - Tu nie ma co kręcić, potrzebna jest dokładna informacja.

- Dobrze. Więc byliście w dwie pary - rzekł Kulczyc. - Osobiste sprawy to wasze sprawy, nas to nie obchodzi. Dla nas jest ważne tylko to, co dotyczy dyrektora Barańskiego.

- Ja rozumiem - odparł Bilewski. - Tylko że tu właśnie rzecz dotyczy... no, Mariolki. I dlatego poszliśmy z Waldkiem do tych willi.

Kulczyc westchnął, ale był z natury cierpliwy.

- Co się stało tej Mariolce? - spytał łagodnie.

- Ona krajała chleb i nóż jej się omsknął po ręce. Mocno się zacięła, krew szła, nie dała się zatamować. Nie mieliśmy nic, żadnego lekarstwa. Ona zaczęła płakać i powiedziała, że jej słabo. Przewiązaliśmy rękę chustką, ale przeciekało. Więc Magda z nią została, żeby ją oblać wodą, jakby zemdląca, a myśmy z Waldkiem poszli na osiedle, to znaczy do dyrektorskich domów. Myśleliśmy, że k+oś tam będzie, to nam pomoże. Ja wiedziałem że w jednym domu mieszka dozorca, pan Kowalewski, to mogliśmy iść do niego.

- Która to była godzina?

- Późno było. Gdzieś tak po jedenastej w nocy.

- Po co Mariolka w nocy zabrała się do krajania chleba?

- No, myśmy długo łazili po lesie. Kapaliśmy się w jeziorku, potem jak wróciliśmy, to nam się jeść zachciało.

- W porządku. Więc poszliście z Waldkiem Strojnowskim do tych dyrektorskich willi. Co było dalej?

- Doszliśmy. Wszędzie w oknach było ciemno. Powiedziałem do kolegi, że tu gdzieś mieszka pan Kowalewski, ale nie wiedziałem dobrze, w którym domu. Potem sobie przypomniałem i poszliśmy tam. Ale tam też było ciemno. Dzwoniłem” stukalem, nikt nie otworzył.

Oficerowie spojrzeli na siebie. W tym czasie Kowalewski stał pewnie schowany za grubym drzewem i obserwował willę Zdzierskiego.

- Co zrobiliście, kiedy Kowalewski wam nie otworzył?

- Postaliśmy jeszcze trochę i Waldek zobaczył, że w jednej willi się świeci. Przedtem tego jakoś nie zauważyliśmy. Powiedział: „Tam ktoś jest, chodź, spróbujemy poprosić o bandaż i wodę utlenioną albo coś takiego”. Byliśmy może dwadzieścia metrów od tego domu, kiedy ktoś z niego wyszedł. Ja go poznałem, bo widywałem go nieraz w Gniewczycach. To był dyrektor Barański z FIREX-2. Zaraz do niego podleciał pies, taki duży owczarek, i myśmy się trochę zlekli, bo dyrektor, jakby nas zobaczył, mógł poszczuć psa.

- Dlaczego?

- No, wie pan... Była noc, on sam, nas dwóch, mógł Bóg wie co pomyśleć. Że chcemy na niego napaść czy coś takiego. Więc ja powiedziałem po cichu do kolegi, że niech on z psem odejdzie, wtedy my pójdziemy do tej willi, gdzie się świeciło, może tam jest jakaś kobieta, to nam coś da dla Mariolki.

- Jakoś dziwnie rozumowaliście - zauważył Szczęsny. - Mężczyzna z psem miał się was zleknać, a kobieta nie?

Bilewski wzruszył ramionami, uniósł brwi w górę.

- Tak nam się zdawało - odparł. - Zresztą on przy sobie na pewno nie miał bandaży, a w willi mogły być. -

- Pewnie wyście obaj złąkli się psa - stwierdził plutonowy.

- Mniejsza z tym. Co dalej?

- Staliśmy i patrzyliśmy, co on będzie robił, ten Barański. Pies mu tak doskakiwał do rąk, szarpał, jakby chciał zedrzeć rękawiczki. On je zdjął, krzyknął na psa, żeby sobie poszedł. Potem Barański jakoś znikł nam z oczu, droga tam trochę skręca, więc już go nie widzieliśmy. To wszystko było takie dziwne...

Zaciekawilo nas, czy tara w tej willi, skąd on wyszedł, - jeszcze ktoś jest. Poszliśmy. Była cisza. Drzwi otwarte. Waldek zawołał: „Czy jest tam kto?” Ale pewnie za cicho wołał i nikt nie usłyszał. Zadzwoniliśmy, przy drzwiach był - dzwonek - Nikt nie wyszedł. Nie chcieliśmy wchodzić, żeby nas nie wzięto za złodziei. Zresztą, powiem szczerze, strach nas obleciał. Dziwnie to wszystko wyglądało - powtórzył i umilkł.

- Wróciliście do namiotu?

- Tak. Mariolce już krew przestała lecieć i obie spały.

- Więc myśmy też poszli spać.

- Czy kiedy później dowiedzieliście się o zamordowaniu dyrektora Zdzierskiego, nie skojarzyliście sobie z tym, co widzieliście?

Bilewski potrząsnął głową.

- Nie. Myśmy się tym nie interesowali. Coś tam ludzie mówili o zabójstwie... ja nawet nie pamiętałem, którego dnia to wszystko było. Dopiero teraz, kiedy pan plutonowy ze mną rozmawiał, to sobie przypomniałem. I Waldek też.

Szczesny wyłączył magnetofon. Podziękowali chłopcu za informacje

i Bilewski wyszedł z komendy.

- To już mamy trzy zeznania - stwierdził Kulczyk z zadowoleniem. - Można powiedzieć, że się wzajemnie uzupełniają i zgadzają. Jak załatwisz sprawę blizny na palcu?

- Nie wiem jeszcze - odparł Szczęsny. - Ale chcę o tym się przekonać. Może to zresztą nie jest takie konieczne. Boję się jednak, że te trzy zeznania mówią tylko o jednym: że Barański był wtedy u Zdzierskiego w willi. A to, rozumiesz, jeszcze za mało, żeby mu postawić zarzut zabójstwa. Wspomniałeś o metodzie zaskoczenia w rozmowie. A jeżeli jest tak opanowany, że nawet twarz mu nie drgnie? Co wtedy?

*

Major Wilkoński zebrał wszystkie notatki, uporządkował biurko i wyszedł do sekretariatu.

- Krysiu, idę do szefa - mruknął. - Jakby kto dzwonił, niedługo będę z powrotem. Aha, o dziesiątej przyjdzie prokurator Rajewski.

- To co zrobić?

- Dać mu kawy. Pracowaliśmy do pierwszej w nocy.

Szef, zwierzchnik majora Wilkońskiego, był od niego dokładnie o rok starszy wiekiem i o dwa szczeble stopniem. Znali się jeszcze z okresu, kiedy razem studiowali w Wyższej Szkole Oficerskiej MO w Szczytnie, potem rozjechali się do różnych jednostek, aż przyszedł czas, kiedy pułkownik powiedział do majora: „Cześć, Staszku! Cieszę się, że będziemy razem pracować.” Wilkoński również się ucieszył. Nie zazdrościł koledze wyższego stopnia ani stanowiska; wolał służbę w terenie niż na kierowniczym stołku. Był jednak rad, że na tym stołku zasiądzie ktoś rozsądny, doświadczony, a w dodatku z poczuciem humoru,

co znakomicie ułatwia wszelkie kontakty służbowe.

Wszedł teraz do gabinetu szefa i powiedział z zadowoleniem:

- No, skończyliśmy z prokuratorem porządkowanie dowodów. Myślę, że najwyższy czas rozpocząć przesłuchanie Barańskiego.

Pułkownik wyjął z paczki papierosa i schował z powrotem, bo nakazał sobie jednego na godzinę, a upłynął dopiero kwadrans. Zaklął cicho, trochę mu ulżyło, i spytał:

- Jesteś pewien, że to ma ręce i nogi? To facet na wysokim stanowisku. Zaczną się telefony, naciski, poręczenia...

- Nie boję się - odparł Wilkoński. - Można Barańskiego posadzić za jeden tylko zarzut, a zebraliśmy ich więcej. W skrócie przedstawia się to tak. - Położył na biurku kilka stron maszynopisu. - Rzuć okiem, a potem pogadamy. O dziesiątej ma być Rajewski.

*

Dyrektor Barański wrócił do centrali z jakiejś narady w Zjednoczeniu i w chwilę potem na jego biurku rozbłysło czerwone światełko. Sekretarka informowała, że z dyrektorem chce rozmawiać major Wilkoński z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- O, co mu chodzi? - spytał Barański niecierpliwie.

- Nie wiem, panie dyrektorze. Połączyć?

- Tak.

Wilkoński uprzejmie zaprosił, go na rozmowę do gmachu ministerstwa w celu, jak, się wyraził, „uzgodnienia pewnych niejasności w sprawach, o których nie chce mówić przez telefon”. Barański spojrział na kalendarz i odparł, że może wpaść jutro między dziesiątą a jedenastą, ale najwyżej na kwadrans, gdyż czas jego jest bardzo drogi. W centrali FIREX

ma dzień wypełniony od wczesnego ranka do wieczora.

- Rozumiem - rzekł major. - Czekam na pana jutro w umówionym terminie. Proszę zadzwonić z biura przepustek - podał numer wewnętrzny - a ktoś po pana zejdzie.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do Szczęsnego, który siedział w jego pokoju.

- Przyjdzie?

- Tak. Jutro między dziesiątą a jedenastą. Słuchaj - zamyślił się na chwilę - sądzisz, że należy zaatakować, go frontalnie?

- Nie wiem, co jest dobrze, a co źle w stosunku do takiej kanalii - rzucił Szczęsny porywczo - ale wiem na pewno, że morderca Zdzierskiego musi być zatrzymany. Zresztą umówmy się tak: ty powiesz swoje, zorientujemy się, jak on będzie reagował, a potem... Staszku, ja w pełni zdaję sobie sprawę, że mogę ponieść fiasko. Przecież nikt go nie złapał za rękę wtedy w nocy. Ty masz dowody przestępczości gospodarczej pana Barańskiego, masz dokumenty, zeznania pracowników, wyniki kontroli. A ja... - wzruszył ramionami. - Przecież muszę zaryzykować. Prawie rok już upłynął i on pewnie sądzi, że sprawa przyschła.

- On cię zna - zauważył Wilkoński. - Kiedy, cię tu zobaczy, może sobie to i owo przypomnieć.

- Zna to za duże słowo. Widzieliśmy się wtedy raz czy dwa razy, nie przedstawiałem się nawet. Na miejscu śledztwo prowadził Kulczyc. Jeżeli dobrze pamiętam, Barański nie był w ogóle przesłuchiwany. Nie było powodu.

Zdzisław Barański przyjechał przed budynek ministerstwa swoim peugeotem-304, zaparkował go na skwerze, z biura przepustek

zatelefonował pod wskazany numer wewnętrzny i po kilku minutach wszedł do sekretariatu naczelnika. Major Wilkoński czekał tam na niego, uprzejmym gestem zaprosił do pokoju, w którym pracował.

Dyrektor centrali FIREX siadł przy stoliku obok biurka, wyciągnął papierosy i złotą zapalniczkę, trochę ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

- Śpieszy się panu - zauważył major.

- Tak. Niedługo mam naradę w Zjednoczeniu. Więc słucham, o co chodzi? Pewnie o kogoś z moich podwładnych. Zbroił coś?

- Nie - zaprzeczył Wilkoński. - Chodzi o pana.

- O mnie?! Mało prawdopodobne. No, ale słucham.

Major otworzył teczkę, wyjął z niej kilka dokumentów.

- Żeby nie tracić czasu - rzekł - będę podawał tylko sprawy najistotniejsze. W punktach. Więc punkt pierwszy: wybudowanie w lesie - marowskim willi z materiałów będących własnością zakładu FIREX-2 w Gniewczycach i przy pomocy siły roboczej z tegoż zakładu. Nie miał pan na pobranie materiałów oficjalnego zezwolenia. Nie zapłacił pan za nie według obowiązującego cennika, lecz po cenie kilkakrotnie niższej... w niektórych wypadkach aż dziesięciokrotnie. Robotnicy, zatrudnieni przez pana przy budowie willi, dostali w tym czasie delegacje służbowe na wyjazd w teren bądź też zwolnienia chorobowe. Omawiam te fakty na razie tylko pobieżnie, wszystkie szczegóły potem. Zaznaczam, że na wszystko mamy dokumenty pokontrolne oraz zeznania świadków. Punkt drugi: wskutek zabrania materiałów budowlanych z placu budowy hali produkcyjnej w tym samym zakładzie budynek ten został postawiony wbrew obowiązującym normom zużycia cementu, stali i innych materiałów. Z tego powodu zawaliła się część stropów”:

Z obawy przed konsekwencjami przekupił pan kierownika robót, Walczaka, aby winę wziął wyłącznie na siebie.

- To kłamstwo! - krzyknął Barański, czerwieniejąc z gniewu.

- Nie, proszę pana. To fakt. Walczak przyznał się do tego. Zresztą o tym, że przyjął od pana wówczas złoty zegarek i pięćdziesiąt tysięcy, wiedzieli później inni. Pochwalił im się, pokazywał zegarek. Mam tu również zeznanie dyrektora Grządka, który był naocznym świadkiem tego zdarzenia.

- Grządek kłamie! Już ja się z nim policzę. - Punkt trzeci: chyba najważniejszy, gdyż naraził gospodarkę państwową na milionowe straty. Zawarł pan kilka kontraktów z zachodnimi firmami, przyjmując od ich przedstawicieli liczne prezenty, niekiedy bardzo drogie, lecz zakupione w wyniku umów maszyny były w większości przypadków kompletnie nieprzydatne. Mam tu kilkanaście dokumentów, mogę panu udowodnić. Rozmawialiśmy też z niejakim Mahmedem Raishem, agentem handlowym, który nie oszczędził pana, dyrektorze, w ani jednej rozmowie. Notabene, rozmawialiśmy z nim podczas oficjalnych przesłuchań, gdyż Raish jest aresztowany. I od pana, i od innych pracowników instytucji państwowych Raish otrzymywał poufne informacje o imporcie maszyn, o ofertach i cenach firm konkurencyjnych, o tym, czy dysponujemy wyborem ofert i tak dalej. Podczas zatrzymania Raisha okazało się, że miał przy sobie kartkę z dokładnym wyliczeniem prowizji za jeden tylko kontrakt spośród siedmiu z nami zawartych. Ale to tak na marginesie. Więc, jak pan widzi, zebraliśmy materiał aż nadto wystarczający do tego, aby rozpocząć przesłuchanie. Zresztą niedługo przyjdzie tu prokurator¹ Rajewski z Generalnej. A teraz słucham, co pan ma do powiedzenia?

Barański milczał. Widać było, że zbiera myśli i szykuje się do frontalnego odpierania zarzutów. Wtedy major ujął słuchawkę, nakręcił numer wewnętrzny i powiedział tylko jedno słowo: „Tak”.. Po chwili drzwi uchyliły się, wszedł Szczęsny. Barański rzucił na niego okiem, zmarszczył brwi i rzekł;

- Pan prokurator się pospieszył...

Z tych słów Szczęsny wywnioskował, że nie został rozpoznany, co było mu na razie na rękę. Usiadł przy biurku naprzeciw dyrektora.

- Tamtej nocy w sierpniu - zaczął z namysłem, starannie dobierając słowa - pojechał pan do lasu marowskiego. Zaparkował pan samochód w pobliżu osiedla i poszedł do willi Kazimierza Zdzierskiego. Po co?

Pytanie wystrzeliło jak pocisk i twarz Barańskiego zbieleła. Był tak zaskoczony, że otworzył usta, aby złapać powietrze. Nie był w stanie wykrztusić sensownego zdania. Milczał, ale teraz w tym milczeniu było jakieś Oglupienie i przestach.

- A to pan poznaje? - Szczęsny nagle rzucił na stół ciemne, splamione rękawiczki. - A to? - Położył obok kawałek zaostzonego z jednej strony żelaza. - Trzeba było zabrać ze sobą do wozu, utopić w rzece albo cisnąć gdzieś daleko, żeby nikt nie znalazł. Bo byli tacy, którzy znaleźli jedno i drugie. I tacy, którzy widzieli pana tamtej nocy w lesie i w willi Zdzierskiego.

- Ja nie... ja - wyjąkał kompletnie zaskoczony Barański. Wargi mu się trzęsły, po twarzy spływał pot.

- Dlaczego pan go zabił? - spytał Wilkoński. - Dlaczego zdecydował - pan się na zbrodnię? Człowieku, mało panu było tego wszystkiego, co pan nabrał, nie mógł pan poczekać, aż wyższe stanowisko opróżni się

zwykłą drogą, wskutek rotacji kadr? Zapowiadała się panu piękna kariera zawodowa, czemu pan ją zniszczył?

Barański nie odpowiedział. Nagle zrozumiał, że wszystko się skończyło i otwiera się przed nim przepaść. Był tak do głębi przekonany, że jego zbrodnia nigdy nie zostanie wykryta, iż tylko spoglądał w osłupieniu na rękawiczki, na żelazo i nie mógł pojąć, jak to się stało, kto go wówczas widział, kto znalazł te straszliwe dowody winy.

Bardzo krótki epilog

Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego dla miasta Warszawy Zdzisław Barański, były dyrektor centrali FIREX, skazany został na najwyższy wymiar kary oraz pozbawienie praw publicznych na zawsze.